

Polska Zbrojna

W NUMERZE
PORADNIK
ŻOŁNIERZY
Służbędnik

NR 5 (805) MAJ 2013

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**PROFESOR
WALDEMAR
DZIAK:**

**O CO CHODZI
KOREI
POŁNOCNEJ**

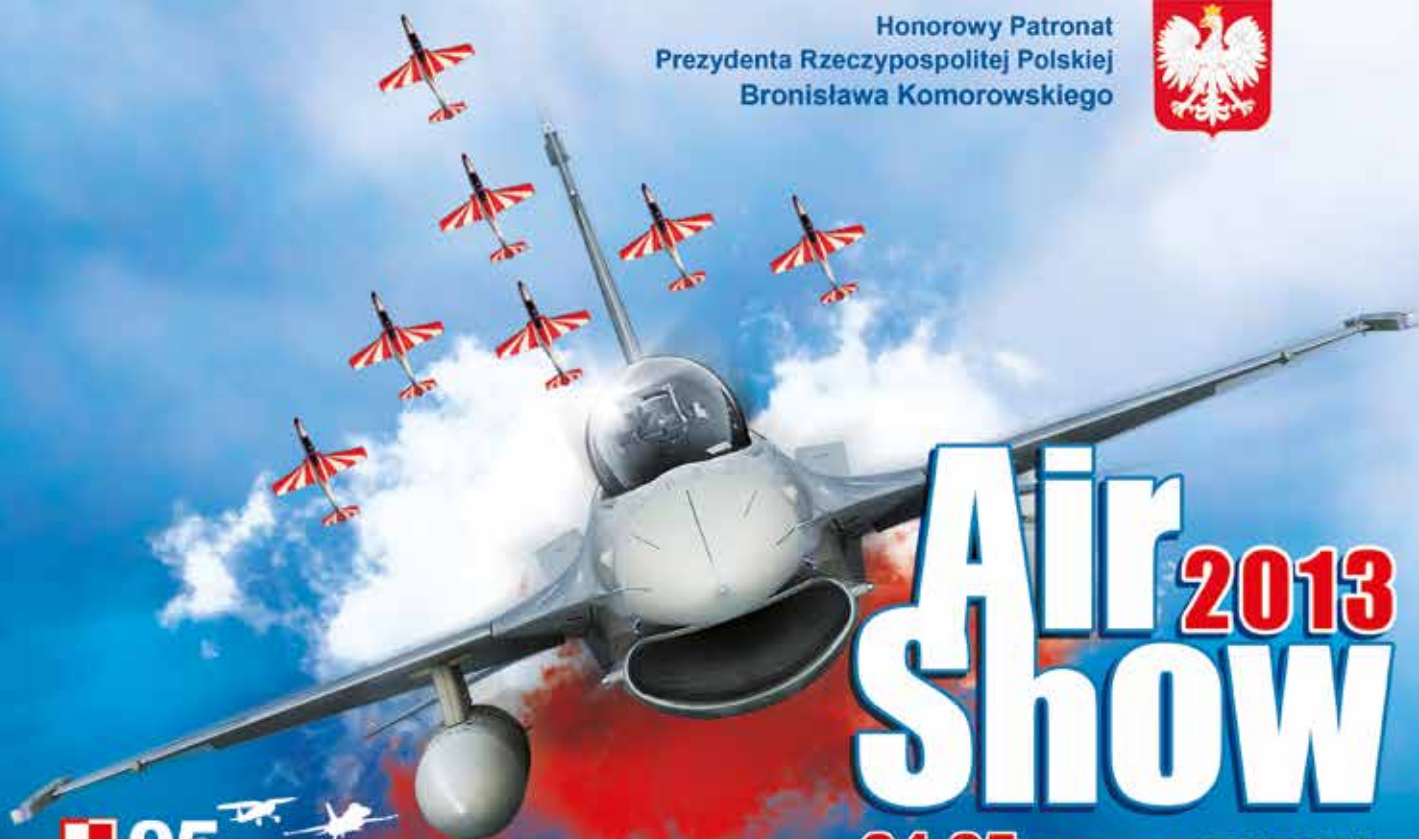
**DO PIEKŁA
I Z POWROTEM,**
czyli nasi
w Gujanie
Francuskiej

**MACHINA
SZKOLENIOWA
JAK NAUCZYĆ
RZEMIOSŁA
ŻOŁNIERZA
ZAWODOWEGO**



MIĘDZYNARODOWE POKAZY LOTNICZE

Honorowy Patronat
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Bronisława Komorowskiego



Air 2013 Show

 **95 lat** Polskiego Lotnictwa Wojskowego

24-25 SIERPNIA, RADOM



Organizatorzy:



Miasto
Radom



www.airshow.sp.mil.pl

radom
siła w precyzji



PIOTR BERNABIUK

JAK SOBIE WYSZKOLISZ, TAK SOBIE POWOJUJESZ...

Przejście sił zbrojnych na zawodowstwo stanowiło wyzwanie przede wszystkim dla szkoleniowców. Przecież do tego czasu przez kolejne dziesięciolecia wojskowe młyny mełły żołnierską masę w równomiernym rytmie, wyznaczanym przez kolejne wcielenia. Uczono maszerowania, śpiewania, meldowania i prostych czynności przydatnych w działaniach wojennych... Zaledwie szkolenie się rozpoczynało, a już się kończyło. I kolejna partia rezerwistów z triumfalną pieśnią na ustach wracała do cywila, a u koszarowych bram czekali następni rekruci. Wszystko zaczynało się od nowa – po raz piąty, dziesiąty, setny...

Od kiedy przeszliśmy na zawodowstwo, szeregowy przez kolejne lata służby zostaje wyedukowany do maksymalnego poziomu i potrafi niemalże wszystko to, czego się od niego na tym etapie oczekuje. Później w jeden organizm są zgrywane drużyna, następnie pluton, kompania i wreszcie batalion. Co dalej? Oczywiście należy ten potencjał utrzymać w gotowości do działania. Jak to zrobić, żeby uchronić żołnierzy przed monotonią i rutyną? Jak utrzymać uformowaną, gotową strukturę bojową w gotowości? Przecież w misjach poza granicami kraju, będących sprawdzianem wyszkolenia i zdolności bojowej, uczestniczy jedynie część sił zbrojnych. Czy powtarzać zajęcia na poziomie drużyny i załogi, czy może na szczeblu kompanii? A może niech żołnierz zdobywa kolejne specjalności i staje się uniwersalny? A jak się wybije wśród kolegów, to trzeba mu otworzyć furtkę do wyższego korpusu, awansować...

Od szeregowych nie mniej ważni są młodzi dowódcy. Szczególnie podporucznicy, ci po rocznym studium, które w skali służby jest ledwie szkoleniem wstępnym i zapoznawczym. To na nich należy się szczególnie skoncentrować, wprowadzić ich w życie pododdziałów, wesprzeć w szkoleniu i dowodzeniu, bo na wojaczkę mają jedynie trzyletnią kadencję. Jeśli tu nie poczują się dobrze w roli dowódców i przywódców, to już później nie będą mieli takiej okazji. Ani jako majorowie, ani jako generałowie.

Od kiedy przeszliśmy na zawodowstwo, szeregowy przez kolejne lata służby zostaje wyedukowany do maksymalnego poziomu i potrafi niemalże wszystko to, czego się od niego na tym etapie oczekuje.

➤ O szkoleniu czytaj na stronie 12.



12

O GIGANTYCZNYM
OŚRODKU
SZKOLENIOWYM, JAKIM
W CZASIE POKOJU JEST
POLSKA ARMIA

ŁUKASZ KERMEL

armia

PIOTR BERNABIUK, TADEUSZ WRÓBEL
12 | Machina szkoleniowa

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
19 | Przeciwnik na niby
Specjalsi będą mogli wirtualnie walczyć
w dowolnym miejscu na świecie.

PIOTR BERNABIUK, TADEUSZ WRÓBEL
20 | Wirtualne okopy
Generał Marek Tomaszycy opowiada, jak
połączyć szkolenie na symulatorach z realnym.

PAULINA GLIŃSKA
26 | Dowódca w 800 godzin
Czy podoficerowie są dobrze przygotowywani
do roli dowódców?

BOGUSŁAW POLITOWSKI
30 | Urzędnicza paralaksa

KOLEJNY RAZ
SPRAWDZAMY, KIEDY
W POLSKIEJ ARMII POJAWIĄ
SIĘ STANOWISKA
DLA SNAJPERÓW.

30



EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
36 | Sztuka koncentracji

Jak strzelcy wyborowi doskonalili się
pod okiem byłych gromowców?

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
38 | Do piekła i z powrotem
Na to szkolenie trafiło się kiedyś za karę.
Teraz morderczy trening w Gujanie
Francuskiej jest tylko dla wybranych.

BOGUSŁAW POLITOWSKI
42 | Misja wśród uśmiechniętych ludzi
Dziennikarz „Polski Zbrojnej” pojechał do
Mali razem z naszymi żołnierzami, którzy
rozpoczynają tam służbę.



42

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
46 | Samotni łowcy
Mamy pięć okrętów, które stanowią
najgroźniejszą broń marynarki.

BARTOSZ BERA
50 | Szkoła mistrzów
Polscy piloci już trzeci raz pokazali swój
kunszt na szkoleniu w Albacete.

ANNA DĄBROWSKA
55 | Oblicza pokoju
Nasza dziennikarka udowadnia,
że lekcje prowadzone przez weteranów
to znakomity pomysł na pokazanie
młodym ludziom specyfiki pracy
żołnierzy.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
58 | Ostatni dźwięk gwizdka
O komandorze podporuczniku
Arkadiuszu Kurdybelskim, który
na ORP „Mewa” przeszedł wszystkie
szczeble kariery.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

prezentuj
broń

KRZYSZTOF WILEWSKI
68 | **Owoce morza dla boga wojny**

KRAB, KRYL, RAK I HOMAR
– TE NAZWY POJAWIAJĄ SIĘ NIE
TYLKO W WYSUBLIMOWANYM
MENU, LECZ TAKŻE
W PROGRAMACH
ZBROJENIOWYCH.



ROBERT CZULDA
74 | **Projekt widmo**
Kiedy do armii amerykańskiej wreszcie trafia
następcy HMMWV?

bezpieczeństwo

RAFAŁ CIASTOŃ
80 | **Północ pręży mięśnie**
Czy wojenna retoryka północnokoreańska może
przerodzić się w konflikt zbrojny?

TADEUSZ WRÓBEL
84 | **Badanie góry lodowej**
Profesor Waldemar Dziak o tym, komu
przyniosłaby korzyści wojna na Półwyspie
Koreańskim.

ROBERT CZULDA
88 | **Kodeks cyberwojen**
Uderzenie przez internet można porównać
do ataku z użyciem broni konwencjonalnej.

MAREK MEJSSNER
90 | **Zabójcze kody**
Użycie robaka internetowego nie niesie
krwawych ofiar, ale jest tanie i może wywołać
dotkliwe szkody.

TADEUSZ WRÓBEL
92 | **Machina zmian**
Rewolucja we włoskiej łódźce

wojny
i pokoje

TADEUSZ WRÓBEL
96 | **Obóz dla VIP-ów**
Wielka ucieczka po niemiecku

horyzonty

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
104 | **Gapa dla technika**
Inżynierowie chcą nosić takie same odznaki
jak piloci.

PIOTR BERNABIUK
110 | **Magia wielkich gór**
Zdobycie szczytów na wojskowo



SEKRETARIAT WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl,
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222;
wko@zbrojni.pl

SEKRETARIAT REDAKCJI
Aneta Wiśniewska (sekretarz redakcji),
tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213
Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl, pz@zbrojni.pl

WSPÓLPRACOWNICY
Piotr Bernabiuł, Anna Dąbrowska, Paulina Gilińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Rafał Ciastoń, Robert Czulda, Włodzimierz Kaleta,
Marek Mejsner, Bogusław Politowski, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Łukasz Zalesiński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTOEDYTOR
Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170
OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Renata Gromska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), Anita Kwaterowska (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustakowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek (kolportaż), tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl



Zdjęcie na okładce:
Katarzyna Przepióra

Numer zamknięto:
18.04.2013 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogic.pl

DRUK
Drukarnia Trans-Druk spółka jawna,
Kraśnica k. Konina

PRENUMERATA
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:
prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się
z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7.00 – 18.00.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

NAC PARTNER: Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

Żołnierze zgrupowania bojowego XII zmiany PKW Afganistan osłaniają działanie amerykańskich saperów. Wychodzą z wozów i poruszają się wzdłuż Highway 1 w poszukiwaniu odciągów i „ajdików” (improvizowanych ładunków wybuchowych).







Coraz bliżej końca

Polski kontyngent przez kolejne pół roku zostaje w Afganistanie.

Zgodnie z postanowieniem prezydenta Bronisława Komorowskiego polscy żołnierze będą służyć w Afganistanie do 13 października 2013 roku. Kontyngent, tak jak do tej pory, ma liczyć maksymalnie 1,8 tysiąca żołnierzy i pracowników wojska, a odwód strategiczny w kraju – kolejne 200 osób.

Od jesieni 2012 roku dwie ostatnie zmiany zostaną zmniejszone do około tysiąca żołnierzy i cywili. Teraz misję w Afganistanie kończy XII zmiana,

którą w większości tworzą żołnierze 12 Brygady Zmechanizowanej, dowodzeni przez generała brygady Andrzeja Tuza. Trzonym XIII zmiany będą wojskowi z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, a ich dowódcą generał brygady Marek Sokołowski.

Zmieniły się zadania polskiego kontyngentu. Od 1 kwietnia za utrzymanie bezpieczeństwa w prowincji Ghazni odpowiadają miejscowe wojsko i policja. Armia afgańska przejęła też od Polaków kontrolę nad bazą w Waghez.

Teraz głównym zadaniem naszych żołnierzy jest szkolenie Afgańskich Sił Bezpieczeństwa oraz wspieranie władz i lokalnej administracji tego kraju w odbudowie infrastruktury cywilnej, a także realizacja projektów pomocowych. Polacy nadal patrolują też drogę łączącą Kabul z Kandaharem.

W 2014 roku dowodzone przez NATO siły ISAF, w tym Polska, mają opuścić Afganistan, a odpowiedzialność za zapewnienie bezpieczeństwa kraju przejmie tamtejsze wojsko. A D ■

OGŁOSZENIE



Dowództwo Operacyjne Sił Zbrojnych

poszukuje kandydatów do pracy w zespole reporterskim COMBAT CAMERA na stanowisku: podoficer specjalista, STE: chor., U: 8.

Od kandydatów oczekujemy: doświadczenia w robieniu zdjęć lub video, znajomości obsługi programów graficznych (Adobe Premiere), kreatywności i zaangażowania.

Zapewniamy: pracę w gronie ekspertów z użyciem sprzętu najwyższej światowej klasy, rozwijanie swoich zainteresowań, możliwość podnoszenia kwalifikacji i rozwoju zawodowego.

Zgłoszenia w postaci CV prosimy przesyłać do 31 maja 2013 roku na adres: do@wp.mil.pl

Częściej i dłużej

Szeregowi i podoficerowie chcą wydłużenia służby kontraktowej i zmian w zasadach podwyższania klas kwalifikacyjnych.

Dziś służba kontraktowa szeregowych zawodowych może trwać do 12 lat. „Jeśli w tym czasie nie podwyższą oni swoich kwalifikacji i nie przejdą do korpusu podoficerskiego, powinni zwolnić miejsce dla kolejnych kadr”, mówił generał broni Mieczysław Gocuł, pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego WP na spotkaniu podoficerów i szeregowych z ministrem Tomaszem Siemoniakiem.

Przedstawiciele obu korpusów proponowali jednak, by wydłużyć ten okres o kilka lat. Argumentowali to tym, że liczby zarówno etatów podoficerskich, jak i miejsc w szkołach podoficerskich, są ograniczone. Jak wyliczali, spośród szeregowych, którzy rozpoczęli służbę trzy lata temu, tylko jedna czwarta ma szansę zostać podoficerami. Reszta będzie musiała pożegnać się z armią.

Minister Siemoniak zapewnił jednak, że prognozy nie są tak pesymistyczne.



„Zależy nam na rotacji w siłach zbrojnych, ale jednocześnie nie chcemy tracić fachowców”, stwierdził. Szefostwo armii nie zgadza się przy tym na przedłużenie czasu trwania służby kontraktowej. „Po dłuższym niż 12 lat okresie w armii szeregowym trudniej będzie ułożyć sobie życie w cywilu i znaleźć tam pracę”, tłumaczył generał Gocuł.

Podoficerom i szeregowym zależy też na zmianie w rozporządzeniu w sprawie klas kwalifikacyjnych. Chcą, aby po 15 latach służby żołnierz mógł podnosić klasę co roku, a nie, tak jak teraz, co trzy lata. „Proponujemy kompromis, czyli dwa lata. Takie rozwiązanie i w związku z tym większe wypłaty dodatków motywacyjnych za klasy – według wstępnych szacunków – i tak będą kosztowały MON dodatkowe 26 milionów złotych rocznie”, wyjaśnił minister Siemoniak. Jak dodał, resort nie chce też, aby okres dochodzenia do kolejnych klas był zbyt krótki. A N N

Święto Sopera

Zgodnie z tradycją maj w Wojskach Lądowych przebiega pod znakiem rozpoznania, a szkolenie zwiadowców nabiera szczególnego tempa. Spotykamy się w tym czasie na drawskim poligonie, aby doskonalić specjalistyczne umiejętności, porównać poziom wyszkolenia zwiadowców na zawodach użyteczno-bojowych drużyn rozpoznawczych oraz sprawdzić wybrane zdolności operacyjne rozpoznania Wojsk Lądowych podczas taktyczno-specjalnych ćwiczeń „Delta”.

Chciałbym przekazać wszystkim zwiadowcom z okazji ich święta najlepsze życzenia sukcesów w służbie, kolegom, którzy wykonują zadania w naszym kontyngencie w Afganistanie, żołnierskiego szczęścia, a nam wszystkim mistrzowskiego opanowania rzemiosła i sprostaną nowym wyzwaniom, zarówno zawodowym, jak i w życiu osobistym.

*Szef Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
– G2 Dowództwa Wojsk Lądowych
pułkownik Sławomir Florek
wraz z kadrą i pracownikami*



ARTIST'S IMPRESSION OF THE SPADA 2000

Zgoda na polską tarczę

Prezydent podpisał ustawę, która daje podstawy do budowy naszego systemu obrony powietrznej.

Nowelizacja ustawy o modernizacji technicznej i finansowaniu sił zbrojnych gwarantuje przeznaczenie pieniędzy na jeden z priorytetów modernizacyjnych armii, czyli budowę własnego systemu obrony przestrzeni powietrznej”, mówił prezydent Bronisław Komorowski, zwierzchnik sił zbrojnych, po podpisaniu dokumentu. Jak dodał minister Tomasz Siemoniak, polski system przeciwrakietowy ma być przede wszystkim dostosowany do obrony przed rakietami krótkiego i średniego zasięgu oraz zintegrowany z systemem budowanym przez NATO.

Zmiana przepisów dotyczy sposobów finansowania w latach 2014–2023 obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej. Nowelizacja przewiduje, że w ramach 1,95 procent PKB, który corocznie jest przeznaczany na obronność, kwoty wynikające ze wzrostu gospodarczego będą przekazywane na budowę polskiej tarczy. Zdaniem Stanisława Kozieja, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, będzie to 4–5 procent budżetu MON rocznie.

Głównym elementem naszego systemu obrony przestrzeni powietrznej mają być zestawy rakietowe średniego zasięgu mogące zestrzelić pociski balistyczne. Plan modernizacji technicznej armii przewiduje, że wojsko otrzyma między innymi sześć baterii z przeciwlotniczym zestawem rakietowym średniego zasięgu oraz tyle samo artyleryjsko-rakietowych bliskiego zasięgu. A D, T W



DEPARTAMENT NAUKI
I SZKOLNICTWA WOJSKOWEGO
ZAPRASZA NA


VI KONFERENCJĘ NAUKOWO-PRZEMYSŁOWĄ

15 MAJA 2013 R.

BADANIA NAUKOWE W OBSZARZE TECHNIKI I TECHNOLOGII OBRONNYCH

CELE
KONFERENCJI:

- *Prezentacja stanu realizacji i zamierzeń w zakresie badań naukowych z obszaru obronności i bezpieczeństwa państwa w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju.*
- *Przedstawienie perspektyw udziału polskich podmiotów naukowych i przemysłowych w programach i projektach badawczych finansowanych przez Europejską Agencję Obrony (EDA), NATO-wską Organizację ds. Badań i Technologii (NATO STO) oraz Europejską Agencję Kosmiczną (ESA) wspierających potrzeby SZ RP.*
- *Prezentacja dokumentu Priorytetowe Kierunki Badań Naukowych na lata 2013-2022, w kontekście realizacji zapisów Krajowego Programu Badań oraz Strategii Działań Resortu Obrony Narodowej w Obszarze Badań i Technologii Obronnych.*
- *Rozstrzygnięcie i przedstawienie wyników konkursu na najlepszą pracę naukową i badawczą z obszaru obronności.*

Rejestracja uczestnictwa i szczegóły organizacyjne na stronie internetowej
www.dnisw.mon.gov.pl 

Centrum Konferencyjne Wojska Polskiego
Warszawa, ul. Żwirki i Wigury 9/13



PIOTR
BERNABIUK

Cuda niepojęte

NASZ Z POZORU RACJONALNY
ŚWIAT OSTATNIO NIECO SIĘ
POGMATWAŁ, W EFEKCIE
CORAZ WIĘCEJ LUDZI
WIERZY W CUDA.
W WOJSKU RÓWNIEŻ...

W 34 Brygadzie Kawalerii Pancernej od dawna już nikogo tak tłumnie i serdecznie, acz zarazem z żalem, nie żegnano, jak odchodzącego do rezerwy młodszego chorążego Konrada Święcickiego. Na „oficjalce” mówiono o autorytecie żołnierza, o jego licznych i cennych dokonaniach, o korzyściach, jakie z jego służby odnosiła cała brygada. Dziękował więc dowódca, dziękował dowódca batalionu, dziękowali także dowódcy niższego stopnia. A kapitan Maciej Strzygocki napomknął o cudach: „Z warszatem Konrada zetknąłem się podczas dowodzenia kompanią. Jest on takim cudotwórcą, który w dwadzieścia minut potrafił wyciągnąć z czołgu wkładkę uwaloną ziemią, wyczyścić ją i z powrotem zamontować. Jeśli chodzi o mechanikę czy uzbrojenie czołgu, to podejrzewam, że drugiego takiego wśród nas nie ma i długo nie będzie”.

W kwestii cudów jednakże pozostaje w tym wypadku otwarte pytanie zasadnicze: jakim cudem dopuszczono, by po piętnastu ledwie latach służby odeszła do cywila taka postać? Cudotwórców oraz cudaków mamy bowiem pod dostatkiem, ale dobrych fachowców bardzo nam brakuje.

Idźmy dalej tropem rzeczy na zdrowy rozum niepojętych. Szeregowy X (sorry, ale imienia i nazwiska nie wspomnę) padł ofiarą zjawiska znanego powszechnie jako „cud domniemany”. Przytoczę krótki dialog bohatera z dowódcą kompanii:

„Panie szeregowy, jakim cudem się pan do wojska dostał?”

W odpowiedzi cisza. Ot, i po rozmowie.

Dodam więc gwoli wyjaśnienia, że w tej dość przykłej sprawie nie było cudu ani objawienia. Był wujek! Konkretna postać, z krwi i kości, gość wysoko postawiony, do tego sympatyczny, a światu życzliwy do przesady. Jeden z tych, którym się nie odmawia. Bo nie wypada i nie warto. Wujka trzeba zrozumieć – chciał pomóc rodzinie. Chłopak się marnował – gdzie poszedł, tam obciach, gdzie zaczął, tam szybko skończył. W sumie był miły, po wujku, ale do niczego. A jak do niczego, to może do wojska? Trzeba pomóc.

A w wojsku tak jak wszędzie – co krok, to porażka. Koledzy się wkurzali i łącha z niego darli, dowódcy, od drużyny do kompanii, nie wiedzieli, czy karać, czy wzywać doktora. Wszyscy zadawali sobie pytanie: „Jakim cudem ten gość się do wojska dostał?”

Tylko dowódca wyższy stopniem, znający na wskroś sytuację, powiedział wprost: „Ktoś, kto podrzucił nam to kukułcze jajo, nie miał wstydu. Bo to niby tylko jeden żołnierz, ale jak kropla dziegieciu w beczce miodu. Mam nadzieję, że pozbędzie się go jakimś cudem”. Dowódca nie ukrywał, że w zaistniałej sytuacji pozostała mu jedynie głęboka wiara w wypadki nadzwyczajne.

Cudownym zrządzeniem losu pomnażają się nam również czyny bohaterskie. Żołnierze, którzy na misji niemalże cudem wyszli z ciężkiej opresji, niestety nie wszyscy, i nie do końca, z wielkim oburzeniem opowiadali, że jako ich ratownik i wybawca pojawił się osobnik, którego w dramatycznym epizodzie nie widzieli. Dla nich, zwykłych szaraków, którzy dali z siebie wszystko, ponosząc ofiary, bohaterstwo tej miary jest zwykłym obciachem. Pytają więc wokół: „Jakim cudem?”

Jak więc widać, cud goni cud. Na szczęście ustawa pragmatyczna nie przewiduje na tę okoliczność etatów ani wprowadzenia do sił zbrojnych nowej specjalności. A to i dobrze, bo zaraz zaczęłoby się cudowanie – jak opisać stanowisko, jak dopasować stopnie, umieścić w korpusie oficerskim czy wśród szeregowych, jak certyfikować... Zapewniam więc raz jeszcze zaniepokojonych z pewnością żołnierzy: jak na razie, wśród cudotwórców panuje wolontariat... ■



|WOJSKA LĄDOWE|

MACHINA

S Z K O L E N I O W A

Czym zajmują się żołnierze w czasie pokoju?



PIOTR BERNABIUK
TADEUSZ WRÓBEL



**O SUKCESIE
NA POLU WALKI
NADAL BĘDĄ
DECYDOWAĆ
GENIUSZ WOJENNY
DOWÓDCÓW
I WYSZKOLENIE
ŻOŁNIERZY**

ŁUKASZ KERMEŁ



MACHINA SZKOLENIOWA

Armia w warunkach pokoju jest przede wszystkim gigantycznym ośrodkiem szkoleniowym. Musi przygotować żołnierzy, a potem zgrać ich w drużyny, plutony, kompanie, bataliony. Następnie połączyć wszystkie elementy w wielką maszynę wojenną i sprawdzić, jak ona działa. Do tego potrzebne jest ogromne zaplecze, od sal szkoleniowo-metodycznych po rozległe poligony, od plansz poglądowych po najnowocześniejsze systemy symulatorów.

SAMI NA 70 PROCENT

Szkolenie wojskowe nieodłącznie kojarzy się z wielkimi przestrzeniami poligonów podzielonych na pasy taktyczne, strzelnice, ośrodki specjalistyczne, obozowiska, i... z dużymi ćwiczeniami, które tam się odbywają. Zanim pododdziały wy-

dowanym, a także „czołgowisko”, gdzie odbywają się nauka i doskonalenie jazdy we wszystkich możliwych warunkach.

Żołnierze muszą poznać tajniki wielu innych dziedzin, dlatego na przykoszarowych terenach powinny znaleźć się między innymi ośrodki szkolenia rozpoznawczego, inżynieryjno-saperskiego, obrony przeciwchemicznej i przeciwlotniczej. Oczywiście nie można zapomnieć o logistyce.

Żeby szkolenie było efektywne, konieczne są specjalistyczne urządzenia szkolno-treningowe. Nie do każdego bowiem treningu wystarczą proste rozwiązania. Dlatego niezwykle istotną rolę odgrywają trenażery, o różnym poziomie zaawansowania, do nauki jazdy czy celowania. Większość z nich to bardzo proste urządzenia, głównie do szkolenia kierowców. Są również tak rozbudowane, jak przeznaczony do szkolenia strzeleckiego drużyny system szkolno-treningowy Śnieżnik, pozwalający aranżować proste sytuacje taktyczne i prowadzić strzelanie z różnego rodzaju broni. Wyjątkowo zaawansowany pod względem technicznym jest Ośrodek Szkolenia „Leopard” w 10 Bry-

COMMENT

JERZY ZDROJEWSKI

Baza poligonowa od dziesięcioleci jest podzielona na specjalności. Swoje zgrupowania mają artylerzyści, przeciwlotnicy, saperzy, chemicy. Szkołą się osobno, osiągając perfekcję. W trakcie wielkich ćwiczeń, będących odzwierciedleniem działań bojowych, główną rolę grają pododdziały ogólnowojskowe – zmotoryzowane, zmechanizowane i pancerne. Nie osiągną jednakże sukcesu bez wsparcia artylerzystów, osłony przeciwlotników, zabezpieczenia logistycznego czy medycznego. Niedokrotnie okazywało się, że działanie znakomicie wyszkolonych i przygotowanych do swej roli zespołów wsparcia nie przekładało się na współpracę z siłami głównymi. Konieczne jest takie myślenie i wcześniejsze przygotowanie, by użyte siły działały jako całość i stanowiły wszechstronny komponent potrafiący wykonać każde stojące przed nim zadanie bojowe.

Putkownik **Jerzy Zdrojewski** jest szefem Oddziału Bazy Szkoleniowej Wojsk Lądowych.

COMMENT

RADOSŁAW STACHOWIAK

Baza szkoleniowa brygady jest bardzo dobrze wyposażona w urządzenia szkolno-treningowe, takie jak LLS, Czantoria czy ORTLES 3 i 3 M (do kompleksowego szkolenia załóg BWP-1) oraz trenażery: PPK Spike IDT i ODT dla operatorów przeciwpancernych pocisków kierowanych. Zgodnie z zatwierdzoną koncepcją rozwoju infrastruktury szkoleniowej w 1. Batalionie Zmechanizowanym w Lęborku będzie budowany cyfrowy symulator Śnieżnik, który zostanie wykorzystany w tradycyjnym szkoleniu ogniowym do szczebla drużyny zmechanizowanej.

Major **Radosław Stachowiak** pełni obowiązki szefa szkolenia 7 Pomorskiej Brygady Obrony Wybrzeża.

ruszą do Drawskiego Pomorskiego, Nowej Dęby czy Orzysza, muszą się dobrze przygotować. U siebie, na miejscu, powinny wykorzystać na szkolenia 70 procent czasu. W batalionie czołgów czy zmechanizowanym należy przygotować i zgrać w małych zespołach specjalistów z wielu dziedzin. Do tego potrzebne są garnizonowa baza szkoleniowa i rozbudowane zaplecze z urządzeniami szkolno-treningowymi, w którego skład wchodzi baza gabinetowa, plac ćwiczeń taktycznych, obiekty szkolenia specjalistycznego, ogniowego i strzeleckiego, nadto niezbędny jest ośrodek szkolenia fizycznego. Obiekty powinny być wyposażone w odpowiednie pomoce dydaktyczne, dobrane do poszczególnych tematów zajęć, w sprzęt audiowizualny, plansze, makiety, przekroje broni, pocisków, min i urządzeń.

Do szkolenia z podstaw wojskiej potrzebne są plac ćwiczeń taktycznych z torami stanowiącymi miniaturowe pola walki dla pododdziałów pancernych czy zmechanizowanych, z ośrodkami, w których żołnierze uczą się z użyciem sprzętu pokonywania przeszkód wodnych, z rejonem do szkolenia w terenie zabu-

gdzie Kawalerii Pancernej w Świątoszowie, służący do jednoczesnego szkolenia plutonu czołgów. Niestety, symulator tej klasy jest na razie w wojsku tylko jeden.

PUSTE STRZELNICE

W jednostce ogólnowojskowej oprócz pancerniaków czy piechociągów znajdują się pododdziały kilku innych specjalności, zatem rozmaitość zaplecza szkoleniowego jest przeogromna. Zajmuje też ono odpowiednio dużo miejsca, zazwyczaj poza murami koszar, na obszarze otoczonym tablicami w kilku językach: „Teren wojskowy, wstęp wzbroniony”.

Oddzielenie światów cywilnego i wojskowego za pomocą żółtych tablic nie gwarantuje jednak bezkonfliktowego funkcjo-

POLIGONY WOJSK LĄDOWYCH POD WZGLĘDEM POWIERZCHNI NALEŻĄ DO NAJWIĘKSZYCH W EUROPIE

nowania garnizonowych obiektów szkoleniowych. Tak jest między innymi ze strzelnicami, z którymi od około dziesięciu lat są kłopoty nie tylko w Wojskach Lądowych.

Zaczęły się od tego, że część obiektów, zwłaszcza w dużych i średnich miastach, została w ostatnich dziesięcioleciach otoczona przez cywilizację, w szczególności chodzi tu o osiedla mieszkaniowe. Po wejściu w życie rozporządzenia ministra obrony narodowej z 4 października 2001 roku (Dziennik Ustaw nr 132, poz. 1479) w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać strzelnice garnizonowe, ze względu na usytuowanie z dnia na dzień wyłączono z użytku znaczną część obiektów, które wcześniej nikomu nie przeszkadzały.

Efektom zmian w przepisach są ogromne koszty poniesione nie tylko na modernizację. Łatwo je oszacować, wystarczy pomnożyć liczbę żołnierzy w batalionie przez liczbę programowych zajęć strzeleckich w roku i odległość od najbliższej strzelnicy, wynoszącą czasem 50 kilometrów albo nawet i ponad sto.

Ostatnio sprawy mają się wprawdzie nieco lepiej, nadal jednak z blisko pół setki strzelnic nie można korzystać, a jedynie około trzydziestu jest czynnych. Dostosowane już do wymagań wynikających z przepisów obiekty zdecydowanie pogarszają jakość szkolenia, ponieważ uwzględniają konieczne strefy bezpieczeństwa i przesłony chroniące przed zabłąkanymi kulami. W efekcie żołnierz strzela w tunelu, a na polu walki nie będzie przecież działał w izolacji, musi współpracować z kolegami, ubezpieczać ich i dzielić cele. Takie niepełne szkolenie odbywa się między innymi w otwieranych obecnie obiektach w Międzyrzeczu, w Brzegu czy Lidzbarku Warmińskimi i Węgorzewie. A to jedynie nauka celowania.

WIELKA CZWÓRKA

Wojska Lądowe z pewnością nie mogą narzekać na poligony. Pod względem powierzchni należą one do największych w Europie, a dzięki różnorodności ukształtowania terenu umożliwiają szkolenie zarówno na podłożu piaszczystym, jak i na bagnach, równinach i w lasach. Do wielkiej czwórki należą poli-

gony w Drawsku Pomorskim, Żaganii, Nowej Dębie i Bemowie Piskim.

Na największym z nich, w Drawsku Pomorskim, może prowadzić działania cała dywizja. Na największym pasie taktycznym Bucierz, o głębokości 8 kilometrów i szerokości 4–7 kilometrów, może ćwiczyć działania ofensywne i obronne wzmocniony batalion czołgów lub piechoty zmechanizowanej.

Mniej więcej za dwa lata, dzięki kompleksowemu systemowi symulacji pola walki, właśnie tam będą rozgrywane wielkie gry komputerowe. Program w całości zobrazuje pole działań militarnych i systemy dowodzenia wszystkich szczebli, od głównego dowódcy po strzelców w okopach, reagując na każdą wydaną decyzję, komendę i działanie żołnierzy na polu walki. Pozwoli to na prowadzenie realnych, dwustronnych ćwiczeń do szczebla wzmocnionego batalionu czy taktycznej grupy bojowej. O sukcesie nadal będą decydować geniusz wojenny dowódców i wyszkolenie żołnierzy.

Na poligonach w Wierzbiniach (Orzysz) i Wędrzynie zakładane są nowe bezprzewodowe systemy sterowania polami tarczowymi w systemach WB 03, WSB 04, a także systemy Agat/Szmaragd. To bardzo ważne, bo od sprawności, niezawodności, liczebności i możliwości wariantowania wojsk przeciwnika zależy jakość szkolenia. Istotne są również bilansowanie i analiza działania na podstawie komputerowych zapisów. Wówczas każdy dowódca i żołnierz wiedzą, co zrobili źle, a co dobrze.

UCIECZKA OD CYWILIZACJI

Obraz garnizonowej bazy szkoleniowej w jednostkach WL, mimo pewnych braków, nie jest najgorszy, ale z pewnością bardzo zróżnicowany i jeszcze nie na miarę armii zawodowej. Infrastruktura szkoleniowa w zauważalny sposób się rozwija, i są to dopiero początki.

W Wojskach Lądowych mówi się o koncepcji modernizacji bazy szkoleniowej i jej wyposażenia uwzględniającej wprowadzenie teleinformatycznego wsparcia szkolenia. Należy ją jednakże oprzeć na długofalowej koncepcji rozwoju Wojsk Lądowych po ostatecznej dyslokacji jednostek, by nie inwestować w coś, co za chwilę zniknie – po reformie struktury dowodzenia oraz po zakończeniu prac nad modyfikacją programu szkolenia.

Aby te plany się powiodły, kluczowa będzie stabilność finansowa sił zbrojnych, zapewniająca płynną realizację inwestycji. Przełoży się to na systemowe wyposażenie WL w тренаżery i symulatory, których dobór będzie uzależniony od wprowadzanego dziś oraz w najbliższej perspektywie nowego uzbrojenia.

Jest jednak pewien szkopuł. Świetnie skonfigurowane poligony z pewnością zamienią się w nowoczesne kombinaty szkoleniowe. W usytuowanych w dużych miastach garnizonach wojsko, ruchliwe i hałaśliwe, zawsze będzie komuś wadzić. Idealnym rozwiązaniem byłaby więc ucieczka od cywilizacji i urządzenie dużych baz wojskowych zintegrowanych z największymi poligonami. Ułatwiłoby to szkolenie i obniżyło jego koszty, nie mówiąc o zakończeniu konfliktów ze światem cywilnym.

Zanim jednak zmiany te przyniosłyby oszczędności, najpierw pochłonęłyby gigantyczne kwoty na budowę infrastruktury – koszar, garaży i osiedli. Pojawiłby się również problem o charakterze ludzkim, bo przeprowadzka wiąże się z trudnościami ze znalezieniem pracy przez cywilną częśći rodzin czy szkół dla dzieci. Z drugiej jednak strony, jednostki 11 Dywizji Kawalerii Pancernej są w większości tak usytuowane, że z koszar wyjeżdża się wprost na poligon. ■

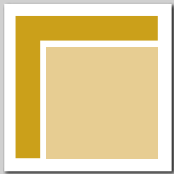
POLSKA POLIGONOWA

MAMY JEDNE Z NAJWIĘKSZYCH W EUROPIE POLIGONY. STANOWIĄ ONE „RODOWE SREBRA” NASZEGO WOJSKA.

Drawsko Pomorskie.

Przeznaczenie szkoleniowe – ćwiczenia do szczebla dywizyjnego

POWIERZCHNIA CAŁKOWITA



340

kilometrów kwadratowych (164,44 obszar operacyjny)



20 kilometrów



20 kilometrów



Najważniejsze obiekty – pasy taktyczne: Góra Hetmańska, Bucierz, Mielno i Studnica; strzelnice: Garnizonowa, Jaworze, Konotop, Mielno i Studnica; jezioro Ostrowiec (ćwicz się na nim pływanie i strzelanie nawodne); ośrodek Zalane (przygotowuje się tam żołnierzy do pokonywania głębokich przepraw wodnych po dnie); ośrodek Czertyń (dla wojsk inżynieryjnych); ośrodek Jaworze (dla wojsk rozpoznawczych i specjalnych); Zły Łęg (można tam ćwiczyć natarcie, przemieszczenia, forsowanie przeszkód wodnych i przeprawy po mostach); Kanał Hetmański (forsowanie przeszkód po mostach); rejon Głębokie – Las Kmicica (ćwiczą tam jednostki chemiczne).



Zakwaterowanie – 6380 żołnierzy (w budynkach i namiotach)

Żagań

POWIERZCHNIA CAŁKOWITA

Przeznaczenie szkoleniowe – ćwiczenia do szczebla dywizyjnego



340,56

kilometra kwadratowego (obszar operacyjny 172,82)



40 kilometrów



20 kilometrów



Najważniejsze obiekty – pasy taktyczne Joanna i Świętoszów, strzelnice Golnice i Karliki, sześć stanowisk strzeleckich dla artylerii (kształt poligonu umożliwia prowadzenie strzelania do celów odległych o około 35 kilometrów)



Zakwaterowanie od 3008 do 3668 żołnierzy

OPRAC. TW

POWIERZCHNIA
CAŁKOWITA

166,68

kilometra
kwadratowego
(obszar
operacyjny
81,22)



20

kilometrów



15

kilometrów



Najważniejsze obiekty – pas taktyczny, ośrodek Wyreby (dla wojsk inżynieryjnych), ośrodek Klusy (dla wojsk rozpoznawczych), kanał Ruda, lotnisko polowe Rostki



Zakwaterowanie
– 1400 żołnierzy

Bemowo Piskie

Przeznaczenie szkoleniowe – ćwiczenia do szczebla brygadowego

Wędrzyn

Przeznaczenie szkoleniowe – ćwiczenia do szczebla brygadowego

POWIERZCHNIA
CAŁKOWITA

121,91

kilometra
kwadratowego
(obszar operacyjny
55,48)



12

kilometrów



14

kilometrów



Najważniejsze obiekty – pas taktyczny Trzemeszno, ośrodek zurbanizowany Nowy Mur (siedem ulic z 52 budynkami i 20 fragmentami ruin), ośrodek zurbanizowany Lędów (do ćwiczenia działań antyterrorystycznych), Wzgórze 195,0 (w tym miejscu szkolą się żołnierze przed misją w Afganistanie; na wzgórzu odbywa się zgrzywanie drużyn ze strzelaniem amunicją bojową podczas natarcia pod górę oraz po zdobyciu wzgórza w dół), kanał Malcz.



Zakwaterowanie
– ponad 1000 łóżek
w budynkach i dwa pola
namiotowe dla 1000
żołnierzy (100 namiotów)

Nowa Dęba

Przeznaczenie szkoleniowe – ćwiczenia do szczebla brygadowego

POWIERZCHNIA
CAŁKOWITA

152,51

kilometra
kwadratowego



26

kilometrów



25

kilometrów



Najważniejsze obiekty – pasy taktyczne Kierunek II i Twierdza, ośrodek Sitawina (dla wojsk inżynieryjnych), centra szkolenia dla jednostek chemicznych i przeciwlotniczych oraz kontyngentów na potrzeby misji ONZ.



Zakwaterowanie
– 470 żołnierzy
(w hotelach polowych
i barakach)

OGÓLNOKRAJOWA KONFERENCJA NAUKOWA NA TEMAT SYSTEM OBRONY POWIETRZNEJ POLSKI

ORGANIZATORZY:



**WOJSKOWA AKADEMIA
TECHNICZNA**



**AKADEMIA OBRONY
NARODOWEJ**



**POLSKIE LOBBY
PRZEMYSŁOWE**

Współorganizatorzy:



**Akademia
Marynarki
Wojennej**



**Instytut Techniki
Wojsk Lotniczych**



**Wojskowy Instytut
Techniczny Uzbrojenia**

Patron medialny:

ARMIA
LIPOSIĘCZNY MAGAZYN WOJSKI

RAPORT
WOJSKO TECHNIKA OBRONNOŚĆ

Polska Zbrojna

**NOVA
TECHNIKA
WOJSKOWA**

WARSZAWA, CENTRUM KONFERENCYJNE WOJSKA POLSKIEGO,
ul. Żwirki i Wigury 9/13

14–15 maja 2013 r.

Przeciwnik na niby

Specjaliści dostaną najnowocześniejsze symulatory. Wirtualnie będą mogli walczyć w dowolnym miejscu na świecie i stawić czoła nawet najgroźniejszym przeciwnikom.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Wojska Specjalne chcą wesprzeć szkolenie swoich żołnierzy nowoczesnymi urządzeniami. Trening na symulatorach będzie uzupełnieniem tego realnego. Dzięki temu operatorzy przećwiczą działanie w dowolnym klimacie i różnorodnej pogodzie, sprawdzą się w warunkach maksymalnie zbliżonych do prawdziwego pola walki. To na razie plany. Jeszcze nie wiadomo, kiedy symulatory zostaną kupione. Obecnie Inspektorat Uzbrojenia analizuje rynek i szuka dostępnych rozwiązań.

NOWA JAKOŚĆ

Komandosi dotychczas rzadko korzystali z systemów wsparcia szkolenia. Najczęściej ćwiczyli w terenie, na polskich i zagranicznych poligonach. Działo się tak dlatego, że dostępne w kraju тренаżery nie spełniały ich oczekiwań. Urządzenia nie pozwalają przećwiczyć skomplikowanych scenariuszy walki, zaplanować niebezpiecznych misji, a właśnie do takich zadań komandosi muszą być przygotowani.

„Systemy wsparcia, którymi dysponujemy, są dość skromne i konstrukcyjnie zapóźnione”, mówi oficer z pionu szkolenia w Dowództwie Wojsk Specjalnych. „Całkowicie nie przystają do poziomu szkolenia, jaki reprezentują nasi żołnierze”.

Poza tym тренаżery, takie jak Cyklop czy Czantoria, służą do szkolenia indywidualnego, a specjalsom przede wszystkim zależy na tym, by mógł ćwiczyć cały zespół. Dlatego DWS chce kupić symulatory najnowszej generacji: system symulacji pola walki WS, laserowy system taktycznego odwzorowania pola walki i wirtualny system taktycznego pola walki.

Nowe urządzenia zmniejszą koszty szkolenia i uatrakcyjnią trening. Z użyciem sprzętu żołnierze będą się uczyć właściwego przygotowania i planowania operacji specjalnych. Sprawdzi on także, czy potrafią korzystać z bezażłogowców, rozpoznawać teren oraz wykrywać improwizowane ładunki wybuchowe. Według rozmaitych scenariuszy specjaliści będą ćwiczyli działanie w różnych szerokościach geograficznych, co dla WS jest bardzo cenne. Swoją warsztat będą mogli szlifować także żołnierze naprowadzający lotnictwo na cele naziemne.

Symulatory przydadzą się też do przygotowania do udziału w konkretnych operacjach. Jeżeli żołnierzom przyjdzie na przykład uwolnić zakładników z miejskiego ratusza w Ghazni, to nie będą omawiać akcji, rozrysowywać map i przygotowywać się do działania „na sucho”.

„Wystarczy wprowadzić konkretne dane do komputera i po prostu przećwiczyć poszczególne etapy działania, tak jak będzie to wyglądało w rzeczywistości”, wyjaśnia podpułkownik Ryszard Jankowski, rzecznik prasowy DWS.

Możliwości symulatorów są prawie nieograniczone. Trening można przeprowadzić na lądzie, w powietrzu, a w pewnym zakresie także w wodzie.

„Na świecie jest tylko kilka takich urządzeń, a w Polsce na tym poziomie wirtualny trening jeszcze w ogóle nie istnieje”, mówi oficer z DWS.

STARCIE NA HALI

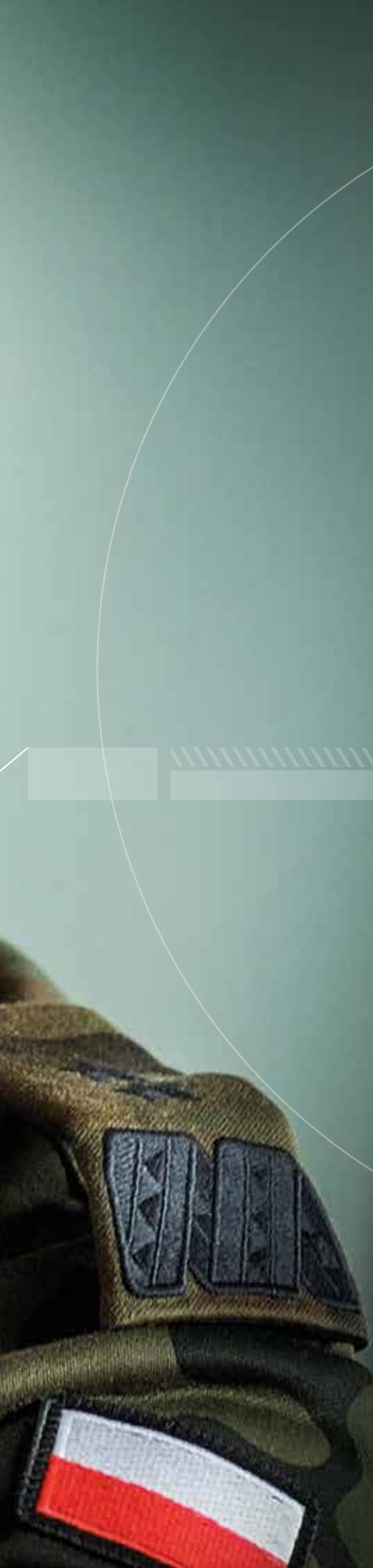
Jak to działa? By w pełni wykorzystać system, potrzebna jest hala wielkości boiska sportowego. Dookoła zamontowane są rusztowania, na których znajdują się czujniki ruchu. Każdy z trenujących operatorów (a ćwiczy jednocześnie kilka osób tworzących sekcję) używa broni, ma na sobie gogle oraz specjalne markery, za których pomocą system śledzi wszystkie ruchy użytkownika. Szkolenie komandosów jest dynamiczne i można je na bieżąco kontrolować oraz korygować.

„Symulować da się niemal wszystko, łącznie z opadami, niską temperaturą i zamgleniem. Możemy sprawić, że za rogiem czekać będzie przeciwnik, możemy ćwiczyć działanie ze śmigłowcami albo sprawdzić taktykę naszych żołnierzy w razie zagrożenia terrorystycznego”, wyjaśnia komandos, który o tym, jak działa system symulacji, przekonał się na pokazie w Stanach Zjednoczonych.

Co ciekawe, symulator stworzy także przeciwnika. Będzie można z nim rozmawiać, wydawać mu konkretne polecenia i komendy. Zachowanie i sposób działania żołnierzy oraz tło taktyczne, animację i dźwięk (wszystko to widzi i słyszy także ćwiczący) będzie można obserwować na monitorach. ■

armia
SPOTKANIA

Wirtualne okopy



Z generałem dywizji **Markiem Tomaszycim** o realistycznych bataliach przeprowadzanych na symulatorach i o konieczności zaangażowania praktyków pola walki w szkolnictwo wojskowe rozmawiają **Piotr Bernabiuk** i **Tadeusz Wróbel**.

Czy łączenie szkolenia poligonowego z ćwiczeniami na nowoczesnych symulatorach pola walki nie wywoła zamieszania zarówno w sztykach bojowych, jak i żołnierskich głowach?

Z pewnością nie, ponieważ system wspierania szkolenia trenerami i symulatorami funkcjonuje od lat. Poprawia się jedynie jakość urządzeń i zwiększa zakres ich działania. Dzięki temu uzyskujemy efekty coraz bardziej zbliżone do rzeczywistego pola walki.

Pole walki jest bardzo rozległym pojęciem. Na jakim poziomie będzie można rozgrywać wspieraną przez komputery batalię?

Dążymy do budowy kompleksowego systemu, rozpoczynającego się od najwyższego, strategicznego poziomu, a kończącego na drużynach i załogach oraz wchodzących w ich skład żołnierzach.

Co już jest gotowe, a na co czekamy?

W Centrum Symulacji Komputerowej i Gier Wojennych Akademii Obrony Narodowej znalazł się już JTLS [The Joint Theater Level Simulation]. Stopień niżej, na poziomie taktycznym, czyli dywizji – brygady – batalionu, jest JCATS [Joint Conflict and Tactical Simulation]. Dwa mobilne wydziały symulacji osiągają właśnie zdolność do jego użycia w Centrum Wspierania Mobilnych Systemów Dowodzenia w Białobrzegach, a trzeci wydział z Pionu Systemów Symulacji Pola Walki CWMSD przewidujemy rozwinąć już jako stacjonarny w rejonie Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych na poligonie w Drawsku Pomorskim. Jeśli chodzi o kolejny element systemu, obejmujący działania na szczeblu kompania – pluton – drużyna, to właśnie rozpoczęła się procedura przetargowa. I wreszcie, na najniższym poziomie znajdzie się →

LSS [laserowy symulator strzelań]. Dzięki niemu żołnierze mający odpowiednie oprzyrządowanie i broń przystosowaną do strzelania wiązką laserową będą mogli prowadzić działania dwustronne. Czekałym nas wyzwaniem jest integracja symulacji konstruktywnej z wirtualną.

Czy to będzie coś na wzór Czantorii sprzed kilkadziesiąt laty, która była nowatorska, ale też niezwykle kłopotliwa w użyciu?

Czantoria to nieustannie rozwijający się program. Zmieniamy jednak jego nazwę, żeby się źle nie kojarzyła. Nie będzie miał nic wspólnego ze starą, prymitywną jak na obecne czasy Czantorią, którą za każdym razem trzeba było kilka godzin przygotowywać. Nowy LSS będzie niezwykle precyzyjny, bardzo skuteczny i wygodny w użyciu.

Jak bardzo precyzyjny?

Pozwoli na wiernie odzwierciedlenie działań bojowych, co powinno przynieść przełom w szkoleniu taktycznym i taktyczno-specjalnym. Umożliwi prowadzenie zaawansowanych ćwiczeń taktycznych z żołnierzami działającymi niemalże tak, jak w warunkach bojowych.

Wszystko odbędzie się jak na polu walki, nie będzie jedynie zabitych i rannych?

Jedynym odejściem od autentyzmu to zastąpienie amunicji bojowej wiązką laserową. W razie trafienia na czytniku wyświetli się informacja, czy żołnierz został zabity, czy też ciężko lub lekko ranny. A to spowoduje odpowiednie działanie dowódcy, który zadecyduje o udzieleniu poszkodowanemu pierwszej pomocy lub wezwaniu ewakuacji medycznej. Jeśli wezwie śmigłowiec Medevac, to ten przyleci, bo również będzie podłączony do systemu.

Co więc zadecyduje o ostatecznym sukcesie?

Wygra ten, kto przewyższy przeciwnika pomysłem taktycznym i lepiej poprowadzi walkę. A będzie miał wielkie pole do popisu: jeśli zaplanuje działania artylerii, to ona wesprze go ogniem; jeśli żołnierz rzuci granatem, to on wybuchnie; jeśli założona mina nie zostanie rozpoznana i ktoś na nią nadejście, spowoduje to wybuch i będą ranni; jeśli przywoła śmigłowiec, to one przylecą, ponieważ będą w tym samym systemie. Wszystko, co się wydarzy realnie w polu, zostanie spięte z systemem „kompania – batalion”, następnie „batalion – brygada” i dywizja, i wyżej. Będzie można zatem prowadzić pełne ćwiczenia, zarówno dowódczo-sztabowe, jak i z wojskami w polu.

Czy dzięki tak nowoczesnym rozwiązaniom metoda „pieszo jak czołgi” przejdzie do historii?

Niepotrzebnie stare rozwiązania uważane są za przejaw „betonowego” myślenia. Szkolenie „pieszo jak czołgi” stosuje się w wielu armiach świata. I wcale nie z powodu biedy. Co więcej, ćwiczy się również metodą „pieszo jak śmigłowiec” czy „pieszo jak samolot”. Wtedy dowódca ma okazję zobaczyć, jakie błędy popełniają żołnierze. Ci zaś rozwijają wyobraźnię i widzą wszystko dookoła nie tylko spod pancerza czy przez peryskopy.

Nie łatwiej byłoby wsiąść do czołgu czy transportera i ruszyć do boju?

Działanie ze sprzętem jest kwintesencją szkolenia. Po opowaniu teorii, kiedy już zadania przećwiczymy na „piaskownicy” czy na rysunczkach, gdy pójdziemy w pole i „pieszo jak czołgi” sprawdzimy, jak to działa, wsiadamy do wozu bojowego i powtarzamy wszystkie czynności i manewry przy otwartych włazach, a potem przy zamkniętych. Dopiero po takim przygotowaniu powinniśmy rozpoczynać zajęcia taktyczne i strzelanie amunicją bojową.

Od planów komputerowo-elektronicznych, które niedawno były jedynie wirtualnymi marzeniami, przejdźmy do działań w realu. 1 kwietnia 2013 roku ruszył nowy program szkolenia Wojsk Lądowych...

Program jest ten sam niezmiennie. W Dowództwie Wojsk Lądowych pracujemy jedynie nad udoskonaleniem, usystematyzowaniem szkolenia na jego drugim etapie, polegającym na utrzymaniu zdolności bojowej.

Co się zmieniło w systemie szkolenia od czasu przejścia sił zbrojnych na służbę w pełni zawodową?

Wraz z uzawodowieniem sił zbrojnych opracowaliśmy trzyletni cykl szkolenia. Przez dwa lata, w pierwszym etapie, prowadziliśmy szkolenie specjalistyczne – czyli żołnierze szkolili się w swoim rzemiośle. Odbywało się też zgrywanie ich działania kolejno na poziomie drużyny, plutonu, kompanii, aż do szczebla batalionu.

Czyli bataliony powinny już być gotowe do wykonywania zadań.

Dwa lata temu jako pierwsze uzyskały kolejno gotowość dwa bataliony 12 Brygady Zmechanizowanej. Po certyfikowaniu, czyli osiągnięciu zdolności bojowej, przeszliśmy do kolejnego etapu – podtrzymania tej zdolności na odpowiednim poziomie. Niestety, ze względu na duże zmiany strukturalne oraz znaczące ubytki kadrowe, część batalionów musiała wrócić do niższego poziomu szkolenia i ponownie odtwarzać zdolność do prowadzenia działań. Dopiero w 2012 roku i bieżącym większość z nich ponownie osiągnęła gotowość lub wkrótce ją osiągnie.

Czy to brak szeregowych spowodował taką sytuację?

Szeregowych brakowało wcześniej, gdy zwiększaliśmy ich liczbę, jednocześnie zmniejszając stany osobowe podoficerów i oficerów. Teraz problem mamy właśnie z oficerami i podoficerami, ponieważ w ciągu ostatnich kilku lat odeszło wielu doświadczonych żołnierzy.

Brakuje również najmłodszych oficerów, podporuczników.

Sytuacja jest coraz lepsza, szeregi zapełniają się żołnierzami zawodowymi. Mam nadzieję, że w tym roku również podporucznicy wypełnią luki w plutonach. Po osiągnięciu stabilizacji kadrowej bardzo rzadko będziemy wracać ze szkoleniem do poziomu wyjściowego i powszednią praktyką stanie się okres podtrzymania zdolności bojowej.

W jaki sposób w czasach pokoju sprawdza się poziom wyszkolenia?

Najwyższym poziomem szkolenia są ćwiczenia taktyczne ze strzelaniem amunicją bojową, w których wyprowadza się

DZIĘKI MISJOM OSIĄGNIĘLIŚMY STOPIEŃ UTECHNICZNIENIA, JAKIEGO NIE MUSIMY SIĘ WSTYDZIĆ.

do działania dowództwa i sztaby oraz wojska. Połączenie wszystkich elementów w jeden organizm, a potem sprawne jego funkcjonowanie dają pełen obraz wykształcenia pododdziałów, oddziałów i związków taktycznych.

Raz do roku Wojska Lądowe organizują wielkie manewry.

Jest to właśnie najwyższa forma sprawdzianu. Co drugi rok odbywają się ćwiczenia „Dragon”, w których bierze udział dywizja wraz z brygadami. Na zmianę z nimi odbywają się kolejne „Anakondy”, czyli ćwiczenia dowódczo-operacyjne, angażujące co najmniej jedną dywizję z jej wojskami oraz samodzielną brygadę i jednostki innych rodzajów sił zbrojnych.

Wróćmy na niższy szczebel. Gospodarowanie potencjałem szkoleniowym Dowództwo Wojsk Lądowych w znacznym stopniu zostawia batalionom.

Dowódcom brygad i batalionów. Ci drudzy są głównymi moderatorami szkolenia, układają plan stosownie do swoich potrzeb, mogą w nim dokonywać również pewnych zmian ramowych.

A więc ci dowódcy działają zgodnie z zasadą: „dowodzisz, szkolisz, odpowiadasz”?

Tej zasady nie udało się nam do końca wiernie utrzymać. W dotychczasowych programach szkolenia dowódcy plutonu, kompanii czy batalionu prowadzili zajęcia na swoim szczeblu dowodzenia. Następnie meldowali o osiągnięciu gotowości, a potem byli certyfikowani. Sprawdzało się to we wszystkich dziedzinach oprócz taktyki.

Czy dlatego, że szkolili samych siebie?

A jak szkolili sami siebie, to nie zawsze uzyskiwali oczekiwany poziom. Dlatego postanowiliśmy, że szkolenie taktyczne dowódca plutonu poprowadzi z drużyną, dowódca kompanii – z plutonem, dowódca batalionu – z kompaniami. W ten sposób dowódca kompanii, który ma dowódców plutonów przygotowanych na zróżnicowanym poziomie, osiągnie jednolite wykształcenie całego pododdziału. Podobnie jest na innych szczeblach.

Dlaczego trzeba było zmieniać system?

Był to efekt kilku niewłaściwych rozwiązań. Między innymi tego, że po wprowadzeniu nowej instrukcji działalności metodyczno-szkoleniowej zaniechano jednej z podstawowych form przygotowania, czyli przeprowadzania instruktazu dla kierownika zajęć.

Zostało to zakazane?

Wystarczyło, że nie było bezwzględnie wymagane. A że ludzie są leniwi, to większość dowódców dawała wolną rękę swoim podwładnym. Plutony są dowodzone przez najmłodszych oficerów, po szkole oficerskiej, akademii bądź studium. Jeśli na początku nie nauczymy ich właściwego prowadzenia szkolenia, to nie będą później dobrymi dowódcami kompanii ani batalionów.

Czy w szczególności dotyczy to przygotowania absolwentów studium oficerskiego?

Długo miałem o nich złe zdanie, ale w ostatnim czasie je zmieniłem. Bardzo sobie cenię żołnierzy przychodzących po studiach cywilnych, którzy chcą zostać oficerami.

To dość zaskakująca opinia.

Są bardzo ambitni i zmotywowani do służby. Często, jak sami twierdzą, zaznali w życiu cywilnym upokorzenia związanego z bezrobociem. Wiedzą, że zawód żołnierza jest trudny, ale zapewnia niezłe życie i jest pewną przygodą. Dokonują wyboru bardzo świadomie.

Nowa koncepcja szkolnictwa wojskowego zakłada jednak wygaszenie tej formy szkolenia oficerskiego.

No właśnie. A moje poglądy, po licznych obserwacjach, ewoluowały w ciągu ostatnich dwóch lat. Mam bardzo pozytywne doświadczenia, jeśli chodzi o zaangażowanie tych ludzi, ich chęci i szacunek do pracy. Wielu absolwentów akademii i szkół oficerskich nie szanuje tego, co ma. Uważają, że wszystko im się należy. Oczywiście w jednym i drugim wypadku są ludzie nienadający się do wojska, mimo że na drodze do gwiazdek spełnili wszystkie formalne warunki.

W Wojskach Lądowych są jednostki niemal w pełni uкомплектовane, uкомплектовane w 30 procentach, ale również tak zwane kadłubki. Czy to nie jest kuriozum w armii zawodowej?

Nie! Bo to nic innego jak bazy, które istnieją we wszystkich niemal armiach świata. System polega na wypełnianiu ich powoływanych do służby rezerwistami.



Przecież nie ma rezerwistów. System powoływania żołnierzy rezerwy padł już w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Nieprawda. Jeszcze w 2001 roku jako dowódca 9 Brygady Pancерnej brałem udział w ćwiczeniu z powołaniem rezerwy. Również w 2005 roku, gdy dowodziłem brygadą, rozwijałem batalion rezerwy. Szkolenie rezerw upadało nieco później, z przyczyn finansowych. Gdy przeszliśmy na zawodowstwo, znikło całkowicie.

Czy nie należałoby do niego wrócić?

Z pewnością. Na odprawie kadry kierowniczej sił zbrojnych prezydent Bronisław Komorowski mówił o potrzebie powrotu do szkolenia rezerw osobowych. I zapewne do niego wrócimy. Nawet w tym roku jest przewidziana pewna liczba rezerwistów do przeszkolenia.

Co stoi zatem na przeszkodzie?

Struktury armii są przygotowane do systemowego szkolenia stu procent rezerwy, tylko nie można mieć wszystkiego jednocześnie. Najpierw musimy sobie odpowiedzieć na pytania: czy chcemy mieć zmodernizowaną, świetnie wyszkoloną armię, czy może wolimy wyszkolone rezerwy i słaby sprzęt? Optymalnym i najbardziej pożądanym rozwiązaniem byłoby mieć jedno i drugie, ale niestety tak się nie da.

Jak więc przebiega szkolenie w jednostkach o niższym poziomie ukończenia?

Podobnie jak w tych wypełnionych wojskiem. Inaczej tylko wygląda końcowe szkolenie. Niedawno odbyły się ćwiczenia instruktazowo-metodyczne dowódcy 12 Dywizji Zmechanizowanej na bazie ćwiczeń batalionowych 2 Brygady Zmechanizowanej, takiej właśnie „niekompletnej”. W takim wypadku szkolimy batalionowy moduł bojowy z jedną rozwiniętą kompanią oraz przydzielonymi siłami i środkami wzmocnienia z brygady i powinniśmy dołączyć do niej kompanię Narodowych Sił Rezerwowych. Przede wszystkim jednak szkolimy dowództwa kompanii i batalionu, które są dla nas najważniejsze.

Jaki efekt może przynieść takie „sztukowanie”?

Taki, że dla sił zbrojnych nadrzędne jest szkolenie dowódców. Oficer, czy ma pod sobą w pełni rozwinięty pododdział, czy tylko połowę żołnierzy, musi postawić zadania i wykonać je w polu. Jeśli czegoś nie zdoła zrealizować z powodu braku ludzi w szeregu, stosuje się pewną umowność, czyli „podgrywkę sytuacyjną”. Dzięki temu wszystkie jednostki – z wyjątkiem tych „kadłubków” – szkolimy do poziomu batalionu.

Czy w dobrze wyszkolonym batalionie zawsze są dobrze wyszkoleni żołnierze?

Nawet wówczas, gdy prowadzimy szkolenie na najwyższym poziomie, nieustannie należy pamiętać o wznawianiu umiejętności poszczególnych specjalistów. Jeśli się to zaniedba, żołnierze tracą nawyki i zapominają o najprostszych sprawach. W efekcie batalion rozwija się jako struktura bojowa, a szeregowy nie potrafi prawidłowo wykopać stanowiska, wyznaczyć sektorów ognia czy się zamaskować...

ŻOŁNIERZ MUSI BYĆ MOBILNY. MOBILNOŚĆ JEST DZIŚ WYMAGANA NIE TYLKO OD OFICERÓW, LE CZ TAKŻE OD PODOFICERÓW

Przy każdej okazji podkreśla się rangę szkolnictwa wojskowego. Czy jego „produkt” spełnia oczekiwania szefa szkolenia Wojsk Lądowych?

Odnosząc się jedynie do centrów szkoleniowych, podlegających Dowództwu Wojsk Lądowych, przyznam, że mamy pewien kłopot. By osiągnąć oczekiwany efekt, kadre dowódczą i instruktorską powinniśmy pozyskiwać do ośrodków szkolenia z jednostek bojowych. Najlepsi żołnierze praktycy przekazywaliby wówczas swą wiedzę i umiejętności, a sami przy okazji doskonalili się z metodyki. Następnie wracaliby do swoich jednostek i awansowali na wyższe stanowiska. Na ich miejsce przychodziliby kolejni, z najbardziej aktualną wiedzą.

Dlaczego ten z pozoru prosty mechanizm nie działa?

Bo nie mamy systemu motywacyjnego zachęcającego do służby w ośrodkach szkolenia.

Co należałoby zrobić?

Równorzędne stanowiska powinny być lepiej opłacane w szkolnictwie niż w jednostkach liniowych.

Parę złotych wszystko by załatwiło?

Nie wszystko. Jednym z warunków awansu na kolejne, wyższe stanowisko powinno być przekazanie swego doświadczenia w szkolnictwie wojskowym. Najlepsi dowódcy drużyny szkoliliby kadetów, przyszłych dowódców drużyn, pomocnik dowódcy plutonu uczyliby na kursie dla chorążych.

A dowódca kompanii?

Byłby przez pewien czas trenerem w szkole oficerskiej, wyuczyłby jedną grupę słuchaczy i powróciłby do swojej jednostki, ale na wyższe stanowisko.

Koncepcja znakomita, ale już rośnie jej broda.

Mam nadzieję, że wejdzie w życie. Wszyscy widzą taką potrzebę, ale wiąże się z nią również wiele spraw wymagających regulacji prawnych. Po zakończeniu prac nad nowymi strukturami dowodzenia należałoby zacząć zdecydowanie porządkować sprawy szkoleniowo-kadrowe.

W naszej rozmowie o szkoleniu nie sposób pominąć udziału żołnierzy Wojsk Lądowych w misjach zagranicznych. Jedni twierdzą, że kiedy się na nich koncentrowaliśmy, zaniedbaliśmy przygotowywanie się do obrony własnego kraju. Drudzy widzą, że dzięki udziałowi w tych operacjach przebudowujemy nasze siły zbrojne w nowoczesną armię.

I jedni, i drudzy mają rację. Gdybyśmy mieli pieniądze na wszystko, to przygotowywalibyśmy komponenty do misji na najwyższym poziomie i na takim samym szkolilibyśmy wojska pozostające w kraju.

Misje były priorytetem.

Z kilku względów były, są i zawsze pozostaną oczkiem w głowie sił zbrojnych. Musimy zainvestować w żołnierza, w jego szkolenie i wyposażenie, by zapewnić mu skuteczność i bezpieczeństwo. Jeśli pełni służbę poza granicami kraju, jest ponadto wizytówką armii, świadczą o jej sile i potencjale.

Co uzyskaliście dzięki misjom w sferze technicznego wyposażenia armii?

Wszystko. Osiągnęliśmy stopień utecnicznienia, jakiego nie musimy się wstydzić. Mamy jednak niewystarczające środki i dlatego w pierwszej kolejności wyposażamy kontyngenty na misjach, jednostki najwyższej kategorii i stopniowo schodzimy na dół. Szczególną wagę przykładamy do tego, by nowy sprzęt był również w centrach szkoleniowych.

Między innymi wyposażenie do prowadzenia działań nocnych?

Standardem szkoleniowym jest prowadzenie trzeciej części zajęć nocą. Misje dały nam do tego narzędzia pozwalające bardzo efektywnie działać w ciemnościach.

Czy nie powinniśmy więcej szkolić się w miastach?

Powinniśmy, ale jak do wszystkich zmian, również do tych potrzebne są czas i pieniądze. Dziś mamy ośrodek zurbanizowany w Wędrzynie i parę mniejszych obiektów.

Zatem współczesny poligon powinien być aglomeracją miejską?

Niekoniecznie. Najważniejsze jest bowiem wyszkolenie dowódców, by podczas działań w rejonie zurbanizowanym umieli prawidłowo podejmować decyzje. Nie trzeba do tego budować wielkiego miasta. Wystarczy trochę ćwiczeń dowódczo-sztabowych, szkoleń grupowych, a potem należy wprowadzić wojsko do działania w obiekcie. Jeśli dowódcy dobrze zaplanują szkolenie, to żołnierza będzie można wszystkiego nauczyć, mając do dyspozycji dwie, trzy ulice.

W ostatnich latach pojawiły się również nowe formuły szkolenia, takie jak SERE [Survival, Evasion, Resistance and Escape] czy kursy Patrol i Lider...

SERE znalazło się w natowskich programach szkolenia, a w konsekwencji w naszych. To także efekt doświadczeń z misji w Iraku i Afganistanie. Patrol i Lider natomiast to produkty krajowe. Są znakomitym sposobem na przygotowanie najwyższej klasy dowódców. Z Patrolem mamy jednak pewien kłopot – nie zawsze najlepiej zagospodarowujemy ludzi, którzy go kończą.

Uciekają do Wojsk Specjalnych?

Między innymi. Nie chcą już służyć w zwykłych jednostkach.

W Iraku i Afganistanie przekonaliśmy się o konieczności uporządkowania spraw związanych ze szkoleniem strzelców wyborowych. Czy po kilku latach perturbacji jest już wypracowana wizja uformowania i szkolenia wyspecjalizowanych strzelców?

Wizję mamy, tylko wypracowywanie procedur nadal trwa i może upłynąć nieco czasu, zanim zostanie ona urealniona.

To może ją w skrócie przybliżmy.

Strzelec wyborowy, najlepszy strzelec w drużynie, wyposażony w precyzyjną broń i celownik optyczny, będzie działał w ugrupowaniu do szczebla plutonu. Snajper zaś znajdzie się na poziomie dowódcy kompanii czy batalionu i będzie zdolny do wykonania zadań samodzielnie, również w głębi ugrupowania przeciwnika.

Czy bezwzględnie potrzebujemy jednych i drugich? →**WIZYTÓWKA****GENERAŁ DYWIZJI
MAREK
TOMASZYCKI**

Jest szefem szkolenia Wojsk Lądowych. Ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, Podyplomowe Studia Polityki Obronnej w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie oraz Studium Polityki Obronnej w Akademii Wojskowej Wojsk Lądowych w Carlisle Barracks, w USA. Dowodził na wszystkich szczeblach, od drużyny po 12 Dywizję Zmechanizowaną w Szczecinie. W latach 2008–2009 był szefem Zarządu Szkolenia – P7 Sztabu Generalnego WP. Pełnił również służbę w misjach. W trakcie pierwszej zmiany w Iraku, jako szef G7, odpowiadał za tworzenie i szkolenie irackich sił bezpieczeństwa. W 2007 roku dowodził Polskim Kontyngentem Wojskowym w Afganistanie.

Tak, a ponadto wzajemnych relacji między nimi, bo spośród najlepszych strzelców wyborowych będą rekrutowani snajperzy.

W ciągu ostatnich lat było z tym sporo kłopotów...

Utraciliśmy po drodze wielu cennych ludzi. Szczególnie przeprowadzka kursu strzelców wyborowych z Żagania do Torunia przyniosła utratę znakomicie przygotowanych instruktorów. Teraz z kolei trwa przeniesienie taktycznych zespołów kontroli obszaru powietrznego (TZKOP) do jednego zintegrowanego ośrodka, 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych w Inowrocławiu. Niestety, w tym wypadku wielu ludzi zrezygnowało ze służby tylko dlatego, żeby się nie przenosić.

Dlaczego u nas każda przeprowadzka powoduje niepowetowane straty?

Najwyższy czas, by sobie uświadomić, że żołnierz musi być mobilny. Mobilność jest dziś wymagana nie tylko od oficerów, lecz także od podoficerów.

Co stoi temu na przeszkodzie?

Praca żony, szkoła dzieci, koszty przeprowadzki, mieszkanie, mentalność... Myślę, że podoficerowie nowej generacji,

którzy już nie będą mogli wykupić mieszkań, tylko dostaną służbowe kwatery w użytkowanie, będą mniej przywiązani do garnizonów. Korpus podoficerów dojrzeje też do mobilności, gdy będzie tak zmotywowany jak żołnierze z Francji czy Stanów Zjednoczonych, gdzie najstarszy podoficer zarabia tyle, ile porucznik lub kapitan.

Skąd się bierze taki opór, by doświadczony chorąży dostawał więcej niż oficer na dorobku?

Nie wiem. Przecież kiedyś stary technik kompanii zarabiał więcej niż dowódca plutonu. Miał wprawdzie niższą pensję, ale wysokie dodatki za kwalifikacje, a przede wszystkim prestiż.

W efekcie stary podoficer pcha się dziś na kurs oficerski po dwie gwiazdki.

Zaawansowanego w służbie podoficera nie warto zachęcać do pójścia na kurs oficerski. Niech raczej zostanie u siebie i ma prestiż „generała wśród podoficerów” oraz odpowiednie do tego zarobki. Wtedy swoje doświadczenia będzie w najlepszy sposób przekazywał innym. ■

➤ Więcej o szkoleniu strzelców wyborowych na stronach 30-37

OGŁOSZENIE

The advertisement features a dark background. At the top center, the logo for 'Kwartalnik BELLONA' is displayed, with a stylized eagle icon to the left. Below the logo is the website address 'www.polska-zbrojna.pl'. The main title of the book is 'STRATEGIA DOWODZENIE TAKTYKA' in large, white, sans-serif capital letters. Underneath this, in smaller white capital letters, is the subtitle 'ZAGADNIENIA ZWIĄZANE Z OBRONNOŚCIĄ KRAJU'. In the lower-left corner, there is a white paper airplane standing upright, with its cover showing the 'BELLONA' logo and a blue and red design. To its right, several other white paper airplanes are scattered on the surface, some lying flat and others standing. In the bottom-left corner of the advertisement, there is a circular logo with an eagle and the letters 'wiw' below it.

MAJÓWKA POD FLAGĄ BIAŁO-CZERWONĄ

Patronat honorowy Ministra Obrony Narodowej



Dzielnica Żoliborz
m.st. Warszawy

2 maja 2013 godz. 14:00
Cytadela Warszawska

Muzeum X Pawilonu - wejście od strony Wisłostrady



zaprasza
Rada i Zarząd Dzielnicy Żoliborz m.st. Warszawy

W programie:

BIEG FLAGI

- 14:00 - Oficjalne rozpoczęcie Majówki pod flagą biało-czerwoną
- 14:15 - Start biegu dla dzieci na dystansie 100 m
- 14:25 - Start biegu na dystansie 10 km
- 14:30 - Pokaz musztry paradnej w wykonaniu Orkiestry Reprezentacyjnej Marynarki Wojennej
- 16:00 - Występ Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego

oraz występy solistów, konkursy i zabawy dla dzieci, wystawy plenerowe, wystawa starej broni odprzodowej, prezentacja legendarnego pistoletu VIS, zawody strzeleckie, nauka szermierki, pokazy grup rekonstrukcyjnych, multimedialna prezentacja nowej siedziby Muzeum Wojska Polskiego.

Zapisy na bieg 10 km - www.biegflagi.pl

Informacja: Wydział Sportu i Rekreacji dla Dzielnicy Żoliborz tel. 22 560 13 26

Partnerzy medialni



TVP INFO

TVP WARSZAWA

Dońska Ziemia

Dowódca w 800 godzin

W ciągu ostatnich miesięcy zmieniono zarówno zasady naboru do szkół podoficerskich, jak i sam program kursu. Czy dzięki temu żołnierze będą lepiej przygotowywani do roli dowódców?

PAULINA GLIŃSKA

Jeszcze w 2012 roku kandydatów kierowanych do szkoły podoficerskiej przez swoich dowódców zawsze było tylu, ile jest miejsc. Każdy z przyszłych podoficerów musiał mieć średnie wykształcenie i nienaganną opinię służbową. Preferowany był co najmniej pięcioletni czas służby w korpusie szeregowych zawodowych.

Od nowego roku każdy, kto chce mieć zapewnione miejsce na kursie, musi przejść trzydniowe egzaminy wstępne. Obejmują one sprawdzian fizyczny, ale też testy z wiedzy o Polsce i świecie, znajomość wojskowych regulaminów czy praktycznych umiejętności zdobytych w wojsku: wyszkolenia taktycznego, sanitarnego oraz strzeleckiego.

„Wprowadziliśmy egzaminy, bo chcemy wybierać najlepszych żołnierzy, z wiedzą o wojsku i predyspozycjami dowódczymi”, twierdzi starszy chorąży sztabowy Marek Kajko, komendant Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu. „Przyszli podoficerowie będą szkolić żołnierzy i nimi dowodzić. I choćby dlatego to nie mogą być przypadkowi ludzie”.

Podczas pierwszych w historii szkoły egzaminów o 250 miejsc rywalizowało ponad 430 szeregowych: z Wojsk Lądowych, Wojsk Specjalnych, Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych oraz dowództwa warszawskiego garnizonu. W większości pozytywnie ocenili oni zmiany w rekrutacji na kursy.

„Taka weryfikacja kandydatów to dobra rzecz, bo każdy z nas może pokazać, co potrafi”, mówi starszy szeregowy

Przemysław Cisłowski z 5 Pułku Inżynieryjnego w Szczecinie. „Udokumentowane wyniki wiedzy i umiejętności danego żołnierza są dla przełożonych znakiem, że warto w niego zainwestować”.

Z RÓWNEGO POZIOMU

Nie ma wątpliwości co do tego, że kursy podoficerskie są potrzebne. „To wstęp do zmiany mentalności żołnierzy, do tego, by przestawili się z wykonywania stawianych rozkazów na ich wydawanie i branie odpowiedzialności za podwładnych. W tym bowiem kryje się specyfika korpusu podoficerskiego”, tłumaczy chorąży Marcin Szubert, rzecznik szkoły w Poznaniu. Czy to się udaje?

Wyniki badań przeprowadzonych w 2012 roku przez Wojskowe Biuro Badań Społecznych [„Ocena przygotowania zawodowego żołnierzy WP”, grudzień 2012 rok, opracowała Magdalena Baran-Wojtachnio] pokazały, że zdecydowana większość kadetów (92 procent) po ukończonym szkoleniu czuje się dobrze przygotowana do pełnienia funkcji dowódczych. Dla niektórych ankietowanych żołnierzy kurs jednak trwał zbyt długo. Najczęściej zarzut taki wysuwali ci z wieloletnim stażem wojskowym i doświadczeniem zdobytym w czasie misji.

Opinii na temat kursu jest jednak tyle, ilu szkolonych żołnierzy. Zdaniem starszego szeregowego Zbigniewa Łopacińskiego

COMMENT

ANDRZEJ WOJTUSIK



Sądzę, że przywództwo jest u nas na słabym poziomie i to musimy nadrobić. Jestem jednak za tym, by zdecydowanie większą uwagę zwrócić na wojskowe abecadło. To, że nasi żołnierze przeszli chrzest bojowy na misjach, nie oznacza, że wszystko już wiedzą. Wyzbycie się poczucia wszechwiedzy i nieomyślności z pewnością przybliży nas do sukcesów w szkoleniu. Musimy powrócić do podstaw taktyki i regulaminów, a także form pro-

wadzenia operacji na własnym podwórku. Na pewno zbyt mało jest nauki rozmowy na linii przełożony – podwładny, zachowań w sytuacjach ekstremalnych czy sztuki motywowania. W szkoleniu na poziomie dowódcy drużyny brakuje też nauki analitycznego myślenia. To podoficer z szeregowcem stoją w pierwszej linii i pociągają za język spustowy, i to oni bardzo często muszą samodzielnie podejmować decyzje w sytuacji ekstremalnej.

Starszy chorąży sztabowy rezerwy

Andrzej Wojtusik był pomocnikiem dowódcy

Wojsk Lądowych do spraw podoficerów.

z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, żołnierza z dziesięcioletnim stażem, który szkolił się w Poznaniu już po wprowadzeniu zmian w programie kursu, jest całkowicie odwrotnie. „Jestem zaskoczony tym, ile trzeba się uczyć. Wolałbym, aby kurs trwał jeszcze dłużej, ale zajęć każdego dnia było nieco mniej”.

Podobnie uważa inna kursantka, starsza szeregową Ewa Pietras z 3 Batalionu Logistycznego w Głewicach: „Zanim rozpoczęliśmy kurs, wielu z nas zastanawiało się, czemu trwa on aż pół roku. Teraz, gdy mamy za sobą ponad dwa miesiące szkolenia, myślimy, czy na wszystko wystarczy czasu”.

Chorąży Szubert podkreśla, że na kurs trafiają żołnierze z różnych rodzajów sił zbrojnych i z różnorodnymi doświadczeniami. Rolą instruktorów jest wyrównanie poziomu wiedzy i przekazanie kursantom tej podstawowej dotyczącej podoficerskiego rzemiosła. „Trudno oczekiwać, że w krótkim czasie zrobimy z kogoś dowódcę”, dodaje Szubert. „Przez te sześć miesięcy przekazujemy pewne podstawy, ale to od żołnierzy zależy, jak je wykorzystają”.

W jakim stopniu przydaje się ona młodym dowódcom?

DAŻYĆ DO DOSKONAŁOŚCI

Ankietowanym przez WBBS w programie nauczania zabrakło większej liczby zajęć z przywództwa i dowodzenia zespołem oraz przedmiotów praktycznych i pracy ze sprzętem. Niektórzy wykładowcy treści uznali za mało nowoczesne. Inni chcieliby, by kosztem zajęć ogólnowojskowych rozszerzyć te specjalistyczne.

„Nie ma takiego programu, który pasowałby wszystkim i byłby doskonały pod każdym względem”, podkreśla chorąży Szubert. „Zmieniają się oczekiwania, wymagania i my też musimy się dopasować. Dlatego, choć bez rewolucji, to wciąż modyfikujemy programy szkolenia”.

Dzisiejszy program nauczania w poznańskiej szkole różni się nieco od tego, który obowiązywał ankietowanych przez WBBS żołnierzy. Starsi szeregowi Pietras i Łopaciński wraz z ponad dwusetką pozostałych kadetów idą już zgodnie z programem

zmienionym w październiku 2012 roku. Mają więcej godzin szkolenia bojowego (zmiana ze 177 do 248 godzin), głównie z taktyki, szkolenia ogniowego, terenoznawstwa i obrony przed bronią masowego rażenia. Więcej też uczą się o medycznym systemie udzielania pierwszej pomocy, opartym na elementach ratownictwa pola walki (Combat Life Saver). Mniej za to czasu poświęcają na przedmioty ogólnokształcące (24 godziny zamiast 36) oraz „psychospołeczne uwarunkowania służby wojskowej” (18 godzin zamiast 38) czy „prawne uwarunkowania służby wojskowej” (ograniczono ich liczbę z 49 do 24).

SZKOLENIE DOWÓDCÓW KANDYDACI NA PODOFICERÓW REKRUTOWANI SĄ SPOŚRÓD SZEREGOWYCH ZAWODOWYCH.

Przygotowanie ich do stopnia kaprała trwa pół roku. Najpierw odbywają trzymiesięczne szkolenie ogólne. Uczą się regulaminów, musztry, wydawania komend i prowadzenia zajęć z podwładnymi. Zaliczają też taktykę, szkolenie ogniowe, terenoznawstwo i zasady udzielania pierwszej pomocy na polu walki.

Potem podchodzą do egzaminu, którego zdanie konieczne jest do udziału w szkoleniu specjalistycznym. Zależnie od specjalności odbywa się to w pięciu centrach szkolenia: w Poznaniu, Grudziądzu, Toruniu, Zegrzu, we Wrocławiu oraz w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi i Ośrodku Szkolenia Aeromobilno-Spadochronowego w Leżnicy. Potem kadeci są kierowani na praktyki do jednostek wojskowych, a następnie zdają egzamin kończący kurs. Po otrzymaniu świadectw trafiają do jednostek, gdzie obejmują stanowiska dowódców drużyn i zostają mianowani na kaprali.

„Modernizacja treści programowych była konieczna, bo dziś większość kadetów to ludzie wywodzący się z korpusu szeregowych zawodowych, którzy naukę elementarnych podstaw szkolenia ogólnowojskowego mają już za sobą. Powtarzanie tego samego powodowałoby stratę cennego czasu”, podkreśla starszy chorąży sztabowy Kajko.

Zdaniem starszej szeregowej Pietras nie ma w obecnym programie nic, co chciałaby zmienić. „Potrzebna jest zarówno teoria, jak i praktyka. Sądzę, że program został dopasowany do wymogów, które czekają nas na przyszłych stanowiskach. Mnie na przykład bardzo przydaje się nauka regulaminów czy zasad obchodzenia się z bronią”.

Komendant szkoły podkreśla jednak, że szkolenie przyszłych dowódców z pewnością wciąż będzie ewoluować. Kolejne zmiany programu są właśnie opiniowane w Sztabie Generalnym WP. ■

COMMENT

KRZYSZTOF PODKULIŃSKI



Przygotowanie kandydata do objęcia pierwszego stanowiska podoficerskiego trwa sześć miesięcy. Czy to nie za krótko? Wziąwszy pod uwagę konieczność skupienia się na obowiązkach czekających przyszłych dowódców drużyn, czas ten z pewnością pozwala na przekazanie kandydatom podstawowej wiedzy. Co jednak czeka ich później? Odpowiedzialność za podejmowane decyzje, wydawane rozkazy oraz szkolenie podwład-

nych. Żołnierze od swojego przełożonego oczekują wiedzy, umiejętności, kompetencji, dobrego i zdecydowanego dowodzenia. Wydaje się, że w procesie szkolenia młodych podoficerów niezbędne jest wprowadzenie kursu przywództwa wojskowego – skierowanego przede wszystkim do dowódców drużyn – który pozwoli im na rozwijanie i doskonalenie swoich umiejętności w tym zakresie.

Starszy chorąży **Krzysztof Podkuliński** jest pomocnikiem dowódcy Wojsk Łądowych do spraw podoficerów.

URZĘDNICZA PARALAKSA

W nowoczesnej, zreformowanej armii
są plastycy, ratownicy weterynaryjni, menadżerowie kultury,
ale ciągle nie ma stanowisk dla snajperów.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

STRZELEC WYBOROWY TO NIE SNAJPER I MOŻE DZIAŁAĆ TYLKO W UGRUPOWANIU WOJSK WŁASNYCH

Paralaksa to efekt niezgodności obrazów tego samego obiektu obserwowanego z różnych kierunków. Takie niepożądane zjawisko zachodzi między innymi podczas celowania. Strzelec wyborowy lub snajper likwiduje błąd poprzez regulowanie przyrządów optycznych. Nie tak łatwo jednak poradzić sobie z podobnym zjawiskiem występującym u sztabowych decydentów. Często widzą oni inny obraz rzeczywistości niż praktycy w jednostkach. Od 2007 roku nie dostosowali przepisów i nie utworzyli w Wojskach Lądowych stanowisk dla snajperów.

ŚWIATEŁKO W TUNELU

Problemem tym zajmowaliśmy się na łamach „Polski Zbrojnej” rok temu. Pytaliśmy wówczas w Sztabie Generalnym WP i Dowództwie Wojsk Lądowych, kiedy wreszcie tak ważna specjalność, istniejąca we wszystkich liczących się armiach świata, znajdzie się w oficjalnym wykazie stanowisk naszych Wojsk Lądowych.

Poinformowano nas, że do końca 2012 roku trwa okres przejściowy na wdrożenie rozporządzenia ministra obrony narodowej z 11 grudnia 2009 roku w sprawie korpusów osobowych, grup osobowych i specjalności wojskowych. Tymczasem zbierane są uwagi i doświadczenia z wdrażania nowego podziału kadry na korpusy oraz grupy osobowe i dopiero pod koniec tego procesu zostaną one uwzględnione w nowelizowanym rozporządzeniu.

Z wyjaśnień SGWP wynikało, że po wykonaniu odpowiednich prac koncepcyjnych będzie można wprowadzić do wykazu stanowisko snajper. Mogłoby to nastąpić z początkiem 2013 roku w drodze nowelizacji wspomnianego już rozporządzenia.

Pojawiło się światelko w tunelu. Wielu dowódców różnych szczebli, szczególnie specjalistów precyzyjnego strzelania, dostało obietnicę, że wreszcie w jednostkach pojawi się długo oczekiwana funkcja.

Optymistycznie zabrzmiały wyjaśnienia Dowództwa Wojsk Lądowych. W piśmie rzeczownika prasowego podpułkownika Tomasza Szulejki rok temu przeczytaliśmy, że podjęto działania dotyczące nowelizacji rozporządzenia ministra obrony narodowej z 11 grudnia 2009 roku w sprawie utworzenia specjalności snajper i jednocześnie pozostawienia specjalności strzelec wyborowy. Podano również, że termin wprowadzenia zmian po akceptacji MON-u przewidywany jest na 2012 rok. Dodatkowo wyjaśniono, że planuje się utworzenie w plutonach zmechanizowanych i zmotoryzowanych stanowisk dla →

armia SNAJPERZY

STRUKTURA DRUŻYNY STRZELCÓW WYBOROWYCH

Młodszy
kierowca
radiotelegrafista



Dowódca
drużyny



Młodszy
kierowca
radiotelegrafista



strzelców wyborowych. Ci zaś będą potencjalnymi kandydatami na snajperów w drużynach snajperów.

W GOTOWOŚCI

Zapewnienia sprzed roku bardzo ucieszyły żołnierzy takich, jak „Tokar”, „Mila” i „Pitbul” z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, będących na stanowiskach strzelców wyborowych, a marzących o tym, aby zostać snajperami. Zapowiadanej zmiany swoich stanowisk ze strzelców wyborowych na snajperów nie traktowali jedynie w kategoriach pre-

stiu związanego z nazewnictwem. Mieli nadzieję, że wraz z utworzeniem snajperskich etatów wreszcie do ich sekcji trafią profesjonalne maskacaty, wysokiej jakości dalmierze, sprzęt obserwacyjny, środki łączności i inne potrzebne wyposażenie. Ufali, że gdy zostaną snajperami, armia da im wszystko, co jest potrzebne do ich pracy, że przestaną wydawać własne pieniądze na kupno wyposażenia.

Wielu dowódców – w tym podpułkownik Rafał Miernik, dowódca batalionu w 17 Brygadzie – miało zaś nadzieję, że utworzenie stanowiska snajper unormuje sprawy prawne

COMMENT

MIROSLAW RÓŻAŃSKI



Bardzo ważna inicjatywa tworzenia stanowisk dla snajperów w naszej armii, efektywnego ich szkolenia oraz wykorzystania, na przykład podczas misji zagranicznych, straciła impet, a nawet można powiedzieć, że stoi w miejscu, ponieważ w Wojskach Lądowych nadal nie mamy stanowiska snajper. Paradoxem jest, że mimo to w armii szkolimy snajperów. Jest wielu ludzi, którzy się na tym znają. Korzystamy w tej dziedzinie z międzynarodowych wzorców, pomocy instruktorów, ale żołnierzy wyszkolonych w tej specjalności nie chcemy nazywać. Brak takiego stanowiska jest naganym niedopatrzeniem administracyjnym wymagającym szybkiego uporządkowania. Jestem przekonany, że stanie się to w bardzo krótkim czasie.

Generał dywizji **Mirosław Różański** był inicjatorem utworzenia w 2007 roku w Wojsku Polskim centrum szkoleniowego dla snajperów oraz reformy przydziałów etatowych strzelców wyborowych.

związane z wykorzystaniem specjalistów precyzyjnego strzelania w warunkach bojowych.

W trakcie IX zmiany w Afganistanie podpułkownik Miernik był dowódcą zgrupowania bojowego Alfa. Na misji dysponował strzelcami wyborowymi, ale wielokrotnie nie mógł ich efektywnie wykorzystywać: „Nie miałem możliwości, żeby wysłać ich na zasadzki poza bazę, z dala od własnych wojsk. Moi strzelcy prosili o takie zadania, ale musiałem im odmawiać. Gdyby w czasie akcji snajperskiej coś im się stało, odpowiadałbym za to przed prokuratorem. Strzelec wyborowy to nie snajper i może działać tylko w ugrupowaniu wojsk własnych, a nie z dala od nich. Poza tym, aby wysłać tych żołnierzy na samodzielne akcje, trzeba im zapewnić znacznie lepsze wyposażenie, chociażby odpowiedni sprzęt łączności”.

Podpułkownik Miernik tłumaczy, że po roku nic się nie zmieniło. Jego specjaliści od precyzyjnego strzelania intensywnie się szkolą. Ćwiczą taktykę i strzelają w różnym terenie i rozmaitych warunkach atmosferycznych. Trenują to, czym zajmuje się strzelec wyborowy działający w ugrupowaniu wojsk własnych, oraz snajperskie działania taktyczne, między innymi stalking exercise (skryte podchodzenie do wyznaczonego celu).

„Moi strzelcy są bardzo dobrze wyszkoleni i kreatywni”, mówi oficer. „Biorą udział w różnych zawodach precyzyjnego strzelania i osiągają w nich niezłe wyniki. Szkoda, że nie można w pełni wykorzystywać ich umiejętności w warunkach bojowych”.

PO ROKU...

Wracamy do tematu, ponieważ mimo zapewnienia wielu osób w Wojskach Lądowych ciągle nie ma stanowiska snajper. Po raz kolejny w Sztabie Generalnym WP i Dowództwie Wojsk Lądowych zadaliśmy te same pytania. Odpowiedź SGWP niewiele się jednak różni od tej z poprzednich lat. Podpułkownik Sławomir Ratyński z tamtejszego zespołu prasowego informuje, że minęły

ponad dwa miesiące od zakończenia okresu przejściowego zaplanowanego na pełne wdrożenie rozporządzenia ministra obrony narodowej z 11 grudnia 2009 roku. Wyjaśnia, że dopisanie specjalności wojskowej snajper do wykazu stanowisk może się odbyć jedynie w drodze nowelizacji tego aktu z zachowaniem powszechnie obowiązujących resortowych procedur legislacyjnych. Okazuje się jednak, że ów akt prawny nie był do tej pory nowelizowany i zgodnie z obowiązującymi zapisami specjalność snajper występuje wyłącznie w Wojskach Specjalnych.

Kolejny raz zostaliśmy też pouczeni, że o stanowiska snajperów powinniśmy pytać w DWL-u. Tam należy szukać odpowiedzi na pytania, kiedy powstaną takie stanowiska oraz inne, związane ze szkoleniem czy wyposażeniem specjalistów precyzyjnego strzelania.

SPRZECZNE INFORMACJE

Dowództwo Wojsk Lądowych również udzieliło nam obszernych wyjaśnień. Niestety wśród nich nie znalazło się to najważniejsze – kiedy wreszcie zostaną utworzone stanowiska dla snajperów. Zamiast konkretnej daty lub chociaż informacji o przebiegu procesu nowelizującego wspomniane wcześniej rozporządzenie ministra, dowiedzieliśmy się jedynie, że wykaz specjalności wojskowych nie jest ustalany na poziomie Wojsk Lądowych i obecnie w strukturze pododdziałów tego rodzaju sił zbrojnych nie ma stanowiska snajper.

Takie radykalne sformułowanie jest o tyle zaskakujące, że rok wcześniej to samo dowództwo zapewniało, iż podjęto konkretne działania dotyczące nowelizacji odpowiedniego rozporządzenia ministra. Podkreślano wówczas, że po akceptacji w resorcie obrony termin wprowadzenia zmian przewidywany jest na koniec 2012 roku.

Cóż więc się stało w ciągu tego roku? Informacje z Dowództwa Wojsk Lądowych pozostają w sprzeczności z tymi z SGWP. Sztabowcy z Cytadeli piszą, że wykaz specjalności wojskowych nie jest ustalany na ich poziomie, a wojskowi →

SPECJALIŚCI STRZELANIA PRECYZYJNEGO – REAKTYWACJA

W 2007 roku powstał pomysł utworzenia w Wędrzynie pierwszego w historii naszej armii ośrodka szkolenia specjalistów strzelania precyzyjnego. Inicjatywa ówczesnego dowódcy 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej generała brygady Mirosława Różańskiego, zaakceptowana przez dowódcę Wojsk Lądowych, którym był wówczas generał broni Waldemar Skrzypczak, zakładała, że będą tam szkoleni wysokiej klasy specjaliści – snajperzy i strzelcy wyborowi. W tym samym czasie na wniosek generała Różańskiego zaczęto dokonywać zmian organizacyjno-etatowych. W jednostkach zmechanizowanych i zmotoryzowanych strzelców wyborowych wyłączono ze składów drużyn piechoty. Na szczeblu batalionów utworzono z nich drużyny złożone z czterech czteroosobowych sekcji (osiem par strzeleckich), dowódcy oraz dwóch kierowców.

Ośrodek w Wędrzynie od początku wzorował się na programach i sposobach szkolenia snajperów w innych armiach NATO. Tamtejsi instruktorzy najwięcej kontaktów mieli z kadrami podobnej placówki armii kanadyjskiej. Szkolono snajperów, ponieważ zakładano, że dobrze przygotowany specjalista w tej dziedzinie szybko może przekwalifikować się na strzelca wyborowego, ale odwrotna operacja wymaga znacznie więcej czasu i wysiłku.

Wędrzyński ośrodek szumnie nazwany szkołą snajperów odwiedzało wielu specjalistów z armii NATO. Niektórzy snajperzy z Zachodu byli instruktorami podczas szkolenia naszych żołnierzy. W styczniu 2011 roku szkoła przestała istnieć jako wyodrębniona wyspecjalizowana placówka. Została przeniesiona do Torunia, do tamtejszego Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia.

urzędnicy z Rakowieckiej informują, że właśnie w gestii DWL-u leży inicjatywa utworzenia takich stanowisk. Czy mamy do czynienia z urzędniczą paralaksą?

AMBITNE PLANY

Chociaż stanowisk dla snajperów w Wojskach Lądowych nie ma, w Szefostwie Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych DWL-u trwają podobno prace nad ostateczną wersją koncepcji funkcjonowania strzelców wyborowych i snajperów. Mają być w niej unormowane między innymi rola i miejsce strzelców wyborowych oraz snajperów w strukturze i ugrupowaniu pododdziału, wyposażenie, system szkolenia, taktyka działania, jak również model służby snajpera. Tworzona koncepcja zakłada, że w pododdziałach (batalionach) zmechanizowanych i zmotoryzowanych nie będzie drużyn strzelców wyborowych, za to jeden strzelec znajdzie się w każdym plutonie. Na szczeblu brygady powstanie zaś pluton snajperów.

Specjaliści z DWL-u zastrzegają, że koncepcja jest uzgadniana ze wszystkimi stronami mającymi wpływ na jej kształt, między innymi Zarządem Zasobów Osobowych – G1 DWL-u, Zarządem Rozpoznania i Walki Elektronicznej – G2 DWL-u. Nie mogą jeszcze określić terminu jej wejścia w życie.

Najważniejszy etap edukacji strzelców wyborowych, a w przyszłości być może także snajperów, odbywa się w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toru-

niu. Zmienia się tam jednak system nauczania. Po doświadczeniach z 2012 roku zrezygnowano z dwóch oddzielnych kursów (taktycznego i ogniowego) i strzelcy ćwiczą w ramach jednego dłuższego, obejmującego działania taktyczne i ogniowe. Dodatkowo w szkoleniu wykorzystywane są wnioski wyciągnięte z misji, zagranicznych kursów oraz doświadczeń innych armii.

COMMENT



RAJMUND T. ANDRZEJCZAK

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że w batalionach, w brygadzie potrzebujemy snajperów. Trzeba mówić i pisać o tym głośno. Mamy strzelców wyborowych, ale są to żołnierze innej specjalności, z mniejszymi umiejętnościami i możliwościami. Zmiany nie mogą jednak dotyczyć jedynie nazwy stanowiska. Muszą one objąć system szkolenia tych specjalistów, ich wyposażenie i uzbrojenie oraz sposób wykorzystania.

Generał brygady **Rajmund T. Andrzejczak** jest dowódcą 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej.

OBIETNICE

Niestety według informacji z DWL-u nadal nie mamy w armii żadnej instrukcji czy podręcznika nauczania dla strzelców wyborowych i snajperów. Podobno dłatego, że nie zakończono prac nad koncepcją ich funkcjonowania.

Dowiedzieliśmy się też, że w pierwszym półroczu 2013 roku nastąpi nowelizacja rozkazu dowódcy Wojsk Lądowych dotycząca szkolenia strzelców wyborowych w ramach Cyklu Szkolenia Strzelców Wyborowych przy Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia, na którego podstawie opracowane zostaną nowe założenia organizacyjno-programowe. Dopiero one staną się podstawą do opracowania konkretnego programu nauczania żołnierzy tej specjalności.

„Zgodnie z planem do końca 2013 roku powstanie «Program szkolenia pododdziałów strzelców wyborowych» oraz «Regulamin działań pododdziałów strzelców wyborowych» [tytuły robocze]”, twierdzą specjaliści z DWL-u.

Za rok znowu sprawdzimy, czy te obietnice zostaną spełnione. ■

5 MAJÓWKA MILITARNA OPERACJA ZACHÓD

godz. 10.00 - 18.00

25 - 26 maja 2013



Poligon Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych imienia gen. Tadeusza Kościuszki - RAKÓW
(granica Wrocławia i gminy Wisznia Mała (powiat Trzebnica), obok AOW)



ZŁOT GRUP REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ ORAZ WYDZIELONYCH JEDNOSTEK WOJSKOWYCH

- WYSTAWA HISTORYCZNEGO I WSPÓŁCZESNEGO SPRZĘTU MILITARNEGO
- OBÓZ POŁOWY STOWARZYSZENIA MIŁOŚNIKÓW POJAZDÓW MILITARNYCH I HISTORII „TWIERDZA WROCŁAW” ORAZ INNYCH GRUP REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ
- JARMARK MILITARNY
- SCENY BATALISTYCZNE NA MOTODROMIE

ZAPROSZENI:

- * Centrum Szkolenia Wojsk Inżynierskich i Chemicznych *
- * 3 Brygada Radiotechniczna * 4 Regionalna Baza Logistyczna *
- * 10 Brygada Kawalerii Pancerniej * 10 Brygada Logistyczna *
- * 10 Pułk Dowodzenia * 17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana *
- * 22 Karpacki Batalion Piechoty Górskiej * 23 Śląska Brygada Artylerii *
- * Sudecki Oddział Straży Granicznej * Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych * Agencja Mienia Wojskowego * Wydziałowy Zakład Inżynierii Lotniczej Politechniki Wrocławskiej * Wojskowy Instytut Techniki Inżynierskiej * Stowarzyszenie "Klub Pancernych" Żagań *
- * Wojskowe Muzeum Kraliky (Czechy) * Aeroklub Wrocławski oraz Grupy Rekonstrukcji Historycznej i indywidualni miłośnicy militariów.



OPERACJA ZACHÓD - mapa dojazdu



ORGANIZATORZY:



PARTNERZY:



FESTYN JEST WSPÓLFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW OTRZYMANÝCH Z MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

UWAGA! Zastrzegamy sobie prawo do zmiany programu OPERACJA ZACHÓD

Więcej informacji : www.jedynka.art.pl , tel.71/718 90 25

Sztuka koncentracji

Pobudki w środku nocy, kilkudziesięciokilometrowe marsze w deszczu, ciągła gotowość do wykonania zadań, a przede wszystkim do tego, by w każdej chwili celnie strzelić nawet z 600 metrów.

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Trzydziestu strzelców wyborowych z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej spędziło na wędryńskim poligonie dwa tygodnie. Nie mieli nawet chwili na wytchnienie. Organizator szkolenia, „Pitbull”, każdego dnia stawiał przed nimi nowe wyzwania.

STRZELEC Z MASKAŁATĄ

Do Wędryzna przyjechali nie tylko doświadczeni strzelcy, lecz także tacy, którzy dopiero zaczynają tego typu służbę. Wcześniej odbyli wprawdzie przeszkolenie ze strzelania precyzyjnego, ale tu doskonalili swoje umiejętności razem z kolegami, którzy mają za sobą niejedną misję.

„Trzeba wciąż trenować”, powtarza „Pitbull”. „Strzelcem nie zostaje się na całe życie, jeśli nie chcesz się uczyć – odpadasz”.

Podstawą poligonowego szkolenia był trening strzelecki. Żołnierze ubrani w maskałaty leżeli bez ruchu nawet kilka godzin. Zanim oddali strzał, musieli zrobić odpowiednie pomiary, ponieważ w tym fachu liczy się nie tylko celne oko, lecz także pogoda – ciśnienie atmosferyczne, gęstość powietrza i prędkość wiatru. Do dyspozycji mieli broń precyzyjną Sako i Axel oraz karabin Tor. Strzelali do celów oddalonych nawet o 600 metrów. Co było najważniejsze?

„Koncentracja”, twierdzi jeden ze strzelców (żołnierze chcą pozostać anonimowi). „Nie można być porywczym. Trzeba też szybko analizować sytuację, zauważyć najdrobniejsze zmiany”.

Testem na spostrzegawczość był również trzydziestokilometrowy marsz, na który żołnierze ruszyli chwilę po zakończeniu szkolenia strzeleckiego. W przemoczonych, bardzo ciężkich maskałatach, z dwudziestokilogramowym plecakiem i bronią przedzierali się przez wędryńskie lasy. Musieli być wyjątkowo czujni, bo nie dość, że co chwilę czekały na nich zasadzki przygotowane przez instruktorów, to jeszcze nie mogli dać się przyłapać spacerowiczom.

„Nie zaliczam zadania, jeśli ktoś was zobaczy”, ostrzegął „Pitbull”. „To wy powinniście pierwsi zauważyć każdego, kto może stanąć na waszej drodze”.

KILLING HOUSE

Czujność i spostrzegawczość konieczne były również w kolejnym zadaniu. Na jednej z poligonowych strzelnic zbudowano prowizoryczny „killing house”, który miał służyć do treningu walki w pomieszczeniach zamkniętych. Rozciągnięto folię na rusztowaniach w taki sposób, by konstrukcja imitowała kilkupokojowy budynek. To zaledwie namiastka prawdziwego „killing house”, w którym trenują na przykład siły specjalne z USA, Wielkiej Brytanii czy polski GROM. W profesjonalnym obiekcie ściany są pancerne, by ćwiczący żołnierze mogli bezpiecznie strzelać ostrą amunicją.

Po co jednak „killing house” na poligonie dla strzelców?

CHCESZ SIĘ UCZYĆ – ODPADASZ

RAFAŁ MNIEDŁO /
1.1 LDKPANC

„To szkolenie ma pokazać żołnierzom, jak walczyć w pomieszczeniach”, mówi „Pittbull”. „Praca strzelca to nie tylko wielogodzinne wyczekiwanie na cel, lecz także działania dynamiczne. Strzelcy wyborowi muszą umieć szybko reagować na zmieniającą się sytuację”.

Pomysł na ćwiczenia w „killing house” podsunęli byli operatorzy GROM-u, którzy przyjechali do Wędrzyna, żeby podzielić się swoimi doświadczeniami ze strzelcami wyborowymi.

„W wielu topowych armiach korzysta się z wiedzy instruktorów, którzy kiedyś związani byli ze służbami specjalnymi. Chcemy podzielić się naszym doświadczeniem, oczywiście nie zdradzając obecnej taktyki działania GROM-u”, mówią o swoim udziale w szkoleniu.

„Nie dajemy nikomu gotowych rozwiązań. Podpowiadamy, jak planować operacje, jak walczyć w krótkich odległościach. Ostateczne decyzje należą jednak do nich”, dodaje drugi z emerytowanych operatorów. Byli specjaliści ze służbą pożegnali się

w ubiegłym roku i związali z firmą szkoleniową Cushima. Swoją wiedzę wyniosoną z kilkunastoletniej służ-

by wspierają teraz szkolenie polskich służb mundurowych, głównie policji i wojska.

Działanie strzelców w terenie zurbanizowanym to przełamywanie stereotypów.

„Zwykle myśli się, że nasza praca polega na leżeniu i długim oczekiwaniu na cel”, mówi jeden ze strzelców. „Tymczasem musimy przecież jakoś do tego miejsca dotrzeć. Czasami idziemy kilka kilometrów po terenie wroga. Umiejętność poruszania się w mieście jest więc dla nas bardzo ważna”.

Strzelanie w terenie zurbanizowanym zostało przeprowadzone na jednym z wędrzyńskich poligonów, na którym stoją opuszczone budynki. Wygląda on jak wyludnione miasto, w którym ciszę przerywają tylko strzały i krótkie komendy instruktorów.

„Najpierw lufa, potem głowa!”, dają wskazówki byli specjaliści. „Musimy ćwiczyć przejście przez wioskę zwartym pododdziałem. Gdyby przeciwnik nas zaatakował, trzeba umieć odpowiedzieć”, tłumaczy jeden ze strzelców z dziewięcioletnim doświadczeniem. Tym razem sprawdzają, czy w budynkach nie czai się żaden wróg. Najpierw wrzucają do środka granat. Potem wchodzi i po kolei eliminują cele.

Wszyscy podkreślają, że w takich zajęciach bardzo ważne jest, by trenowali ze sobą żołnierze z tych samych sekcji. „Mój partner strzelecki musi być tak samo dobry jak ja. Musimy to samo umieć i koncentrować się na tych samych rzeczach. Musimy polegać na sobie w każdej sytuacji. Kiedy sprawdzamy budynek i kiedy leżymy na dachu, obserwując cel”, mówi jeden ze strzelców. „Jesteśmy niemal jak para małżonków”, dodają ze śmiechem inni żołnierze.

PAMIĘĆ ABSOLUTNA

Jedną z takich zgranych par strzeleckich jest „Cziko” i „Daras”, znani na poligonie jako mistrzowie zapamiętywania. Mają fotograficzną pamięć i potrafią przez wiele godzin w skupieniu obserwować teren. To umiejętności niezbędne w pracy strzelców. A jak podczas szkolenia trenować pamięć? Przykłady można mnożyć, ale żołnierze tak najczęściej wspominają tego typu treningi:

„Instruktor położył na stole dziesięć różnych przedmiotów. Włączył bardzo głośną muzykę – heavy metal, hip-hop – i zgasił światło. Stół oświetlało jedynie migoczące psychodeliczne światło latarki”, opowiada „Daras”. Żołnierze mieli tylko cztery minuty, by zapamiętać przedmioty. Nie tylko ich liczbę, lecz także kształt, wymiary, kolory. Rozstrzygnięcie zadania odbyło się późną nocą. „To nie może być zbyt proste. Po czterech minutach muszą przebiec 3 kilometry. Później idą spać. Ich pamięć sprawdzamy z zaskoczenia, na przykład o trzeciej w nocy”, mówi „Pittbull”.

„Cziko” i „Daras” zaliczają takie testy bez problemów. Pamięć ćwiczą niemal bez przerwy. „Kiedy jestem z żoną w supermarkecie, zapamiętuję kolejność, w jakiej na półkach ułożone są produkty. Może się to wydawać dziwne, ale przydaje się później w służbie”, mówi „Daras”. Żołnierze przyznają, że spostrzegawczość i dobra pamięć okazały się przydatne na misji. Kiedy ruszyli na patrol, starali się zapamiętać jak największą szeregółów z afgańskiego krajobrazu. „Niebezpieczeństwo pod Hindukuszem rozpoznaje się czasami nawet po porzuconym w dziwnym miejscu rowerze. To może być marker. Wtedy do zdetonowania ID niewiele już brakuje”, opowiada strzelec. ■

STRZELCEM NIE ZOSTAJE SIĘ NA CAŁE ŻYCIE, JEŚLI NIE



DO PIEKŁA I Z POWROTEM

**SPALI PO KILKA
GODZIN ALBO
WCALE (CZASAMI
ZASYPIALI
NAWET NA
STOJĄCO) I BYLI
POTWORNIE
GŁODNI**





Zagrozenie czyhało na każdym kroku: trujące rośliny, drapieżne zwierzęta, dokuczliwe insekty. Udało się, przeżyli 56 dni morderczego wysiłku w ekstremalnych warunkach.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

WLegii Cudzoziemskiej mówiło się, że na szkolenie do Gujany Francuskiej trafia się za karę. Oni jednak zgłosili się dobrowolnie. Sześciu śmiazków z polskich jednostek specjalnych ruszyło w połowie stycznia do Ameryki Południowej. Mieli jeden cel: przetrwać. O miejscu, w którym przyszło im spędzić najgorsze dwa miesiące życia, początkowo nie wiedzieli zbyt wiele. Chcieli się po prostu sprawdzić, zobaczyć, jak to jest trafić do piekła. „Kolega służył kiedyś w Legii. Opowiadał o kursach w dżungli. Mówił, że było ciężko. Teraz już wiem, co to znaczy”, przyznaje Michał.

ŚMIAŁKOWIE ZE ŚWIATA

Michał ma 34 lata. Kilka lat służył w innej formacji mundurowej, a z wojskiem związał się dopiero rok temu. Wybrał Jednostkę Wojskową Komandosów w Lublińcu. To właśnie on słyszał niegdyś opowieści legionisty o ekstremalnym kursie w Gujanie Francuskiej. Gdy dowiedział się o organizowanym szkoleniu, nie wahał się ani chwili.

Piotr jest jego rówieśnikiem, ale to lubliniecki weteran. Wieleletni operator, uczestnik misji, doświadczony komandos. Dlaczego dobrowolnie podjął mordercze wyzwanie? „Kiedyś nie wiedziałem nawet, gdzie leży Gujana. Dwóch kolegów z jednostki było tam na kursie rok wcześniej. Chciałem spróbować”, mówi.

Arek, zastępca dowódcy zespołu bojowego z Lublińca, przyznaje, że na takie szkolenia jadą ochotnicy. „U nas wszyscy są ochotnikami”, żartuje. Wyjaśnia, że dla żołnierzy zmiana klimatu i działanie w obcym środowisku to szansa na rozwój. „Każdy z operatorów gdzieś jedzie. Jedni specjalizują się w górach, inni w środowisku wodnym. Niektórzy sprawdzają swoje siły w różnych specjalnościach”.

Po kilkutygodniowym kursie francuskiego i odpowiednich szczepieniach (na przykład na tężec, wściekliznę, boreliozę, żółtą febrę) polecili do Francji. Razem z nimi udało się tam trzech specjalsów z Formozy i jeden z JW „Nil”. Organizatorem →

kursu w ośrodku prowadzonym przez Legię Cudzoziemską były francuskie siły specjalne.

Z Francji ruszyli do Cayenne, stolicy Gujany Francuskiej. Na kurs miało się stawić czterdziestu śmiałków z całego świata, ale ostatecznie nie wszyscy podjęli wyzwanie. Trzydziestu czterech odważnych reprezentowało różne kraje. Poza Europejczykami, na przykład Francuzami, Niemcami, Belgami, na kurs stawili się także reprezentanci Brazylii, Panamy, Surinamu, Dominikany i Ekwadoru. Pośród nich doświadczeni w tropikalnym boju dowódcy oddziałów specjalnych z Brazylii. Wszystkich powitała delegacja z 3 Regimentu Legii Cudzoziemskiej. Wśród legionistów byli również Polacy.

BIEGIEM MARSZ!

Pierwszy dzień w Ameryce Południowej polscy żołnierze zapamiętali bardzo dobrze. Gujana powitała ich ulewą. Przemoczone wtedy buty wysuszyli dopiero dwa miesiące później. „To pora deszczowa”, opowiadają żołnierze. „Lało niemal bez przerwy”.

Początek był spokojny. Pierwsze trzy dni minęły na aklimatyzacji, potem było dobieranie sprzętu i broni. Dostali karabinki FAMAS – kaliber 5,56 milimetra (standardowa broń we francuskim wojsku, w siłach specjalnych zastąpiona nowszymi konstrukcjami), ale używali też maszynowego Minimi. Pobrali mundury, hamaki, moskitiery, liny, ponczo, leki przeciwko malarii, spray na komary, różnego rodzaju menażki i manierki. Tylko rzeczy niezbędne.

Swojego wyposażenia nie mogli mieć zbyt wiele. Z Polski wzięli między innymi buty dżunglowe, czyli takie ze specjalnymi otworkami, przez które przepływa woda, bieliznę, busole i gwizdki. Te ostatnie są w takim terenie bardzo potrzebne, ponieważ łatwo można się zgubić i żeby nie krzyknąć na ratunek – lepiej gwizdać. To oszczędza siły.

Pierwsza zasada: nie wolno ci chodzić. Odtąd wszystkie zadania wykonujesz biegiem. Każde nieposłuszeństwo będzie karane (wachlarz kar bardzo szeroki: pompki, bieganie, pajacyki). To był pierwszy rozkaz instruktorów z regimentu. Brzmi źle? Później jest znacznie gorzej.

Rozpoczęła się wstępna selekcja kandydatów. Jeżeli nie umiesz dobrze pływać na wodzie i pod wodą, nie nurkujesz, nie wspinasz się i nie biegasz zbyt szybko w mundurze, wracasz do domu. Już wtedy z Gujaną pożegnało się kilku komandosów. Polacy zostali w komplecie.

Przestali być żołnierzami. Nie miały znaczenia ich stopnie wojskowe, doświadczenie w boju czy lata służby. Nieważne były ani narodowość, ani kolor skóry. Przez następne tygodnie wszyscy byli numerami, które napisano im na kapeluszkach.

BEZ ZEGARKA, ALE NA CZAS

„To nie dla ciebie. Zrezygnuj. Jedź do domu” – te zdania słyszeli najczęściej. Legioniści powtarzali je jak mantrę, ponieważ chcieli złamać jak najwięcej kursantów. „Najgorzej było na koniec, gdy nie mieliśmy już sił”, opowiada Michał. „Brodziliśmy po zęby w brudnej rzece. A oni na łódce podpływali i szeptali do ucha «jedź do domu». Trzeba było zacisnąć zęby i robić swoje”.

Zanim ruszyli w dżungłę, do centrum szkolenia w okolicy miejscowości Regina, musieli oddać wszystkie elektroniczne urządzenia, komórki, zegarki, GPS-y. W plecakach nadal pozostawało jednak kilkanaście kilogramów wyposażenia. Gdy



© CMM 3° REI / CCH TEUDEAN

EKSTREMALNE SZKOLENIA W GUJANIE, INDIACH, NA KOLE PODBIEGUNOWYM SĄ WYBIERANE NIEPRZYPADKOWO. ŻADNE MIEJSCE NA ŚWIECIE NIE MOŻE ZASKOCZYĆ ŻOŁNIERZY WOJSK SPECJALNYCH

ekwipunek przemókł, dźwigali ich już kilkadziesiąt. Do dyspozycji mieli między innymi mapę, kompas, gwizdek i... maczetę.

W dżungli nie ma już mowy o bieganiu – w najlepszym wypadku przez kilkanaście godzin można przejść 10 kilometrów. Nie ma dróg, więc idzie się dnem strumieni. Trzeba poruszać się wolno, torować sobie drogę maczetą. A przy tym ważyć każdy krok i patrzeć (o ile jest się na łądzie), gdzie stawia się stopy. Można niechcący stąpnąć na węża, którego ukąszenie w najlepszym wypadku wyeliminuje zawodnika z kursu. W razie poślizgnięcia nie warto też szukać ratunku w gałęziach i krzakach, bo te mogą mieć wyjątkowo długie kolce. „Jeszcze w Polsce wyciągaliśmy po kilka. To było bardzo bolesne wspomnienie Gujany”, dodaje Piotr. Równie bolesne mogło być spotkanie z kandydami. To kilkucentymetrowe pasożytnicze rybki, które wpływają do cewki moczowej, wabione zapachem moczu. Ich usunięcie jest niemożliwe bez pomocy chirurga. Na szczęście tej „atrakcji” Polacy zdołali uniknąć.

Druga zasada: będziesz mokry. Ulewy towarzyszyły im niemal każdego dnia. A jeżeli nawet przestało padać, to wilgotność powietrza (94–99 procent) robiła swoje. Mundur przyklejał się do spoconego ciała. Upał dawał w kość. Gdy jednak instruktorzy zauważyli, że któryś z podopiecznych jest zbyt suchy, kazali wszystkim brodzić po pas w błocie lub wodzie.

Tarżając się w błocie i mule, nie mogli zapominać o broni. A ta musiała być zawsze czysta, bardziej zresztą niż oni sami, bo pod wpływem wody i błota rdzewiała. Za dnia ćwiczyli celność. „Wygrywa ten, który pierwszy trafi w pojawiającą się tarczę. Nie ma wymiany ognia, tylko szybki strzał. Widoczność jest mocno ograniczona, najdalej na 15 metrów”, wyjaśnia Michał.

Żołnierze przyznają, że w dżungli najgorsze są małe zwierzęta. Duże najczęściej chowają się przed ludźmi. Te mniejsze – jak na przykład żmije – tryskają jadem, kiedy czują zagrożenie. Niewielkie skorpiony mogą schować się w bucie, wejść do plecaka położonego na chwilę na ziemi. A gryzące mrówki potrzebują tylko kilku sekund, by obleźć człowieka. „O mieszkańcach lasu trzeba pamiętać zwłaszcza przed rozłożeniem biwaku”, opowiada Piotr. „Trzeba było dobrze ogarnąć liście i sprawdzić, czy pod spodem nie ma pajaków – a trafiały się takie wielkości dłoni – czy skorpionów. Dopiero wtedy można było rozłożyć karimatę lub hamak i ochronną moskitierę. Buty zostawialiśmy na patykach, żeby nic w nich nie zamieszkało”.

Początkowo żywili się francuskimi suchymi racjami. Próbowali też miejscowych specjałów. Kajman smakuje jak kurczak pomieszany z rybą, tapir przypomina wołowinę. Kosztowali węży, ryb, różnego rodzaju owoców i roślin.

SMIAK NIEWOLI

Ich dieta diametralnie zmieniła się już w drugim tygodniu, kiedy dostali się „do niewoli”. Dwadzieścia sześć osób – bo tyłu żołnierzy dotrwało do tego etapu – musiało poradzić sobie z nowym wyżywieniem. Kazano im się rozebrać i w samej bieliznie wskoczyć do rzeki. Legioniści pomieszczeni wtedy wszystkie ubrania, zabrali sznurówki z butów i paski od spodni. Po kilkunastu minutach pozwolili żołnierzom wyjść z wody. Dali im trzy minuty na ubranie się. Kursanci brali, co było pod ręką. Dwa różne buty, za duże spodnie. Lepiej było włożyć cudzy but, niż następny tydzień chodzić po dżungli boso. Obuwie i ubrania splatali lianami, by ich nie zgubić.

Związano żołnierzom ręce i z workami na głowach wywieziono ich łodziami w nieznaną. „Lepiej było nie dyskutować. Wyłączyć myślenie. Nie zastanawiać się, dlaczego tak się dzieje. Po prostu poddać się i robić swoje”. Kiedy dotarli na miejsce, „Rudy” – taką ksywkę dostał jeden z instruktorów – przekazał im wiadomość, że z niewoli może uratować ich tylko ucieczka, ale i tak z tego miejsca jest tylko jedna droga i muszą zbudować tratwy, żeby pokonać rzekę.

Byli wykończeni. Spali po kilka godzin albo wcale (czasami zasypiali nawet na stojąco), doskwierał im potworny głód. Wtedy jedynym ich pożywieniem były owoce palm, mięsz z liści i kraby. Raz nawet zjedli elektrycznego węgorza (upolowanego strzałem z karabinu) i wielką ropuchę. Czasami udało się zjeść w kilka osób jedną dwudziestocentymetrową rybę. Mówią, że mięsz z palmowych liści jest niedobry, ale jeśli popije się go wodą, zapycha żołądek. Uczty jednak nie było: każdy w kilka dni schudł kilkanaście kilogramów.

Pilnowali ognia i obozu. Byli przygotowani na to, że zostaną zaatakowani: jeśli nie przez zwierzęta, to przez symulujących

wroga instruktorów. Problemem stały się także kontuzje i choroby skórne. Stłuczone kolana, obolałe plecy i nadwyrażone kręgosłupy to nic w porównaniu z tym, co działo się z ich stopami. Grzybica była zimą każdego komandos. Przez ciągłe przebywanie w wodzie, chodzenie w mokrych butach, nabawili się początkowo przebarwień, a później ran. Przez gigantyczną opuchliznę niektórzy nie mogli nawet włożyć obuwia. Zmiany na stopach były tak duże, że choć od ukończenia kursu minęło już kilka tygodni, kuracja trwa nadal. A jak poradzić sobie z grzybicą w dżungli? „Trzeba osuszyć skórę, ale to było praktycznie niemożliwe. Wieczorami obsypywaliśmy nogi pudrem. Niewiele to pomogło”, przyznaje Piotr.

Budowanie tratwy było trudniejsze niż myśleli. Niełatwo było bowiem znaleźć w dżungli drzewo, które nie tonie. Metodą prób i błędów ścinali najpierw jego kawałek i rzucali do wody. Jak drewno utrzymywało się na powierzchni, ścinali cały pień. „Trzeba było równomiernie rozkładać siły. Jedni robili tratwę, inni polowali”, wspomina Michał.

Po pięciu dniach się udało. Tratwy były przygotowane. Nie mogli jednak na nich usiąść, a jedynie płynący, pchać je po wodzie. Ta zaś była mulska, ciemna. Nie wiedzieli, jak głęboko jest dno, ale woleli go nie szukać. Przez 2 kilometry przepychali (ciągle z bronią) tratwy. Poruszali się resztkami sił. Nie rozmawiali ze sobą, słyszeli za to przekleństwa legionistów, często po polsku, i ciągłe zachęty do rezygnacji z kursu.

Gdy dotarli na brzeg, byli szczęśliwi, że to już koniec. Bardzo się jednak pomylili. Instruktorzy dopilnowali, by poziom wyczerpania żołnierzy był maksymalny. Niektórzy mieli łzy w oczach. Zostali wrzuceni w błoto i musieli przejść tor przeszkód, a później marsz na azymut. Na koniec zbudowali nosze dżunglowe i holowali rannego.

COMBAT MA MOC

Wysiłek się opłacił – tamtej nocy spali w bazie. Zdjęli mokre mundury i buty. Mogli wreszcie się najeść. „Nie da się nadrobić kilku dni głodu w jeden wieczór. Chociaż byliśmy najedzeni, ciągle czuliśmy niedosyt”, wspominają. Po krótkiej regeneracji znowu ruszyli do dżungli, tym razem uczyli się walki w buszu. Nie mogli używać światła, rozpalać ognia. Musieli być niewidoczni.

Szkolili się głównie z zielonej taktyki, skakali ze śmigłowców do wody, zjeżdżali na linach z mostu, holowali rannego. Uczyli się także, jak dowodzić ludźmi w takim środowisku, jak zapanować nad wielonarodowym towarzystwem. Wiele zasad kursu stanowi zaprzeczenie reguł obowiązujących w wojskach specjalnych. Zdaniem żołnierzy była to więc dobra próba pokory i dystansu do własnych umiejętności.

Komandosi na kurs do Gujany pojechali w ślad za swoimi poprzednikami. W 2012 roku szkolili się tam reprezentanci Agatu i jednostki z Lublińca. Być może w przyszłym roku kolejni śmiałkowie z Polski sprawdzą w Ameryce Południowej granice swojej wytrzymałości.

„Ekstremalne szkolenia w Gujanie, Indiach, na kole podbiegunowym wybieramy nieprzypadkowo. Nie może być miejsca na świecie, które mogłoby zaskoczyć żołnierzy Wojsk Specjalnych”, kwituje dowódca lublinieckich komandosów pułkownik Wiesław Kukuła. Oficer wyjaśnia, że umiejętności działania w trudnym terenie jest niezbędna, choćby na wypadek, gdyby konieczne było udzielanie pomocy naszym rodakom znajdującym się w różnych miejscach świata. ■



MISJA WŚRÓD UŚMIECHNIĘTYCH LUDZI

Towarzyszyłem w podróży polskim żołnierzom,
którzy wezmą udział w misji szkoleniowej w Mali.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Stare malijskie przysłowie mówi, że dzięki cierpliwości można ugotować kamień. W spokój i cierpliwość musieli uzbroić się także nasi żołnierze, którzy w nocy z 12 na 13 kwietnia wyruszyli do Mali, aby wziąć udział w Misji Szkoleniowej Unii Europejskiej (EUTM Mali).

LOTNICZE WYZWANIE

Długą podróż na Czarny Ląd rozpoczęliśmy na wrocławskim lotnisku. Pierwszy lot statku powietrznego polskich Sił Powietrznych do Mali to spore przedsięwzięcie. Aby potężny Hercules C-130 bezpiecznie doleciał na miejsce i po krótkim postoju, uwzględniając przepisy o czasie pracy pilotów, mógł wrócić do kraju, zaangażowane zostały trzy zespoły lotnicze. Z Powidza przez Wrocław do Malagi w Hiszpanii na trasie 1600 mil samolot pilotowała załoga majora Marcina Szubińskiego. W Maladze stery przejęły dwie inne załogi. Major Jarosław Gozdalski i kapitan Artur Fijołek ze swoimi lotnikami mają za zadanie dolecieć bezpiecznie do celu oddalonego o ponad 1700 mil i dwie doby później powrócić do kraju.

Tuż po północy na lotnisku otwiera się rampa załadowcza Herculesa. Żołnierze z Zespołu Transportu i Przeładunku Komendy Obsługi Lotniska podjeżdżają do samolotu z przygoto-

wanymi paletami lotniczymi. Za pomocą specjalnej platformy załadowczej Atlas 2000 umieszczają je na pokładzie maszyny. Załadunkiem towaru kieruje sierżant Emil Węglowski.

Przygotowany do transportu ładunek to broń i wyposażenie żołnierzy oraz amunicja. Zapakowano także sprzęt biurowy. Cargo waży około czterech ton i zajmuje 2/3 miejsca, reszta pozostaje dla pasażerów i członków załogi. Po godzinie pierwszej na pokład wchodzi uczestnicy wyprawy.

W DRODZE NA CZARNY ŁĄD

Silniki C-130 wyją, pracując na najwyższych obrotach. Odrywamy się od ziemi. O rozmawie nie ma mowy. Wszyscy pasażerowie dostali jaskrawożółte zatyczki do uszu, żeby przebywanie wiele godzin w nieustającym hałasie było bardziej znośne.

Ulokowani jesteśmy na niewygodnych siedzeniach desantowych znajdujących się wzdłuż burt. Jest nas siedemnastu, w tym dziewięciu logistyków – w bazie szkoleniowej w miejscowości Koulikoro, około 60 kilometrów na północ od stolicy Mali, będą szkolili miejscowych żołnierzy. Wejdą w skład międzynarodowego zespołu szkoleniowego LTT (Logistic Training Team). Cztery pasażerowie to saperzy. Na lotnisku w kraju nie wiedzieli jeszcze, czy będą instruktorami, czy członkami zespołów roz-

minowania (EOD Team) chroniących bazy (na miejscu okaże się, że zajmą się ochroną miejsc stacjonowania międzynarodowych sił szkoleniowych).

Dla kapitana Jacka Prokopa nie ma to większego znaczenia. Jako wykładowca Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych doskonale potrafi przekazywać wiedzę z dziedziny rozminowywania czy budowy umocnień inżynieryjnych. Ma za sobą pobyt na IV i VIII zmianach w Afganistanie, gdzie był dowódcą grupy inżynieryjnej. Potrafi wykrywać i neutralizować rozmaite miny czy domowej roboty urządzenia wybuchowe.

Wśród pasażerów jest również oficer Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Na miejscu wspólnie z kolegami z innych krajów Europy będzie zbierał wszelkie informacje mogące pomóc żołnierzom w bezpiecznym wykonywaniu zadań.

RYŻ W SOSIE ORZECHEWYM

Piętnasty uczestnik lotu jest czarnoskóry. O Afryce wie więcej niż wszyscy uczestnicy misji razem wzięci. Mali jest ojczyzną Yaya Samakego. W Polsce przebywa od trzynastu lat. Studiuje, a w wolnych chwilach grywa w filmach i serialach. Gdy usłyszał, że Polacy będą brali udział w misji w jego kraju, zaproponował w Dowództwie Operacyjnym Sił Zbrojnych, że może pomóc.

„Jestem to winny swoim rodakom. W moim kraju dzieje się źle. Liczę na to, że międzynarodowa pomoc przyczyni się do stworzenia tam demokracji i przywrócenia swobód obywatelskich”, tłumaczy. Zapewnia, że ludzie w Mali będą bardzo życzliwi żołnierzom sił międzynarodowych, w tym Polakom. Przy okazji Yaya zachwala miejscowe specjały. Uważa, że gdy tylko nasi żołnierze będą mieli okazję, powinni spróbować tradycyjnej potrawy z ryżu w orzechowym sosie...

Szesnasty uczestnik lotu nie weźmie udziału w misji. Podobnie jak siedemnasty, czyli ja, spędzi na malijskiej ziemi tylko trzy godziny. Podpułkownik Mariusz Marut z Dowództwa Operacyjnego leci, żeby spotkać się z dowódcą PKW Mali podpułkownikiem Adamem Jangrotem.

Podpułkownik Jangrot zna już dokładnie sytuację w rejonie misji. Wraz z czterema specjalistami z zespołu transportowo-przeładunkowego (Joint Transit Team, JTT), kierowanego przez kapitana Dariusza Szymańskiego, a wchodzącego w skład misji szkoleniowej UE (European Training Mission, EUTM), pełni służbę w Mali od blisko dwóch miesięcy.

Międzylądowanie w Maladze. Mamy dwie godziny na rozprostowanie kości. Hiszpańskie słońce i ciepło po spóźniającej się w kraju wiośnie wszyscy witają z zadowoleniem. I znów lecimy. Nie będzie to jednak przelot w linii prostej. Nie każda przestrzeń powietrzna nad Afryką jest bowiem bezpieczna. W końcu jednak jesteśmy nad celem podróży. Przez okienka samolotu widzimy wstęgę wijącego się w dole Nigru. Bamako, blisko dwumilionowe miasto, rozciąga się na bardzo dużym obszarze. Lądujemy.

Przez otwarty luk ładowni do wnętrza wpada gorące powietrze. Jest trzynasta miejscowego czasu. Temperatura wynosi około 40 stopni Celsjusza w cieniu.

Przybyszów z ojczyzny wita podpułkownik Adam Jangrot. W pobliżu przechodzą żołnierze różnych nacji oraz Malijszczy w mundurach. Zarówno wojskowi, jak i czarnoskórzy cywile witają nas promiennymi uśmiechami.

Polscy żołnierze pomagają rozładować samolot. Później zostaną poddani misyjnym procedurom administracyjnym. Francuscy sztabowcy zapisali ich na listę uczestników EUTM. Każ-

demu zrobiono zdjęcie do dokumentów. Tego dnia podobnemu postępowaniu zostali poddani żołnierze z Hiszpanii, Węgier oraz Grecji, którzy dolecieli do Mali tuż przed Polakami.

Przy samolocie spotykam kapitana armii francuskiej Frederica Moure. O naszych rodakach – czterech żołnierzach zespołu transportowo-przeładunkowego – wypowiada się w samych superlatywach. Twierdzi, że są doskonałymi specjalistami, rygorystycznie przestrzegającymi zasad i przepisów. Takie podejście, zdaniem kapitana, sprawiło, że ostatnio na lotnisku w Bamako przyjmowanie i ekspedycja ludzi oraz sprzętu zostały znacznie usprawnione.

„Żołnierzy z Polski poznałem już na misji w Libanie. Cenię ich fachowość, przyznam jednak, że wasza kuchnia nie bardzo przypadła mi do gustu”, oznajmił z uśmiechem.

Postój samolotu będzie krótki. Korzystam z okazji i z kapitanem Szymańskim ruszamy do kwatery głównej, znajdującej się w zaadaptowanym do tego celu hotelu w centrum miasta. Przed nami pół godziny drogi przez afrykańską metropolię. Wyjazdu z lotniska i wjazdu na nie strzegą uzbrojeni żołnierze francuscy oraz malijscy. Nasz osobowy, i na szczęście klimatyzowany, samochód mija posterunki ochronne bez żadnych problemów.

EGZOTYCZNA METROPOLIA

Jedziemy szeroką asfaltową, niedawno zrobioną drogą. Wiedzie od lotniska do wzgórza, na którym mieści się pałac prezydenta republiki. To jedyna tak dobra trasa. Wszystkie inne ulice odchodzące od niej są szutrowe lub brukowe. Wokół wala się mnóstwo śmieci.

Z większości mijanych zabudowań odpada tynk. Niektóre z nich to prostokątne lepianki, choć trafiają się także nowoczesne wieżowce, a gdzieś tam widać osiedla bogaczy, otoczone murami, pilnie strzeżone. Wrażenie robi nowoczesna dzielnica, w której mieszczą się najważniejsze urzędy państwowe. W tak biednym kraju bardzo rzucają się w oczy jako symbol przepychu i nierówności społecznej.

Nasz kierowca – młody Malijszczyk Kaoussou Camara – robi, co może, abyśmy szybko dotarli do bazy sił międzynarodowych. Przejeżdżamy jednym z dwóch mostów nad Nigrem. W dole, na szeroko rozlanej rzece, widać dużo małych łodzi. Rybołówstwo jest podstawowym źródłem utrzymania wielu mieszkańców stolicy.

Przed hotelem Azalai Nord Sud, kwaterą dowództwa sił międzynarodowych, znajdują się uzbrojone posterunki wojskowe. Obiektu strzegą żołnierze z Czech. Na niewielkim parkingu do opancerzonych samochodów wsiadają francuscy żołnierze, którzy będą ochraniać dwa konwoje jadące do bazy w Koulikoro. W jednym z nich znajdują się nasi żołnierze, którzy przed chwilą przylecieli do Mali.

Siedziba dowództwa przypomina wieżę Babel. Nic dziwnego, wszak w skład misji szkoleniowej Unii Europejskiej wchodzi żołnierze aż 22 narodowości. Gdy zwiedzamy pomieszczenia sztabu, kapitan Szymański wita się z Francuzami, Niemcami, Bułgarami czy Anglikami jak z przyjaciółmi.

Pokój pracy Polaków wygląda skromnie. Dwa biurka, dwa komputery, kalendarz, tablica biurowa. Porucznik Radosław Chojna-Abarchan przygotowuje plan wykorzystania służbowych samochodów w następnym dniu. Chorążego Andrzeja Raczkowskiego i sierżanta Norberta Wtykły nie ma w sztabie. Obaj zostali na lotnisku, aby nadzorować przylot Polaków i Hiszpanów oraz rozładunek obu maszyn.





TRZY PYTANIA DO PODPUŁKOWNIKA ADAMA JANGROTA

U S D O D

Pan i czterech żołnierzy rozpoczęliście misję prawie dwa miesiące temu. Dopiero teraz doleciało piętnastu pozostałych uczestników kontyngentu. Co działo się przez te dwa miesiące?

Zajęliśmy się przygotowaniem, aby polski kontyngent mógł dobrze wykonywać swoje zadania. W bazie w Koulikoro zorganizowałem miejsca zakwaterowania dla swoich podwładnych. Nasi żołnierze powinni być zadowoleni – będą mieszkali w czteroosobowych klimatyzowanych pokojach. Ponadto Polacy są tutaj odpowiedzialni za porządek na lotnisku, więc opanowaliśmy sprawy związane z przyjmowaniem ludzi oraz towarów.

Wkrótce więc rozpoczniecie szkolenie miejscowego wojska?

Już rozpocząłem szkolenie malijskich żołnierzy. Po krótkiej aklimatyzacji włączą się w nie również logistycy, którzy właśnie przylecieli. Polscy saperzy nie będą się zajmowali sprawami szkoleniowymi – ich rola to ochrona przeciwminowa bazy. Gdy jakiś pododdział z instruktorami będzie szedł na zajęcia w teren poza bazę lub na strzelnicę, obiekt taki najpierw zostanie przez nich sprawdzony.

Czym misja w Mali różni się od wcześniejszych, w których Polacy brali udział?

Nie jest bojowa, lecz szkoleniowa. Mamy uczyć nietatwej dziedziny, czyli logistyki. Wziąwszy jednak pod uwagę nasze bogate doświadczenia w tej materii, jestem pewien, że podaliśmy wyzwanie. Kursy mają trwać po 10 tygodni. W tym czasie można nauczyć wielu rzeczy. W bazie będą szkolone jednocześnie cztery miejscowe kompanie piechoty i jedna logistyczna. Piechotą zajmą się Anglicy, Francuzi, Irlandczycy, Finowie, Szwedzi i Litwini. Kompanie logistyczną będą szkolić tylko Polacy. ■

PODPUŁKOWNIK ADAM
JANGROT JEST DOWÓDCĄ
PKW W MALI.

Kapitan Szymański nie może mi poświęcić więcej czasu. Zobaczył rotmistrza Vladimira Lysonka z Czech. Po krótkiej wymianie zdań okazało się, że obaj logistycy muszą szybko zorganizować transport sprzętu z lotniska do bazy.

MALI JEST NIEPODZIELNE

Z biura naszych żołnierzy zabieram upominek, który będzie nagrodą w redakcyjnym konkursie fotograficznym. Jest to misa zrobiona ze skorupy dużego owocu calebasse z regionu Segou. W czasie świąt wielkanocnych naczynie to służyło Polakom jako koszyk z święconką. Jakiś miejscowy rzemieślnik wypalił na nim w języku francuskim napis: „Mali jest niepodzielne”. Te słowa są przykładem starań Malijszczyków o jedność swojego państwa. Dowodzą, że z zadowoleniem przyjęli siły międzynarodowe, które mają zapewnić im pokój.

W drodze powrotnej kapitan opowiada mi historię tego państwa. Najpierw rozpoczęły się próby podziału Mali na dwa państwa. Rebelię Tuaregów szybko zdominowali dżihadysty z radykalnych ugrupowań islamskich oraz różnej maści watażkowie i przemytnicy. W północnej części kraju nastąpił czas terroru. Fala działań zbrojnych zaczęła przesuwać się na południe. Zdecydowana interwencja francuska oraz potępienie świata zapobiegły krwawej wojnie. Szkolona przez siły międzynarodowe armia ma w niedługim czasie zagwarantować stabilizację i spokój.

Podczas krótkiej wizyty w Mali zaskakuje mnie sposób bycia miejscowych ludzi. Mimo biedy często się uśmiechają. Nie protestują na widok obiektywu. Machają wesoło rękoma. Nawet żołnierze pełniący służbę na lotnisku, uzbrojeni i mający do dyspozycji opancerzony transporter, tylko z pozorów wyglądają groźnie. Gdy podchodzimy, witają nas bardzo przyjaźnie. I właśnie takich uśmiechniętych Malijszczyków zachowam w pamięci.

Gdy docieram do samolotu, chwilę rozmawiam z dowódcą PKW. Podpułkownik Jangrot opowiada, że szkolił już miejscowych wojskowych. Zauważył, że są bardzo pojętni, zaangażowani i zainteresowani zdobywaniem nowych kwalifikacji: „To, co tutaj robimy, jest dla tych ludzi bardzo ważne. Oni doceniają, że chcemy im pomóc, i są za to bardzo wdzięczni”.

Rozmawiam jeszcze chwilę ze starszym chorążym armii francuskiej Noëllem Jourdanem. Podoficer na co dzień współpracuje z naszymi żołnierzami. Polubił ich do tego stopnia, że po zakończeniu misji chce koniecznie odwiedzić nasz kraj: „Pojadę do kapitana Szymańskiego i razem z nim wybiorę się gdzieś na narty”.

O osiemnastej czasu malijskiego nasz Hercules wzbija się w powietrze. Przelot do Hiszpanii trwa do północy. Po odpoczynku załóg w poniedziałkowy poranek startujemy do kraju. I szczęśliwie lądujemy na miejscu. ■

III MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA CZARNY ŁĄD I ŚWIAT ARABSKI OBRONA POKOJU CZY INTERESÓW?

15 – 16 maja 2013 roku
Audytorium Akademii Marynarki Wojennej
Ul. Śmidowicza 69
81 – 103 Gdynia

www.knbm.pl
konferencjaknbm@gmail.com

PATRONI HONOROWI

Rektor – Komendant
Akademii Marynarki Wojennej
Kontradm. dr inż.
Czesław DYRCZ



Prezydent Miasta Gdynia
Dr Wojciech SZCZUREK



Prezes Fundacji
dla Somalii
Abdulcadir Farah
Gabeire



PATRONI MEDIALNI



Samotni łowcy

Polska ma ich pięć. Choć powoli dożywają swoich lat, na morzu nadal stanowią jeden z największych atutów. Sama ich obecność, a nawet jej podejrzenie, może wywołać popłoch w szeregach nieprzyjaciela.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Na Bałtyku doszło do pojedynku. Oko w oko stanęły fregata rakietowa ORP „Kościuszko”, wspomagana przez samolot „Bryza”, oraz okręt podwodny ORP „Orzeł”. Każda z załóg miała namierzyć i podać pozycję przeciwnika. Trochę jak w popularnej grze towarzyskiej. Tyle że tutaj sprawa była znacznie

czesnych systemów łączności”, wylicza komandor podporucznik Tomasz Witkiewicz, dowódca OPR „Sęp”.

Okręty podwodne są wykorzystywane do prowadzenia zwiadu i rozpoznania czy też desantowania sił specjalnych. „Ich podstawowym atutem jest to, że działają w sposób skryty. Potrafią przedrzeć się przez blokadę, niespodziewanie za-

ORP „ORZEŁ” TO NAJWIĘKSZY, A ZARAZEM NAJNOWSZY Z OKRĘTÓW PODWODNYCH, KTÓRE SŁUŻĄ W POLSKIEJ MARYNARCE WOJENNEJ.

Powstał jeszcze w Związku Radzieckim, a biało-czerwona bandera została na nim podniesiona w 1986 roku. Załoga liczy 60 osób. Pod wodą jednostka może rozwinąć prędkość 17 węzłów, a na powierzchni – 12. Maksymalna głębokość zanurzenia wynosi 300 metrów, a zasięg 6 tysięcy mil morskich. Tyle właśnie okręt może przepłynąć jednorazowo, korzystając ze swoich zapasów. Podstawowe uzbrojenie „Orła” stanowią torpedy. Może ich zabrać na pokład osiemnaście. Dysponuje też sześcioma wyrzutniami.

poważniejsza. Wynik całodobowych manewrów: 3:1 dla „Orła”. I to wcale nie dlatego, że jedna z załóg okazała się bardziej biegła w swoim rzemiośle. „Okręt podwodny z racji swojej specyfiki zawsze będzie miał w takim starciu przewagę”, przyznaje komandor porucznik Bartosz Zajda, rzecznik prasowy Marynarki Wojennej. „Długo potrafi być niemal niewidzialny, ale kiedy już się ujawni, zwykle jest piekielnie skuteczny”.

NOWOCZEŚNI PODWODNIACY

Okręty podwodne to chyba najgroźniejsza broń, jaką dysponują siły morskie. W dodatku ich możliwości stale rosną. „Kiedyś jednostki tego typu atakowały za pomocą torped i stawiały miny. Teraz wiele z nich może korzystać z kierowanych pocisków przeciwlotniczych, bezzałogowych statków zarówno podwodnych, jak i latających, coraz bardziej nowo-

atakować konwój bądź zespół okrętów, a potem ponownie ukryć się w głębinach”, podkreśla komandor porucznik Zajda. Okręt podwodny jest też o wiele mniej uzależniony od zmiennej pogody. „Podczas dużego sztormu mniejsze nawodne jednostki muszą wykonywać swoje zadania, a jednocześnie zmagać się z żywiołem. Okręt podwodny może pozostać w zanurzeniu i nadal działać”, zaznacza komandor porucznik Zajda. Mało tego, już sama obecność tego typu jednostki w danym rejonie może związać pokaźne siły nieprzyjaciela i wprowadzić w jego szeregi niemalże zamęt. Tak było chociażby w czasie brytyjsko-argentyńskiej wojny o Falklandy (Malwiny) na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. „W rejonie wysp działały zaledwie dwa należące do Argentyny okręty podwodne, ale to wymusiło na Brytyjczykach zaangażowanie blisko 20 różnego rodzaju jednostek i 25 śmigłowców”, zaznacza komandor podporucznik Witkiewicz.

Dlatego właśnie okręty podwodne stają się bronią coraz bardziej pożądaną.

„Był czas, że tylko Armia Czerwona miała kilkadziesiąt okrętów podwodnych. Teraz jest ich na świecie mniej. Rośnie za to liczba państw, które chciałyby takie jednostki posiadać”, tłumaczy komandor porucznik rezerwy Ireneusz Gołąbek, były szef logistyki w Dywizjonie Okrętów Podwodnych.

ZAISTNIEĆ POD WODĄ

Własne floty jednostek podwodnych postanowiły stworzyć od zera między innymi Malezja, Iran czy Wietnam. „Sześć okrętów podwodnych kupił od Szwecji Singapur, cztery ma Tajwan, który chce pozyskać kolejne, ale planom tym sprzeciwiają się Chiny. Nawet Izrael, choć wrogów ma na lądzie, zamierza rozbudować podwodną flotę do sześciu jednostek”, podkreśla komandor podporucznik Witkiewicz. Listę można by wydłużyć o kolejne państwa.

Tymczasem tradycyjne mocarstwa stawiają nie tyle na ilość, ile na jakość. „Państwa, które na to stać, modernizują okręty o napędzie jądrowym. Mają być one na przykład jeszcze cichsze,

a przez to trudniej wykrywalne”, wyjaśnia komandor porucznik rezerwy Gołąbek.

Z jednostek tego typu korzystają USA, Rosja, Francja, Chiny, Wielka Brytania oraz Indie. Za kilka lat być może dołączy do nich Brazylia. Inne marynarki kupują nowoczesne okręty o napędzie konwencjonalnym.

Do tego grona ma wkrótce dołączyć także Polska. Według zapisu, który znalazł się w planach rozwoju Marynarki Wojennej, do 2030 roku mamy kupić trzy nowe jednostki, które zastąpią pięć obecnie działających.

Zakup okrętu podwodnego to spory koszt. Można go oszacować nawet na około 2,5 miliarda →

POD KONIEC
KWIETNIA
GDYŃSKI
DYWIZJON
OKRĘTÓW
PODWODNYCH
PO RAZ KOLEJNY
OBCHODZIŁ
SWOJE ŚWIĘTO.
TO NAJDŁUŻEJ
ISTNIEJĄCA
JEDNOSTKA
W MARYNARCE
WOJENNEJ

KOBBENY SĄ ZNACZNIE MNIEJSZE I STARSZE NIŻ ORP „ORZEŁ”.

Zbudowane zostały w latach sześćdziesiątych XX wieku na zlecenie norweskiej marynarki. Ich załoga składa się z 21 osób. Kobbeny mają zasięg 5 tysięcy mil, schodzą pod wodę maksymalnie na 200 metrów, a skorzystać mogą z ośmiu wyrzutni torped. Na początku XXI wieku Norwegowie za darmo przekazali Polsce pięć tego typu okrętów, z których jeden miał się stać źródłem części zamiennych. „Norweska marynarka postanowiła skupić się na okrętach nowszej generacji. Zanim jednak taka decyzja zapadła, jeszcze w latach dziewięćdziesiątych Kobbeny zostały poddane gruntownej modernizacji”, wyjaśnia komandor porucznik Bartosz Zajda, rzecznik Marynarki Wojennej. „Okręty rozebrano niemal do ostatniej śrubki, a potem złożono na nowo”. Kobbeny zostały wyposażone między innymi w nowe baterie okrętowe, stacje hydrolokacyjne czy anteny. „Moim zdaniem, kiedy przejeźliśmy te jednostki od Norwegów, zrobiliśmy jeden z najlepszych interesów w ciągu ostatnich kilku dekad”, dodaje porucznik Zajda. Jednocześnie do standardów NATO przystosowany został także „Orzeł”. W ostatnich latach polskie okręty podwodne brały udział w dziesiątkach międzynarodowych ćwiczeń i misji. Na początku wieku, w ramach walki z terroryzmem Kobbeny zostały wysłane na Morze Śródziemne. W czasie natowskiej operacji „Active Endeavour” kontrolowały ruch statków. „Istniała wówczas obawa, że terroryści uderzą również tam. A destabilizacja żeglugi na Morzu Śródziemnym mogłaby się skończyć światowym kryzysem. Tylko przez Gibraltar każdego dnia przechodzą statki wiozące w sumie dwa miliony barytek ropy”, podkreśla komandor porucznik Zajda. Załoga ORP „Orzeł” ma z kolei na koncie między innymi udział w prestiżowych ćwiczeniach „Joint Maritime Course” w okolicach Szkocji. Nasi marynarze pomagali w szkoleniu uprawniającym do udziału w Siłach Odpowiedzi NATO.

złoty. „To kosztowna inwestycja, ale ze względu na możliwość tego typu jednostek niezwykle opłacalna”, podsumowuje komandor porucznik Zajda.

ORZEŁ ŚLEDZI LATARNIE

Historia okrętów podwodnych w polskiej Marynarce Wojennej sięga 1920 roku. Wówczas to dowództwo armii rozpięło ambitny program rozbudowy floty. Zakładał on, że docelowo pod białą-czerwoną banderą służyć będą aż 42 tego typu jednostki. Wkrótce pierwsze trzy okręty zostały zamówione we Francji. W latach trzydziestych Polska miała ich już tyle, że można było sformować odrębną jednostkę. W 1932 roku w Gdyni powstał Dywizjon Łodzi Podwodnych. Cztery lata później widniejące w nazwie słowo „Łódzie” zostało zamienione na „okręty”.

W skład dywizjonu wchodziły trzy okręty podwodne – OORP „Rys”, „Wilk” oraz „Żbik”. Lada moment miały do nich dołączyć dwa kolejne. Za pieniądze pochodzące między innymi ze społecznych składek w holenderskiej stoczni były budowane „Orzeł” i „Sęp”. Białą-czerwoną banderą ostatecznie załopotana na nich na początku 1939 roku. Kilka miesięcy później wybuchła wojna.

Polscy podwodniacy mieli w niej odegrać znaczącą rolę. Z myślą o nich dowództwo marynarki opracowało plan pod kryptonimem „Worek”. Okręty zostały rozmieszczone w Zatoce Gdańskiej i wokół Półwyspu Helskiego, gdzie miały odpierać ataki Niemców. Szybko jednak stało się jasne, że w starciu z Kriegsmarine i samolotami Luftwaffe nie mają wielkich szans. Zgodnie z opracowanym wcześniej wariantem okręty opuściły swoje sektory i popłynęły na północ. Trzy z nich – OORP „Rys”, „Sęp” i „Żbik” – zostały internowane w Szwecji, gdzie przebywały do końca wojny. „Wilk” zdołał przedrzeć się do Wielkiej Brytanii. Członko-

wie załogi wspominali potem, że kiedy w cieśninie Sund szli w wynurzeniu, zaledwie o kilkadziesiąt metrów minęli dwie jednostki Kriegsmarine: niszczyciel „Richard Beitzen” i torpedowiec T-107, a Niemcy podobno wzięli „Wilka” za okręt szwedzki.

Jeszcze bardziej karkołomną eskapadę zaliczył ORP „Orzeł”. Okręt został internowany w Tallinie, skąd załoga postanowiła uciec. Marynarze obezwładnili estońskich strażników i wyprowadzili „Orła” z portu. Na kilka godzin ukryli jednostkę na dnie Bałtyku, a następnie ruszyli w kierunku Wielkiej Brytanii. Zadanie było o tyle trudne, że okręt został pozbawiony map nawigacyjnych i niemal całego uzbrojenia. Załozde udało się jednak pokonać niewralgiczne punkty dzięki niemieckiej mapie latarni morskich. Po 44 dniach „Orzeł” dotarł do Szkocji.

Już w Wielkiej Brytanii Polacy wypożyczyli od aliantów trzy kolejne okręty podwodne. Na wszystkich walczyli z Niemcami do końca wojny, zadając Kriegsmarine dotkliwe straty. Tylko podczas operacji na Morzu Śródziemnym w 1943 roku zatopili i uszkodzili około 30 nieprzyjacielskich jednostek. Rzecz jasna polska marynarka też zanotowała straty. W maju 1940 roku na Morzu Północnym w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach zaginął ORP „Orzeł”. Na dno poszedł również pożyczony od Brytyjczyków ORP „Jastrząb”.

Po wojnie wynajęte okręty zwróciliśmy, a nasze własne wróciły do kraju. W kolejnych latach zmieniali się ludzie, okręty, uzbrojenie, ale dywizjon trwał. Obecnie jest najdłuższą działającą jednostką w Marynarce Wojennej, a jego najnowszą historię tworzy pięć okrętów: jednostka typu Kilo na cześć słynnego poprzednika nazwana ORP „Orzeł” oraz otrzymane z Norwegii Kobbeny – OORP „Sęp”, „Sokół”, „Kondor” i „Bielik”. ■

TECZKA AKT PERSONALNYCH

Jacek Trybalski

Rocznik 1977. Miejsce urodzenia: Warszawa
Kierowca czołgu Leopard 2A4 w 10 Brygadzie
Kawalerii Pancernej w Świątoszowie.

Moje hobby: historia wojskowości oraz militaria, a konkretnie czołgi. Interesuję mnie wszystkie pancerne pojazdy. Przez kilka lat współpracowałem z Muzeum Wojska Polskiego. Pomagałem w naprawach oraz renowacji zabytkowych czołgów i tankietek. Wieloma jeździłem. Należę także do klubu strzeleckiego. Strzelam z broni sportowej oraz czarnoprochowej. Należę też do grupy rekonstrukcji historycznej broni pancernej Smok.

Zostałem żołnierzem, bo... zawsze było to moim marzeniem. Żołnierzami zawodowymi byli ojciec i dziadek. Mundur nosi również mój starszy brat. Ja też chciałem. Moją największą pasją są czołgi, a nie da się jeździć nimi, jeśli nie jest się w wojsku.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dzisiaj... kierowca wielkiej ciężarówki.

Edukacja wojskowa: ukończyłem wiele kursów z jazdy i eksploatacji sprzętu pancernego oraz transporterów opancerzonych. Mam uprawnienia mechanika-kierowcy na wszystkie rodzaje czołgów używanych obecnie w wojsku, między innymi PT-91, T-72 i Leopard, oraz na wiele typów czołgów i tankietek już historycznych. Przeszedłem także kurs spadochronowy.

Służę od... 1998 roku. Jako ochotnik trafiłem do 8 Ośrodka Szkolenia Specjalistów Czołgowych w Chełmnie. W 1999 roku zakończyłem zasadniczą służbę wojskową i odszedłem do rezerwy. W 2007 roku wróciłem do wojska. Zostałem żołnierzem zawodowym. Trzy lata służyłem w 1 Warszawskiej Brygadzie Pancernej w Wesolej, a od 2010 roku jestem kierowcą czołgu Leopard 2A4 w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej w Świątoszowie.

Udział w misjach: nie brałem jeszcze udziału w żadnej misji zagranicznej. Przygotowuję się do XIV zmiany w Afganistanie.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku, sprawiłbym... aby żołnierze mogli się więcej szkolić z użyciem sprzętu. Trenażery, owszem, są potrzebne, ale praktycznej jazdy czołgiem czy transporterem w terenie, po poligonach w różnych warunkach pogodowych nic nie zastąpi.

Ocena z egzaminu z WF-u: 4,49.

Ulubiony film lub zespół muzyczny: od bardzo wielu lat mój ulubiony serial to „Cztery pancerni i pies”. Dzięki niemu zrodziła się moja miłość do czołgów. Lubię także horrory Stephena Edwina Kinga.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się... uniwersalność munduru polowego. Wprowadzany właśnie nowy wzór będzie pod tym względem jeszcze lepszy. A jeśli mundur galowy, to tylko pancerniaka 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej z czarnymi beretem i naramiennikami oraz dywizyjnym krawatem. Nie ma w wojsku piękniejszego...

Za 10 lat będę... nadal żołnierzem. Pewnie podoficerem.

Za 10 lat nasze wojsko będzie... w pełni profesjonalną armią, niczym nieróżniącą się od najlepszych armii świata.

Ulubiona broń: jeśli mowa o dużym kalibrze, to oczywiście działo Leoparda 2A4. Z mniejszych kalibrów – PM-98, którego używam na co dzień. Jest mały, poręczny i celny...

Największe wojskowe osiągnięcie: bez wątpienia jest nim doskonała znajomość czołgu Leopard 2A4 i umiejętności mistrzowskiej jazdy nim. Jestem kierowcą dowódcy trzeciego plutonu ósmej kompanii oraz kierowcą czołgu dowódcy batalionu. Jest to dla mnie wyróżnienie.

flesz
SIŁY POWIETRZNE

TRZY MIG-29 WYKONAŁY
ŁĄCZNIE 24 LOTY W CZASIE KURSU
TLP 2013-2

SZKOŁA MIST

A MIG-29 fighter jet is shown on a runway at sunset. The aircraft is illuminated by its own lights, and the background is a warm, orange glow from the setting sun. The sky is a deep blue, and the foreground is a grassy field. The text 'SZKOŁA MIST' is overlaid in large white letters across the bottom of the image.

**W CZASIE KURSU TLP MIG-I
Z 23 BAZY LOTNICTWA TAKTYCZNEGO
SPĘDZIŁY W POWIETRZU 30 GODZIN
I 34 MINUTY**

RZÓW

2



Polacy kolejny raz wzięli udział w jednym z najbardziej wymagających kursów dla pilotów wojskowych w Europie.

BARTOSZ BERA

Tactical Leadership Programme (TLP) pozwala zasmakować tego, co czuli piloci w filmie „Top Gun”. Jest to szkolenie dla najlepszych, przygotowane z myślą o doskonaleniu umiejętności niezbędnych w przeprowadzaniu wielonarodowych operacji lotniczych w ramach NATO (sam TLP nie jest w strukturach sojuszu, ale należą do niego wybrane państwa członkowskie).

Załogi MiG-29 z 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim już trzeci raz zostały zaproszone do Albacete, żeby wziąć udział w tym prestiżowym kursie. Dla Polaków przygotowano jednak odmienną rolę niż dla pozostałych uczestników. Nasi piloci jako Czerwoni mieli być przeciwnikami dla Niebieskich, działających jako ugrupowanie COMAO (Composite Air Operation). Niebiescy latali na francuskich Mirage 2000, włoskich Tornadach, AMX i EF-2000, holender-

skich, belgijskich i amerykańskich F-16 oraz na hiszpańskich i francuskich śmigłowcach (zadania Combat Search and Rescue, CSAR). Siły Czerwonych uzupełniały greckie Mirage 2000 i francuskie Alpha Jety.

Polski zespół liczył ponad 40 osób, miał do dyspozycji trzy samoloty MiG-29. Dowodził nim major pilot Cezary Lesiński (oprócz niego misje wykonywali kapitan pilot Paweł Czajka, porucznik Bartosz Kida i porucznik Michał Popławski – wszyscy już wcześniej brali udział w TLP). Każdego dnia przeprowadzali jeden wylot – zwykle w składzie dwóch samolotów. Jak tłumaczy porucznik Kida, nie chodziło tylko o odniesienie zwycięstwa w pozorowanych walkach powietrznych, lecz o takie zaplanowanie własnej misji, by w jak najwyższym stopniu przeszkodzić w wykonaniu zadania siłom Niebieskich, przy maksymalnie wiernym oddaniu taktyki potencjalnych przeciwników państw NATO. ■



BARTOSZ BERA / WWW.BRSPHOTOS.COM (5)

flesz



OBIE STRONY „KONFLIKTU”

BYŁY WSPIERANE PRZEZ SAMOLOTY
WCZESNEGO OSTRZEGANIA E-3A.



SZKOLENIA W RAMACH TLP
OD 1978 ROKU ODBYWAŁY
SIĘ W NIEMIECKICH BAZACH
FÜRSTENFELDBRUCK
I JEVER. PÓŹNIEJ
PRZENIESIONO
JE DO BELGIJSKIEGO
FLORENNES,
A W KOŃCU DO ALBACETE



29 maja - Dzień Weterana SZACUNEK I WSPARCIE Wrocław - Rynek / pl. Solny

Program Centralnych Uroczystości Dnia Weterana Działań poza Granicami Państwa oraz Międzynarodowego Dnia Uczestników Misji Pokojowych ONZ we Wrocławiu

Początek 29 maja o godz. 10.30

Rozpoczynamy nabożeństwem ekumenicznym w kościele garnizonowym pw. św. Elżbiety

A potem:

Odślonimy krasnala – weterana, to będzie kolejny mieszkaniec Wrocławia

Nad wrocławskim Rynkiem przelecą wojskowe statki powietrzne

Oficjalne uroczystości Dnia Weterana, w których udział wezmą najwyższe władze państwowe, a przede wszystkim weterani polskich misji poza granicami kraju

Przez Rynek przedefilują **oddziały reprezentacyjne Wojska Polskiego**

Musztre paradną zaprezentuje kompania reprezentacyjna WP z Orkiestrą Wojsk Lądowych

Wystąpią orkiestry wojskowe

Jednostki wojskowe i producenci uzbrojenia wystawią **najnowocześniejszy sprzęt wojskowy**

Marcin Gortat Camp! – zabawę w koszykówkę dla wszystkich zorganizuje gwiazda MBA, Marcin Gortat Gry, zabawy i pokazy dla dzieci i dorosłych zorganizują żołnierze i rekonstrukcyjne grupy historyczne



Choć misje pokojowe nie są zajęciem dla armii, to tylko żołnierze potrafią je przeprowadzić.

U N

Oblicza pokoju

„To niesamowite spotkać żołnierzy, którzy służyli na misjach”,
twierdzili licealiści z Długołęki.

ANNA DĄBROWSKA

W jaki sposób wojsko, tworzone z myślą o prowadzeniu wojen, może dbać o pokój? Młodszy chorąży w stanie spoczynku Andrzej Korus opowiada: „W latach pięćdziesiątych XX wieku Szwed Dag Hammarskjöld, sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych, stwierdził, że chociaż misje pokojowe to faktycznie nie jest zajęcie dla armii, to tylko żołnierze potrafią je przeprowadzić, ponieważ są dyspozycyjni, zorganizowani i mają odpowiedni sprzęt”.

OD KOREI PO AFGANISTAN

W liceum w podwrocławskiej Długołęce trwa prelekcja o udziale polskich żołnierzy w operacjach pokojowych. Spotkanie jest częścią tegorocznych obchodów Dnia Weterana. „Zależało nam, aby z tej okazji uczniowie dowiedzieli się,

czym są misje i po co nasi żołnierze na nie jeżdżą”, tłumaczy podoficer, uczestnik operacji w Egipcie i Syrii oraz członek Stowarzyszenia Kombatantów Misji Pokojowych ONZ. Dlatego od początku kwietnia weterani spotykają się z gimnazjalistami i licealistami w całej Polsce. Chorąży Korus odpowiada za prelekcje na terenie Dolnego Śląska.

Zwykle rozpoczyna je od historii misji pokojowych. „Po I wojnie światowej państwa biorące w niej udział chciały, aby krwawy konflikt już się nie powtórzył. Powołały Ligę Narodów, która miała umożliwić rozwiązywanie sporów nie na polach bitew, ale przy stole rokowań”, wyjaśnia. Niespełna 20 lat później przez świat przetoczyła się jednak kolejna, jeszcze okrutniejsza wojna. „Pod jej koniec przywódcy światowych mocarstw postanowili, że trzeba stworzyć lepszą organizację zabezpieczającą pokój i w 1945 roku w San →

Francisco podpisano Kartę Narodów Zjednoczonych”, opowiada chorąży.

Wyjaśnia licealistom, że zgodnie z tym dokumentem, jeśli gdzieś na świecie trwa konflikt, na prośbę zaangażowanych w niego stron ONZ może wysłać obserwatorów lub siły zbrojne swoich państw członkowskich. „Już w 1948 roku korpus obserwatorów wojskowych pojechał nadzorować rejon Bliskiego Wschodu, a Polacy w pierwszej misji pokojowej uczestniczyli pięć lat później, w Korei”.

Nasi żołnierze, obok Czechów, Szwajcarów i Szwedów, byli członkami Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych, pilnującej warunków zawieszenia broni pomiędzy północą a południem tego kraju. „Nie miałem pojęcia, że nasi żołnierze wyjeżdżają za granicę już od 60 lat i byli na ponad 100 misjach”, przyznał po spotkaniu Tomek, licealista z Długołęki.

MINY I ROBAKI

Chorąży Korus opowiada także o najdłuższej w historii polskich sił zbrojnych, trwającej 35 lat, misji na wzgórzach Golan w Syrii oraz o tym, jak nasi żołnierze rozszerzali swój udział w zagranicznych operacjach. „Najpierw odpowiadaliśmy za logistykę, czyli obsługę medyczną, transport i budowę umocnień, potem zaczęto powierzać nam rozdzielanie walczących stron, patrolowanie terenu i jego rozminowanie, a w Iraku Polacy dowodzili już całą dywizją”.

Uczniowie usłyszeli również, jak w latach dziewięćdziesiątych na misji w kambodżańskiej dżungli członkowie Czerwonych Khmerów strzelali do naszych żołnierzy. „Tam każdy miał broń – jak nie pistolet czy karabin maszynowy, to chociaż granatnik przeciwpancerny”. Dowiedzieli się też o skutkach wybuchu min przeciwpiechotnych w Jugosławii. „Największe cierpienia w każdej wojnie ponoszą starcy, kobiety i dzieci”, podkreśla chorąży. „Nie ma wojen dobrych i sprawiedliwych. Każda to wielkie zło, bo każda niesie zniszczenie, ból i śmierć”.

Swoją opowieść podoficer przeplata ciekawostkami. Choćby o tym, jak polscy żołnierze z misji w afrykańskiej Namibii wrócili do innego kraju. „Wyjechali w 1989 roku z PRL-u, a po roku przylecieli do Rzeczypospolitej Polskiej”. Wspomina również o noszonych przez żołnierzy ONZ błękitnych beretach i hełmach, a w wypadku Hindusów – przepisowych błękitnych turbanach. „Najfajniejsza była jednak opowieść o wielkich robakach znajdujących w bieliźnie i papierze toaletowym w Kambodży oraz identyfikacji Afgańczyków dzięki specjalnym, skanującym oko aparatom, które przesyłają dane do bazy i od razu wiadomo, kto jest podejrzanym”, entuzjasmowali się uczniowie.

Ich zdaniem świetnym pomysłem był też towarzyszący prelekcji pokaz slajdów. „Można było zobaczyć zdjęcia wnętrza polskich ufortyfikowanych baz, wozów bojowych czy wojskowych patroli”, wylicza Jacek.

GWIAZDKI ZA RANY

Na spotkanie z młodzieżą podoficer przywiózł również własną wystawę misyjnych pamiątek. Na stołach rozłożył flagi ONZ, NATO i Unii Europejskiej, hełmy, berety, plakietki, naszywki, wysyłane z misji kartki pocztowe, a nawet swój mundur z misji w Egipcie.

Znalazły się tam też dyplom i medal Pokojowej Nagrody Nobla. „W 1988 roku komitet noblowski wyróżnił tym odznaczeniem Siły Pokojowe ONZ, żeby podkreślić uznanie dla ich wy-



DAMIAN PIÓRKO

ANDRZEJ KORUS: ABY PRZYKUĆ UWAGĘ NASTOLATKÓW PRZEZ PONAD GODZINĘ, TRZEBA SAMEMU COŚ PRZEŻYĆ I UMIEĆ O TYM OPOWIEDZIEĆ

siłków i działań w łagodzeniu napięć i rozwiązywaniu konfliktów”, tłumaczy podoficer uczniom. Imienną część tej nagrody dostaje każdy żołnierz, który służył na misji pod błękitną flagą. „Ja mam medal z numerem 636”.

Korus nie zapomniał także o ustawie dotyczącej weteranów, która nadała naszym misjonarzom przywileje i uprawnienia. „Otwarto dla poszkodowanych weteranów dom w Łądku-Zdroju, gdzie mogą poddać się rehabilitacji, i nowy ośrodek leczniczy w Ciechocinku”, wylicza. „Przywrócono przyznawaną niegdyś odznakę „Za Rany i Kontuzje”. Powstało także Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju, które pomaga weteranom – inwalidom i ich rodzinom”.

Zaznacza przy tym, że nie wszyscy patrzą na naszych misjonarzy z uznaniem. W internecie pojawiają się obraźliwe wpisy, szkalujące dobre imię żołnierzy służących w kontyngentach zagranicznych. Jak podkreśla chorąży Korus, pierwszy na te komentarze zareagował starszy sierżant Jacek Żebryk, uczestnik misji w Iraku i Afganistanie, i złożył na piszących je internautów zawiadomienie do prokuratury. „Żołnierz nie decyduje, gdzie jedzie, wykonuje tylko rozkaz. Jak można go za to winić i nazywać zabójcą?”, denerwuje się Karolina. Tym mocniej biła brawo uczestniczącemu w spotkaniu sierżantowi Żebrykowi.

Andrzej Korus podkreśla też, że żołnierze nie jadą na misje, aby zobaczyć szeroki świat, bo od tego są biura podróży, ani nie dla pieniędzy, bo żołd nie jest aż tak wysoki. „Służą, abyście mogli spokojnie iść do kina, nie bać się zamachów bombowych ani strzelaniny na ulicach”, dodaje i pokazuje zdjęcia wnętrza pogiętego na skutek wybuchu wozu opancerzonego oraz zakrwawionego rannego polskiego żołnierza. Na sali pełnej licealistów zapanowała wtedy kompletna cisza. „Chłopak na szczęście przeżył”, uspokaja podoficer.

NIKT NIE ZOSTAJE

Nie wszystkim się jednak udaje. 10 sierpnia 2009 roku polsko-afgański oddział patrolujący okręg Adżrestan wpadł w Usman Khel w zasadzkę talibów. Zginął dowódca oddziału kapitan Daniel Ambroziński z 1 Batalionu 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. „Jego żołnierze dwa dni walczyli z narażeniem życia, aby odbić ciało swego dowódcy. Znaleźli je i zabrali do kraju”, opowiada Andrzej Korus. I tłumaczy, że dlatego wśród naszych wojskowych powstała inicjatywa „Nikt nie zostaje”. „Dzięki niej każdy wyjeżdżający na misje Polak wie, że jego dowódca, koledzy i podwładni zrobią wszystko, aby nawet po śmierci wrócił do kraju i tutaj został pochowany”.

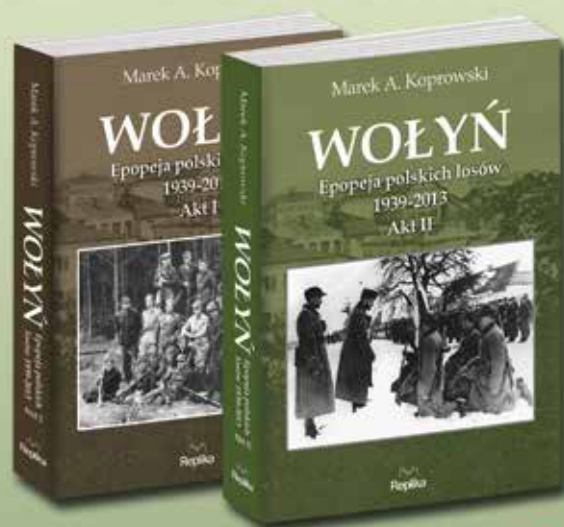
Po zapaleniu świateł niektórym nastolatkom nie udaje się ukryć łez. Marta przyznaje, że największe wrażenie zrobiło na niej zdjęcie rannego żołnierza, całego we krwi. „Niesamowite, jak chorążemu udało się dotrzeć do młodzieży i wzbudzić emocje”, uważa uczestnicząca w spotkaniu pani Aneta, żona rannego w Afganistanie majora Leszka Stępnia, sekretarza generalnego Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Przed prelekcją Andrzej Korus wspominał, że bywał na spotkaniach, na których młodzież w ogóle nie interesowała się tematem wykładu. Dziewczyny piłowały paznokcie, chłopcy skupiali się na grach w komórkach i cieszyli, że ominęła ich matematyka. W Długołęce było jednak inaczej. „Na sali przez cały czas panowała cisza jak makiem zasiał, rzadko zdarza się tak skupić uwagę młodych ludzi”, uważa sierżant Żebryk. Tego samego zdania jest Grażyna Pilarska, dyrektorka szkoły. „Aby zainteresować nastolatków przez ponad godzinę, trzeba sameму coś przeżyć i umieć o tym opowiedzieć”.

Chorążego cieszyły jednak przede wszystkim pochwały młodzieży i to, że udało mu się zachęcić niektórych do udziału w Dniu Weterana we Wrocławiu. „Będzie można pogadać z naszymi misjonarzami, obejrzeć sprzęt wojskowy, jaki mamy w Afganistanie, i zobaczyć zrekonstruowany posterunek kontrolny – na pewno pójdę i jeszcze zabiorę brata”, zapewnia Tomek. ■

Więcej o kampanii „Szacunek i wsparcie” oraz weteranach w załączonym do numeru „Kurierze Weterana”

70. rocznica masowych zbrodni nacjonalistów ukraińskich na Wołyniu



W PRZYGOTOWANIU WOŁYŃ AKT III

Drugi tom wstrząsających relacji
Polaków, którzy doświadczyli na
Wołyniu gehenny trzech wrogów:
Sowieców, Niemców i bezlitosnych
ukraińskich nacjonalistów.



Wydawnictwo REPLIKA, tel. 61 868 25 37

adres e-mail: handlowy@replika.eu

www.replika.eu

OSTATNI DZWIĘK GWIZDKA

Dla komandora podporucznika **Arkadiusza Kurdybelskiego** niszczyciel min ORP „Mewa” to okręt wyjątkowy. Na jego pokładzie przeszedł wszystkie szczeble kariery i wstępował do NATO.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

MARIAN KLUCZYŃSKI

Październik 2010 roku. Niszczyciel min ORP „Mewa” właśnie opuścił port w irlandzkim Corku i ruszył na pełne morze. Pogoda pogarszała się z każdą godziną, aż wreszcie nadszedł sztorm. Wokół panowały kompletne ciemności. Niewielki okręt mozolnie wspinał się na fale, by po chwili spadać w dół niczym kamień. Nagle wyraźnie zwolnił, jakby jakaś niewidzialna siła za wszelką cenę próbowała go przytrzymać w miejscu. Wśród załogi zaczął się gorączkowy ruch. „Czy ktoś zmieniał nastawy na śrubach?”, padło pytanie. „Nie, nastawy takie same”, odpowiedział jeden z marynarzy. „Uwaga! Awaria steru”, ktoś krzyknął. „I silniki! Jeden w ogóle nie kręci”. Spojrzenia powędrowały ku bosmanowi. Ten jednak pokręcił głową. W takich warunkach nie ma mowy o rzuceniu kotwicy. Nikt nie wyjdzie na pokład, bo mógłby nie wrócić.

„Wtedy poczułem, jak na brodzie siwieją mi włosy”, wspomina komandor podporucznik Arkadiusz Kurdybelski, wówczas dowódca ORP „Mewa”.

Takich niezwykłych epizodów w swojej marynarskiej karierze miał kilka, ale o tym później. Na razie ma kilkanaście lat i mieszka w Toruniu. Od morza dzieli go sto kilkadziesiąt kilometrów. „W pewnym sensie jednak odległość ta wynosiła zaledwie kilka kroków”, przyznaje dziś. Jego dom stoi bowiem nieopodal bulwaru Filadelfijskiego, gdzie przed wojną mieściła się Szkoła Podchorążych Marynarski Wojennej. „Dziś to już historia, ale po uczelni pozostała pamiątkowa tablica oraz ko-

twica, które mijałem każdego dnia”, wspomina komandor podporucznik Kurdybelski. Już wówczas w jego głowie powoli dojrzewała myśl, by zostać marynarzem. „Zresztą wojskowe geny gdzieś tam w naszej rodzinie krążyły. Mój dziadek dosłużył się w armii stopnia majora, kuzyn ukończył «Szkołę Orłąt» w Dęblinie i został pilotem”, opowiada komandor. „A ja w pewnym momencie życia pomyślałem sobie, że pilot, kiedy wzbija się w powietrze, zyskuje absolutną wolność – jest niemal całkowicie zdany na siebie i własne umiejętności. Tyle że w jego wypadku wolność trwa dwie godziny, a marynarz może się nią zachwycać choćby i przez dziesięć dni”.

Dlatego skończył studia w gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej, po której dostał pierwszy służbowy przydział. Trafił „za płot”, czyli na Półwysep Helski, do dywizjonu trałowców. I to od razu na najbardziej znany z tamtejszych okrętów – ORP „Mewa”.

PAPIEŻ NA POKŁADZIE

ORP „Mewa” to jedyny okręt Marynarki Wojennej, na którym gościł papież. Było to w 1987 roku. Jan Paweł II na pokładzie „Mewy” przepląnął najpierw z Gdyni na sopockie moło, a następnie z Sopotu na Westerplatte. O tych rejsach przez lata krążyły różne opowieści. Według jednej z nich okręt z okazji papieskiej wizyty miał zostać przemalowany na białe.

„To oczywiście legendy. Starsi marynarze wspominali jednak, że zanim papież wszedł na pokład, «Mewa» została po-

**NIEDAWNO
KOMANDOR
PODPORUCZNIK
KURDYBELSKI
ZSZEDŁ
Z POKŁADU.
ZOSTAŁ SZEFEM
SZTABU
13 DYWIZJONU
TRAŁOWCÓW**

zbawiona wszelkiego uzbrojenia”, tłumaczy komandor podporucznik Kurdybelski. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa byli tak gorliwi, że nakazali zdemontować nawet pojemniki ze sprężonym powietrzem. Ich zapędy ostudził ówczesny dowódca okrętu, który powiedział: „Zgoda. Ale z portu nie wyjdziemy, bo sprężone powietrze pomaga w rozruchu silnika”.

Ćwierć wieku później, w rocznicę rejsów z papieżem, na pokład „Mewy” znów wszedł watykański dostojnik – kardynał Tarcisio Bertone. Kurdybelski powitał go już jako dowódcę „Mewy”. Na tym okręcie przeszedł wszystkie szczeble kariery: był dowódcą działu, potem zastępcą dowódcy okrętu, wreszcie w 2008 roku został dowódcą jednostki. I miał to szczęście, że jego służba przypadła na przełomowe momenty nie tylko w historii ORP „Mewa”, lecz także całej Marynarki Wojennej.

IRLANDZKA SIEĆ

W 2000 roku „Mewa” jako pierwszy polski okręt zaczęła działać w natowskim zespole sił obrony przeciwminowej.

„W pakcie północnoatlantyckim Polska była zaledwie od roku”, wspomina komandor podporucznik Kurdybelski. „Tymczasem my z marszu mieliśmy zacząć współpracę z zespołem wysokiej gotowości. Zostaliśmy rzuceni na głęboką wodę. Ale chyba poradziliśmy sobie całkiem nieźle”.

W 2002 roku „Mewa” stała się pełnoprawnym członkiem zespołu. Przez rok jej załoga przechodziła intensywne szkolenie morskie. Brała też udział w operacji „Open Spirit”, która polegała na czyszczeniu wód łotewskich z min, torped i bomb z II wojny światowej.

„To był trudny, ale bardzo ciekawy czas. W pewnym sensie przecieraliśmy szlaki”.

Podobnie jak kilka lat później po wyjściu z portu Cork. „Wówczas na jednym silniku udało się dopłynąć z powrotem do Irlandii”, wspomina komandor. Rano w porcie nurkowie zeszli pod powierzchnię, żeby obejrzeć śrubę. „Okazało się, że zahaczyliśmy o rybacką sieć. Trzeba było ją przeciąć. Pomogły solidne noże, które jeszcze przed rejsem kupiliśmy w markecie. Z myślą o kucharzach”, uśmiecha się Kurdybelski.


POŻEGNANIE Z OKRĘTEM

Niedawno komandor podporucznik Kurdybelski zszedł z pokładu. Został szefem sztabu 13 Dywizjonu Trałowców. O komandorze podporuczniku Kurdybelskim jego szefowie wypowiadają się w samych superlatywach.

„Zaczęliśmy współpracować, kiedy obejmowałem dowodzenie dywizjonem. Komandor Kurdybelski był już dowódcą okrętu ORP «Mewa»”, wspomina komandor porucznik Krzysztof Rybak, dowódca 13 Dywizjonu Trałowców. „To młody, ale już niezwykle doświadczony i kompetentny oficer. Przemawia za nim doświadczenie zdobyte nie tylko na morzu, lecz także na licznych kursach. Będzie świetnym szefem sztabu”.

Rozmawiamy w siedzibie jednostki. W pewnym momencie Kurdybelski rzuca: „A może obejrzymy okręt? Właśnie wrócił z morza”.


Idziemy więc na nabrzeże. Kiedy wchodzimy na pokład, krzątający się po nim marynarze stają na baczność. Rozlega się dźwięk gwizdka. Potem oglądam pokład: kabina dowódcy, główne stanowisko dowodzenia, maszynownia, pomieszczenie na trały, czyli liny do czyszczenia akwenu z min. Mija kwadrans, pół godziny. „Nie żał panu opuszczać okrętu?”, pytam. „Pewnie, że żał. Ale czas wpuścić tu trochę świeżej krwi”. ■



Pierwsza monografia poświęcona historii garnizonu poznańskiego w II Rzeczypospolitej. Informacje prasowe z epoki, materiał fotograficzny i zachowane pamiątki są podstawą barwnej opowieści, uzupełnionej publikowanym po raz pierwszy kalendarium garnizonu w okresie 1921–1939.

PATRONAT HONOROWY: POZnań, PATRONAT STRATEGICZNY: UAM, PATRON MEDAL: OŚWIĘCENIE, StudiaKort, MILITARIA, epoznan.pl, PARTNERZY PROJEKTU / PATRONI INSTYTUCJONALNI: NAC, BU, W, ZEM, etc.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl



Furtka do specjalizacji

Od 28 marca 2013 roku, dzięki nowemu rozporządzeniu ministra obrony, lekarzom w mundurach łatwiej będzie robić specjalizację.

WŁODZIMIERZ KAŁETA

Otwarcie w pierwszych dniach kwietnia Centrum Kształcenia Podyplomowego w Wojskowym Instytucie Medycznym wpisuje się w ciąg działań armii mających na celu ułatwienie lekarzom w mundurach robienia specjalizacji. Będą mogli ją robić w resortowej placówce bez obaw, że stracą akredytację z powodu nieregularnego udziału w zajęciach.

OGRANICZENIA

Ustawa o zawodzie lekarza i lekarza dentystry (znowelizowana w 2011 roku) traktowała wszystkich medyków w taki sam sposób, bez względu na specyfikę ich pracy i wykonywane zadania. Wojskowi lekarze robiący specjalizację w cywilnych ośrodkach często, ze względu na wymogi służby, nie mogli na przykład systematycznie uczestniczyć w zajęciach. Wyjazd na misję, poligon czy nawet strzelnicę nie mógł być usprawiedliwieniem nieobecności.

Cywilny medyk na specjalizację może przeznaczyć dziennie 7 godzin 35 minut przez pięć dni w tygodniu (w sumie niemal 38 godzin tygodniowo), lekarz wojskowy takiego komfortu nie miał. W praktyce specjalizację robił najczęściej wtedy, kiedy pozwalały mu na to obowiązki albo w czasie pozasłużbowym.

Postanowiono zatem zmienić krytykowane przez lekarzy w mundurach dotychczasowe zasady robienia specjalizacji. Oficerowie z Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia mają nadzieję, że nowe rozwiązania pozwolą między innymi zatrzymać w jednostkach lekarzy, którzy z powodów finansowych oraz ze względu na trudności z doskonaleniem się w swoim fachu nosili się z zamiarem odejścia do cywila. Armii brakuje le-

karzy, w jednostkach jest niemal 50 procent wakatów na stanowiskach medyków.

ATUTY ZMIAN

Nowe przepisy szczegółowo określają między innymi czas kształcenia oraz zasady udziału w zajęciach specjalizacyjnych. Otóż specjalizacja może być prowadzona w placówkach utworzonych przez ministra obrony narodowej lub przez niego nadzorowanych, takich jak Wojskowy Instytut Medyczny, Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej, Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii oraz wojskowe szpitale i placówki utworzone przez MON. Nadzór nad trybem i sposobem uzyskiwania tytułu specjalisty sprawuje teraz Inspektorat Wojskowej Służby Zdrowia. Rozporządzenie przewiduje też możliwość zlecenia przez szefa IWSZ części zadań związanych ze szkoleniem i obsługą specjalizacji lekarzy podmiotowi wybranemu w trybie przepisów o zamówieniach publicznych.

„Największym atutem nowych przepisów jest zerwanie z absurdem polegającym na tym, że cywilny lekarz może na specjalizację przeznaczyć cały czas pracy w szpitalu, podczas gdy wojskowy takiego luksusu nie ma. Gdy służy w jednostce, powinien mieć prawo, a nawet obowiązek systematycznych pobytów w placówce medycznej”, przyznaje pułkownik doktor nauk medycznych Stefan Antosiewicz, komendant Centrum Kształcenia Podyplomowego WIM.

W przyjętych rozwiązaniach lekarz wojskowy może więc odbywać specjalizację w dłuższym czasie niż jego cywilny kolega, ale pod warunkiem, że zrealizuje cały program. To znaczne ułatwienie, bo dotychczas, gdy opuścił jakieś zaję-

cia, nie mógł ich już powtórzyć. Zdarzało się, że z powodu częstszych i dłuższych nieobecności, wynikających z obowiązków w jednostce, lekarze robiący specjalizacje byli skreślani z listy.

Rozporządzenie ministra obrony narodowej wprowadza również możliwość zwalniania żołnierza lekarza uczestniczącego w szkoleniu specjalizacyjnym od zajęć służbowych w jednostce wojskowej. Do tej pory niektórzy dowódcy jednostek nie dawali dni wolnych na kształcenie. Usprawiedliwiali się (zgodnie zresztą z prawdą) brakiem do tego klarownej podstawy prawnej.

Zgodnie z zapisami nowego rozporządzenia ministra obrony żołnierzowi zawodowemu odbywającemu specjalizację przysługuje zwolnienie od zajęć służbowych na czas jej odbywania w wymiarze 24 godzin tygodniowo, ale nie dłużej niż 14 dni roboczych w miesiącu.

„Według nowych przepisów specjalizacja stanie się obowiązkiem służbowym lekarza”, uważa pułkownik Antosiewicz. „Dni wolne na kształcenie, które da oficerom lekarzom minister, będą jednocześnie dla nich zobowiązaniem do ukończenia specjalizacji i wykorzystania swoich umiejętności w jednostce”.

LEKARZE W AFGANISTANIE

Przepisy zmieniają się także na korzyść medyków wyjeżdżających na misję. Często lekarz służący w Polskim Kontyngencie Wojskowym poza granicami kraju przeprowadza więcej zabiegów ratujących zdrowie i życie niż jego cywilny kolega w jednostce w kraju, a do tej pory nie było można czynności medycznych wykonanych na misjach zaliczyć oficerowi do programu specjalizacji. Półroczna przerwa w jej robieniu (a tyle trwa służba w kontyngencie) powodowała zaś automatyczne skreślenie z listy akredytacyjnej.

Teraz to się zmieni, oczywiście gdy wykonane zabiegi lub operacje będą zgodne z programem specjalizacji oraz odpowiednio udokumentowane i potwierdzone przez przełożonych. Trzeba po powrocie do kraju i uzyskaniu pozytywnej opinii od właściwego krajowego konsultanta do spraw obronności lub konsultanta wojskowej służby zdrowia zwrócić się o to do ministra zdrowia.

„Fakt, że Ministerstwo Zdrowia ma czuwać również nad specjalizacjami lekarzy w mundurach, wyklucza ewentualny zarzut o izolacjonizm wojska w tych sprawach”, uważa pułkownik Antosiewicz. „Wszyscy lekarze działają w jednym

W CENTRUM KSZTAŁCENIA PODYPLOMOWEGO MOŻE JEDNOCZEŚNIE SPECJALIZOWAĆ SIĘ **650 LEKARZY** W 43 DZIEDZINACH MEDYCYNY

systemie, tyle że ci wojskowi mają w jego ramach pewną autonomię związaną ze specyfiką służby”.

REZYDENTURA WOJSKOWA

W nowych przepisach wprowadzono również inne zmiany dotyczące szkolenia specjalizacyjnego. Wcześniej resort obrony mógł określać jedynie tryb uzyskiwania specjalizacji, teraz będzie mógł się odnieść także do sposobu jej wykonania, na przykład w kwestii przyznania żołnierzowi trzech dni wolnych w tygodniu z przeznaczeniem na naukę.

Delegacja ustawowa otwiera też furtkę do wprowadzenia, wzorem cywilnej służby zdrowia, tak zwanej rezydentury wojskowej. Cywilny rezydent odbywa specjalizację w trybie stacjonarnym w szpitalu. Oficer lekarz nie może skorzystać z takiej możliwości, bo trudno go oddelegować z jednostki na kształcenie w ośrodku specjalizacyjnym na przykład na dwa lata, ale może pojawi się podobna możliwość. Odpowiednikiem rezydentury w wojsku mogłaby być bowiem instytucja „rezerwy kadrowej”. Specjalizujący się lekarze byliby do niej przenoszani z jednostki na czas kształcenia (w całości lub jego części).



→ W założeniach do nowelizacji ustawy pragmatycznej przewidziano wprowadzenie przepisu, który ma zmienić dotychczasowe zasady przebywania żołnierza w rezerwie kadrowej. Obecnie może być do niej oddelegowany najwyżej na dwa lata lub na czas studiów zagranicznych. W noweli tego przepisu skreślono słowo „zagranicznych”, dzięki czemu mógłby on też objąć żołnierzy studiujących w kraju (specjalizacja ma rangę studiów podyplomowych, więc lekarze byłiby żołnierzami oddelegowanymi na czas studiów poza jednostkę).

O powszechnym wprowadzeniu takiego rozwiązania jednocześnie dla wszystkich specjalizujących się lekarzy wojskowych nie ma jednak co myśleć. Nie zaakceptowałyby tego z pewnością zarówno decydenci odpowiadający za gotowość bojową sił zbrojnych, jak i dowódcy jednostek, którzy musieliby miesiącami obywać się bez lekarzy. Można by jednak przyjąć, że „rezydentura wojskowa” dotyczyłaby tych, którzy najlepiej zdali lekarski egzamin państwowy. ■

ŹRÓDŁA PRAWA

- ustawa z 28 kwietnia 2011 roku o zmianie ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentyisty (DzU 20111 nr 113, poz. 658);
- rozporządzenie ministra obrony narodowej z 28 marca 2013 roku dotyczące trybu i sposobu odbywania szkolenia specjalizacyjnego przez lekarza będącego żołnierzem zawodowym w czynnej służbie wojskowej oraz pełniącego służbę lub zatrudnionego w podmiocie leczniczym, utworzonym przez MON (DzU z 27 marca 2013 roku, poz. 401).

WETERANI

Bez abonamentu

Niektórzy weterani mogą liczyć na zwolnienie z opłat abonamentowych za radio i telewizję.

Prawo do ulgi mają ci, którzy otrzymują rentę z powodu urazów lub chorób nabytych na misjach. Aby skorzystać z nowego uprawnienia, weteran musi wypełnić na poczcie specjalny formularz (można go ściągnąć ze strony www.krrit.gov.pl) i przedstawić legitymację weterana poszkodowanego. Niezbędne też jest zaświadczenie o pobieraniu renty inwalidzkiej. Weteran nie będzie musiał płacić za abonament od następnego miesiąca po złożeniu dokumentów na poczcie. Dzięki nowym przepisom rocznie zaoszczędzi niemal 250 złotych.

Z płatności abonamentu radiowo-telewizyjnego weteranów zwolniła ustawa z 2011 roku. Przepis jednak nie wszedł w życie, ponieważ Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie przygotowała stosownego rozporządzenia. W końcu przyjęła odpowiednie przepisy. PZ ■

FINANSE

Wolne od podatku

Od 11 kwietnia obowiązują przepisy, zgodnie z którymi świadczenia mieszkaniowe wypłacane żołnierzom są wolne od podatku.

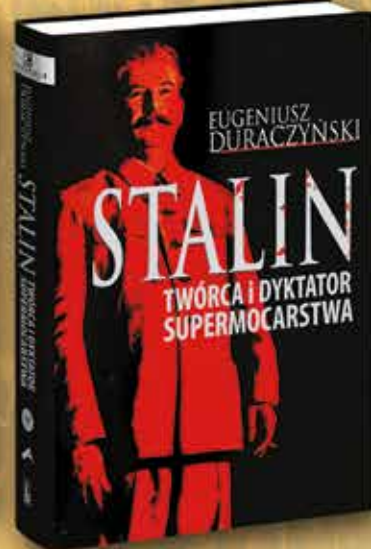
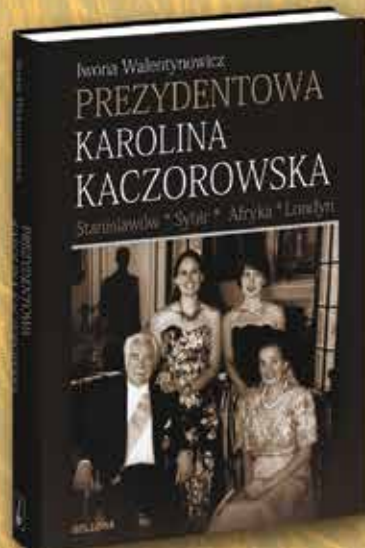
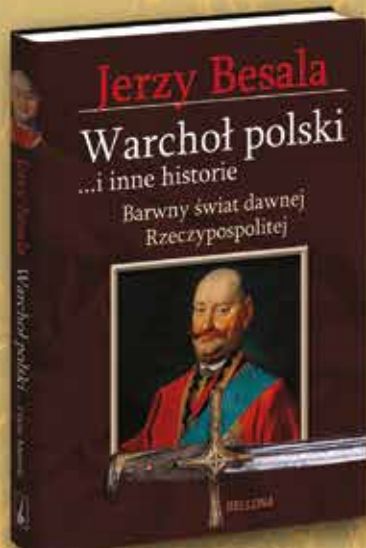
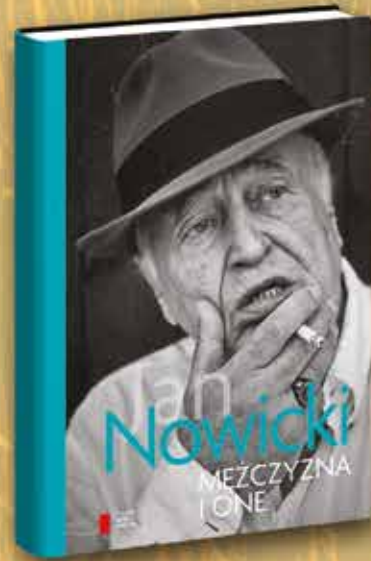
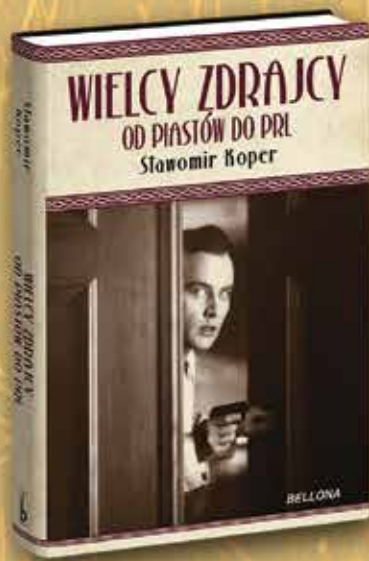
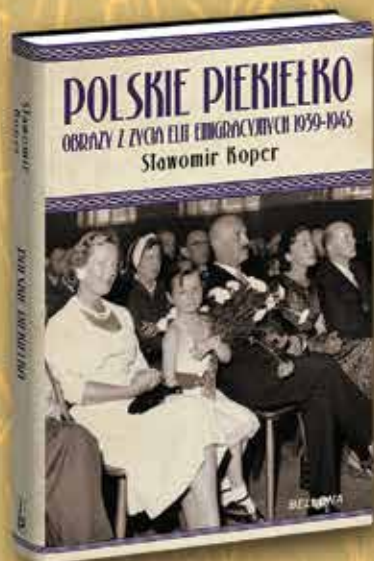
Rozporządzenie ministra finansów z 18 marca 2013 roku oznacza, że około 50 tysięcy żołnierzy nie musi rozliczać się z urzędem skarbowym tytułu otrzymanych od wojska w latach 2012–2013 świadczeń mieszkaniowych. Na takie rozwiązanie czekali oni od lipca 2010 roku, kiedy ustawa o zakwaterowaniu wprowadziła świadczenia mieszkaniowe. Do końca 2011 roku z Wojskowej Agencji Mieszkaniowej świadczeniobiorcy otrzymywali jednak należność pomniejszoną o podatek.

Mimo zapowiedzi rządu sprzed trzech lat mówiącej o tym, że wszystkie należności mieszkaniowe będą – poprzez nowelizację przepisów podatkowych – zwolnione z opodatkowania, wciąż brakowało odpowiednich przepisów.

Resort obrony zwrócił się z tą sprawą do Ministerstwa Finansów. Efektem międzyresortowych uzgodnień jest rozporządzenie, które obowiązuje od 11 kwietnia.

Średnioroczna kwota zwolnienia to około 1400 złotych. PZ ■

NOWOŚCI BELLONA



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy związane z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Zwolnienie ze służby?

Jestem kierowcą z prawem jazdy kategorii C+E. Zostałem skierowany na wojskowy kurs prawa jazdy, niezbędny do zajmowania wymienionego stanowiska. W tym czasie zmieniono mi etat, na którym wymagane jest jedynie prawo jazdy kategorii B. Pomimo podejmowanych prób mam trudności z zaliczeniem egzaminu państwowego. W ocenie moich przełożonych jestem żołnierzem wyróżniającym się i nigdy nie było ze mną problemu. Czy w obecnej sytuacji dowódca może mnie zwolnić ze służby wojskowej? Mój kontrakt kończy się za trzy lata.

→ **Nie ma podstawy prawnej do zwolnienia z zawodowej służby wojskowej.** Organ kadrowy

zajmuje w sprawie dość osobliwe stanowisko. Najpierw ponosi koszty na szkolenie związane z podniesieniem kategorii prawa jazdy żołnierza, a potem wyznacza go na stanowisko służbowe, na którym jest wymagana niższa kategoria tego dokumentu. W mojej opinii organ kadrowy przed wydaniem rozkazu personalnego powinien dokonać analizy, czy dany żołnierz ma odpowiednią kategorię prawa jazdy, sprawdzić, czy nie ma wakatów na stanowiskach kierowców z kategorią C+E lub/i dokonać zamiany żołnierzy na stanowiskach. Dopiero w przypadku, gdy nie ma takich możliwości, powinien skierować danego żołnierza na kurs prawa jazdy.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kurs kwalifikacyjny

Wprowadzenie zasady bezwzględnego ukończenia kursu kwalifikacyjnego na stopień przed wyznaczeniem na stanowisko o wyższym stopniu etatowym wielu doświadczonym żołnierzom zamknęło drogę awansu. Domyślam się, że prawodawcy chodziło o to, aby wyznaczane były osoby odpowiednio przygotowane. W praktyce jednak żołnierz zajmujący się konkretną dziedziną od wielu nawet lat nie może zostać wyznaczony na stanowisko odpowiadające jego doświadczeniu, natomiast ten, który wcześniej nie miał styczności z daną materią, kończy kurs kwalifikacyjny i je obejmuje. Czy coś się zmieni w tej kwestii? Czy w przypadku, gdy jednostka dysponuje wakatami, żołnierza, którego stanowisko jest likwidowane, można wyznaczyć na wyższe, o stopniu etatowym bezpośrednio wyższym od zajmowanego, zgodne z kwalifikacjami? Czy też organ personalny jest zmuszony wyznaczyć żołnierza na równorzędne stanowisko o innych kwalifikacjach, ponieważ nie został on skierowany na kurs?

→ **Droga awansu nie została zamknięta.** Należy jednak podkreślić, że na awans składa się wiele czynników, począwszy od decyzji samego żołnierza i jego przełożonych, jak również oceny z opinii służbowej, i tym podobne. Moim zdaniem, ustawodawca jasno określił zasady podnoszenia kwalifikacji, a co się z tym wiąże – drogę dalszego rozwoju żołnierza. Zasady oraz warunki określa rozporządzenie ministra obrony narodowej, zgodnie z którym warunkiem wyznaczenia na stanowisko plutonowego (bosmana mata), młodszego chorążego (młodszego chorążego marynarki) i starszego chorążego sztabowego (starszego chorążego sztabowego marynarki) jest odbycie kursu kwalifikacyjnego. W pozostałych przypadkach – kursu doskonalącego. Jeśli chodzi o odpowiedź na Pana pytanie, czy organ kadrowy może wyznaczyć żołnierza na wyższe stanowisko bez kursu kwalifikacyjnego, to jest ona twierdząca, ale z zastrzeżeniem uprzedniego zgłoszenia i zakwalifikowania na dany kurs.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: rozporządzenie ministra obrony narodowej z 15 grudnia 2009 roku w sprawie trybu wyznaczania żołnierzy zawodowych na stanowiska służbowe i zwalniania z tych stanowisk (DzU 2009.218.1699 ze zmianami) – vide §2 ust. 2.

Niewykorzystany czas wolny

Jestem żołnierzem zawodowym. W przepisach mowa jest o terminowym wykorzystywaniu dni wolnych za przepracowany, ponadnormatywny czas w okresie czteromiesięcznym, a w uzasadnionych przypadkach – o możliwości odebrania tych dni w ciągu kolejnych czterech miesięcy. Co jeśli po drugim okresie czteromiesięcznym żołnierz nie wykorzystał przysługującego mu czasu wolnego? Czy dni wolne do odebrania przepadają?

Jestem żołnierzem służącym w Siłach Powietrznych i mam do wykorzystania sporo dni wolnych od służby. Mój dowódca twierdzi, że „dni do odbioru” uległy już przedawnieniu. Czy jest jakiś przepis mówiący o tym, w jakim okresie można wykorzystać dni wolne?

→ **Żołnierzom zawodowym, którzy wykonywali swoje obowiązki w wymiarze przekraczającym w tygodniu „standardowy” czas służby, to jest 40 godzin tygodniowo (48 godzin tygodniowo w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym), przysługuje czas wolny w takim samym wymiarze.** Zgodnie z rozporządzeniem ministra obrony narodowej udzielenie czasu wolnego powinno nastąpić w najbliższym tygodniu, nie później jednak niż w ciągu czteromiesięcznego okresu rozliczeniowego, w sytuacji zaś, gdy żołnierz, z uzasadnionych względów służbowych lub osobistych, tego nie zrobił, udziela mu się czasu wolnego w następnym okresie rozliczeniowym, to jest w ciągu kolejnych czterech miesięcy.

Jednocześnie terminy wykorzystania czasu wolnego w zamian za wykonywanie zadań służbowych w przypadku między innymi „przekrocze-

nia” normatywnego czasu służby dowódca jednostki lub osoba upoważniona przez dowódcę określa w rozkazie lub decyzji, uwzględniając przy tym potrzeby służbowe lub uzasadnione potrzeby żołnierza. Wyraźnie zatem widać, iż wszelkie sprawy związane z ustaleniem zadań służbowych i czasu pełnienia służby oraz udzieleniem czasu wolnego czy określeniem terminu wykorzystania dni wolnych w związku z wykonywaniem zadań przekraczających obowiązujący czas służby pozostają w wyłącznej gestii przełożonego żołnierza.

Oznacza to, że sprawy te należą do spraw wewnętrznych pomiędzy żołnierzem a jego przełożonym, będących w określonej wojskowej strukturze organizacyjnej, wynikających z podległości służbowej.

Co do zasady zatem udzielenie dni wolnych leży w gestii dowódców jednostek, którzy zobowiązani są do tego najpóźniej w drugim czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. Jeżeli natomiast dowódca nie udziela dni wolnych we wskazanych w przepisach okresach, nie sposób stwierdzić, iż dni te ulegają „przedawnieniu”. Również niezastosowanie się przez żołnierza do polecenia służbowego (dotyczącego „odbioru” wyznaczonych dni wolnych) nie może skutkować tym, iż dni te „przepadają”, takie zachowanie żołnierza należy rozpatrywać ewentualnie na gruncie odpowiedzialności służbowej.

MAREK PASZKIEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
Katarzyna Przymęcka,
Jakub Piotr Przymięcki

PODSTAWA PRAWNA: rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU z 2008 roku nr 122, poz. 786, §8 ust. 2 i ust. 3, §10 ust. 1).

Skoki w aeroklubie

Jako żołnierz zawodowy jestem zobowiązany do wykonywania normy spadochronowej. W ramach podnoszenia kwalifikacji rozpocząłem cywilny kurs spadochronowy. Czy skoki wykonane w aeroklubie mogą dopisać do tych wykonanych w wojsku?

→ **Nie ma takiej możliwości.** Do dodatku za wykonywanie skoków spadochronowych zalicza się wyłącznie skoki odbyte w ramach wykonywania czynności służbowych (obowiązków) wynikających z opisu zajmowanego stanowiska służbo-

wego, a także skoki ze spadochronem wykonane w ramach szkolenia jednostek lub pododdziałów wojskowych objętych szkoleniem spadochronowym w okresie pełnienia czynnej służby wojskowej przed powołaniem do zawodowej służby wojskowej.

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: §15 ust. 1, ust. 2 oraz ust. 2a rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych z 8 czerwca 2004 roku (DzU nr 141, poz. 1497 z późniejszymi zmianami).

Urlop dla taty

Jestem żołnierzem zawodowym w służbie kontraktowej. Obecnie przebywam na urlopie wypoczynkowym. Niedawno urodziło mi się dziecko. Moja żona jest na urlopie macierzyńskim. Czy po powrocie do pracy będę mógł skorzystać z urlopu okolicznościowego, tacierzyńskiego, lub jakiegoś innego z tytułu urodzenia się dziecka?

→ **Zagadnienie szeroko pojętych urlopów (czasu wolnego od wykonywania obowiązków służbowych) związanych z urodzeniem się dziecka zostało uregulowane w kilku aktach normatywnych.**

W przypadku żołnierzy w pierwszej kolejności należy zwrócić uwagę na przepisy odnoszące się bezpośrednio do nich. Zgodnie z ustawą z 11 września 2003 roku żołnierz może otrzymać zwolnienie od zajęć służbowych w razie konieczności sprawowania osobistej opieki nad najbliższym członkiem rodziny, nieprzekraczające jednak łącznie 50 dni roboczych w roku kalendarzowym. Ponadto w szczególnie uzasadnionych przypadkach żołnierzowi, który wykorzystał takie zwolnienie, ale opiekę tę musi nadal osobiście sprawować, może być udzielony urlop okolicznościowy w wymiarze do dziesięciu miesięcy. Przywołane przepisy znajdują zatem zastosowanie, gdy zachodzi konieczność sprawowania osobistej opieki nad najbliższym członkiem rodziny, to jest małżonkiem, dzieckiem lub rodzicami.

Należy też zwrócić uwagę na rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych. Zgodnie z jego zapisami żołnierzowi udziela się urlopu okolicznościowego (w wymiarze od trzech do pięciu dni roboczych) w razie urodzenia się dziecka. Niemniej jednak należy sądzić, że w Pana przypadku przepis ten nie będzie miał zastosowania, wzięwszy pod uwagę fakt, iż Pańskie dziecko urodziło się już jakiś czas temu.

Należy też zwrócić uwagę na artykuł 65 ustępowy 1 oraz artykuł 65a ustępowy 1 ustawy pragmatycznej, zgodnie z którymi żołnierz ma prawo do urlopu wychowawczego oraz urlopu macierzyńskiego na zasadach określonych w „Kodeksie pracy”. To drugie uprawnienie wymaga szerszego komenta-

rza. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na artykuł 180 paragraf 5, w myśl którego „pracownica, po wykorzystaniu po porodzie co najmniej 14 tygodni urlopu macierzyńskiego, ma prawo zrezygnować z pozostałej części tego urlopu; w takim przypadku niewykorzystanej części urlopu macierzyńskiego udziela się pracownikowi – ojcu wychowującemu dziecko, na jego pisemny wniosek”. Żołnierz (ojciec) może zatem skorzystać z uprawnienia w postaci urlopu macierzyńskiego (o którym mowa w „Kodeksie pracy”) jedynie w przypadku rezygnacji z wykorzystania jego części przez matkę dziecka.

Odnosząc się bezpośrednio do sformułowanego zapytania, należy w tym miejscu zwrócić uwagę na tak zwany urlop ojcowski (czy, jak to nazwał autor zapytania, „tacierzyński”). Uprawnienie do tego rodzaju urlopu zostało wprowadzone w „Kodeksie pracy” od 1 stycznia 2010 roku. Od tego czasu pracownik ojciec wychowujący dziecko ma prawo do dwóch tygodni urlopu ojcowskiego. Niemniej przepisy dotyczące urlopu ojcowskiego w obecnie obowiązującym stanie prawnym nie znajdują zastosowania do żołnierzy. Trwają jednak prace nowelizacyjne nad ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, a jednym z założeń projektu ustawy jest wprowadzenie urlopu ojcowskiego dla żołnierzy zawodowych w wymiarze i na zasadach określonych w „Kodeksie pracy”.

MAREK PASZKIEWICZ

Kancelaria Radców Prawnych SC

Katarzyna Przyめcka,

Jakub Piotr Przyめcki

PODSTAWA PRAWNA: ustawa z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy” (DzU z 1998 roku nr 21, poz. 94 z późniejszymi zmianami), art. 180 §5, art. 1823; ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2010 roku nr 90, poz. 593 z późniejszymi zmianami), art. 62 ust. 11 i ust. 12, art. 65 ust. 1 oraz art. 65a ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 30 grudnia 2009 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych (DzU z 2010 roku nr 2, poz. 9 z późniejszymi zmianami) §12 ust. 1 pkt 1.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

Wysokość alimentów

Jestem chorążym w służbie od 19 lat. W listopadzie 2012 roku na rozprawie rozwodowej ustalono wysokość alimentów, które mam płacić na dwoje dzieci w wieku 7 i 10 lat, na 1500 złotych. Na rozprawie sędzia oraz adwokat mojej byłej małżonki bardzo mocno podkreślali, że mundurówka jest składową moich dochodów. W efekcie dodano ją do mojego dochodu i na tej podstawie ustalono wysokość alimentów. Nie uchylam się od płacenia, ale chciałbym się upewnić, czy faktycznie należność mundurowa jest wliczana do dochodu żołnierza zawodowego. Druga moja wątpliwość dotyczy tego, czy jeden rok rozliczeniowy może stanowić podstawę do ustalenia alimentów (w moim przypadku wysokość alimentów została ustalona na podstawie PIT-u za 2011 rok).

→ **Potocznie zwana mundurówka może zostać uznana za jeden z przychodów wynikających ze stosunku służbowego, a tym samym stanowić dochód żołnierza.**

Przepisy podatkowe przewidują bardzo szeroki katalog świadczeń zakwalifikowanych jako przychody ze stosunku służbowego. I tak przykładowo są nimi wszelkiego rodzaju wypłaty pieniężne oraz wartość pieniężna świadczeń w naturze bądź ich ekwiwalenty, w szczególności: wynagrodzenia zasadnicze, wynagrodzenia za godziny nadliczbowe, różnego rodzaju dodatki, nagrody, ekwiwalenty za niewykorzystany urlop i wszelkie inne kwoty niezależnie od tego, czy ich wysokość została z góry ustalona, a ponadto świadczenia pieniężne ponoszone za żołnierza, jak również wartość innych nieodpłatnych świadczeń lub świadczeń częściowo odpłatnych.

Odnosząc się do drugiej części pytania, należy wspomnieć o zasadach ustalania wysokości alimentów. O zakresie obowiązku alimentacyjnego decydują usprawiedliwione potrzeby uprawnionych (art. 135 „Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego”). Rodzice w zależności od swych możliwości obowiązani są zapewnić dzieciom środki do zaspokojenia zarówno jego potrzeb fizycznych (wyżywienia, mieszkania, odzieży, higieny osobistej, leczenia w razie choroby), jak i duchowych (kulturalnych), a także środki na wychowanie (kształcenie ogólne, zawodowe). Podczas dokonywania oceny, które z nich powinny być uznane za potrzeby usprawiedliwione, należy z jednej strony

brać pod uwagę możliwości zobowiązanego, z drugiej zaś zakres i rodzaj potrzeb. Decyduje to bowiem, w jakim wymiarze „możliwości zarobkowe i majątkowe” zobowiązanego będą uwzględniane przy ustalaniu obowiązku alimentacyjnego.

Przyjmuje się, iż „możliwościami zarobkowymi i majątkowymi” są nie tylko zarobki i dochody rzeczywiście uzyskiwane, lecz także te zarobki i te dochody, które osoba zobowiązana może i powinna uzyskiwać po dołożeniu między innymi należytej staranności oraz stosownie do swoich sił umysłowych i fizycznych. Możliwości zarobkowe zobowiązanego nie mogą więc być zawsze utożsamiane z faktycznie osiąganymi zarobkami. W przypadkach uzasadnionych obejmują one także wysokość zarobków, które zobowiązany jest w stanie uzyskać, lecz nie osiąga ich z przyczyn nieusprawiedliwionych. Chodzi tu między innymi o przypadki, w których osoba zobowiązana nie wykonuje wyuczzonego i dobrze wynagradzanego zawodu, pracuje w niepełnym wymiarze godzin bądź też pracuje dorywczo.

Sąd, określając wysokość świadczenia alimentacyjnego, zobowiązany jest do wzięcia pod uwagę wszelkich okoliczności i dowodów przedstawionych w postępowaniu sądowym. W Pana przypadku jednym z takich dowodów, który zaważył na ustaleniu wysokości alimentów, było zeznanie podatkowe za 2011 rok. W tej kwestii jednak, nie znając akt sprawy, trudno stwierdzić, czy ustalenia sądu były prawidłowe. Wypada natomiast nadmienić, iż sytuacja majątkowa i możliwości zarobkowe zobowiązanego do alimentacji mogą się różnić i być zupełnie odmienne w chwili wytoczenia powództwa od tych, które zaistniały w 2011 roku. W tym względzie dana osoba powinna wykazać, iż rzeczywiście takie okoliczności miały miejsce. Co więcej, w przypadku wydania niesatysfakcjonującego wyroku, zawsze istnieje możliwość złożenia apelacji. Niemniej jednak (po odpowiednio poczynionych ustaleniach) sąd mógł podczas wyrokowania wziąć pod uwagę dochód wykazany na podstawie zeznania podatkowego.

ARKADIUSZ TUREK

Kancelaria Radców Prawnych SC
Katarzyna Przymęcka,
Jakub Piotr Przymięcki

PODSTAWY PRAWNE:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU z 2010 roku nr 90, poz. 593 ze zmianami);
ustawa z 26 lipca 1991 roku o podatku dochodowym od osób fizycznych (DzU z 2012 roku, poz. 361 ze zmianami);
ustawa z 25 lutego 1964 roku „Kodeks rodzinny i opiekuńczy” (DzU z 2012 roku, poz. 788 ze zmianami);
rozporządzenie ministra obrony narodowej z 20 grudnia 2012 roku w sprawie umundurowania oraz wyekwipowania żołnierzy zawodowych i kandydatów na żołnierzy zawodowych (DzU z 2012 roku, poz. 1502).



**NASZA ARTYLERIA
NIE MA CZYM RAZIĆ
PRZECIWNIKA
ZNAJDUJĄCEGO SIĘ
W ODLEGŁOŚCI
WIEKSZEJ NIŻ
40 KILOMETRÓW**

| ARTYLERIA |

OWOCE MORZA

D L A B O G A W O J N Y

Krab, Kryl, Rak i Homar. Wbrew pozorom to nie menu restauracji, lecz nazwy programów zbrojowych, które będą przez najbliższe dekady kształtowały oblicze polskiej artylerii.



KRZYSZTOF WILEWSKI

RAFAL MNIEDŁO/11 LDKPANC



OWOCE MORZA DLA BOGA WOJNY

Artyleria wymaga pilnej modernizacji. Co prawda wyprodukowane w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku 122-milimetrowe haubice 2S1 Goździk i 152-milimetrowe armatohaubice Dana mogą jeszcze posłużyć w linii, jednak niewielki jest z nich pożytek pod względem operacyjnym. Nasza artyleria nie ma bowiem czym razić przeciwnika znajdującego się w odległości większej niż 40 kilometrów, a gdyby nie było wyrzutni raketowych RM-70 i WR-Langusta o tymże zasięgu, tradycyjne armaty mogłyby atakować tylko cele oddalone o 20 kilometrów.

rozważano produkowanie jej wspólnie z naszymi południowymi sąsiadami – Słowakami. Pomysł kupna zachodniej technologii pojawił się w 1997 roku. Przetarg rozstrzygnięto dwa lata później. Wybrano BAE System i wieżę od AS 90, a produkcją działa miała się zająć Huta Stalowa Wola.

Planowano, że do 2003 roku polska armia otrzyma moduł ogniowy o kryptonimie „Regina” (sześć dział plus logistyka i dowodzenie, czyli między innymi wozy dowodzenia, amunicyjny, remontu uzbrojenia i elektroniki). Prototyp Kraba, bo taką nazwę otrzymała 155-milimetrowa armatohaubica, powstał relatywnie szybko – w 2001 roku. Niestety, mimo że niedługo potem zbudowano drugi, aż na siedem lat z powodu zawirowań politycznych przerwano prace nad Regimą.

Program Kraba ruszył na nowo dopiero w 2008 roku, kiedy Departament Polityki Zbrojeniowej zawarł z Centrum Produkcji Wojskowej Huty Stalowa Wola wartą prawie 230 milionów złotych trzyletnią umowę na wykonanie pracy wdroże-

COMMENT

TOMASZ SIEMONIAK



Z jednej strony, Huta Stalowa Wola pokazuje, że nasz przemysł jest zdolny wytwarzać najnowocześniejszy, na światowym poziomie, sprzęt wojskowy. Z drugiej jednak to dowód, że plany modernizacyjne na najbliższe dziesięć lat, zakładające maksymalne zaangażowanie polskiego przemysłu w modernizację sił zbrojnych, są jak najbardziej realne. Jest to początek pewnego procesu, a nie koniec. Będziemy życzliwym, ale równocześnie bardzo wymagającym partnerem Huty Stalowa Wola, ponieważ sprzęt dla naszych sił zbrojnych musi być na najwyższym poziomie.

Z wystąpienia ministra obrony podczas przekazania armii modułu Krabów.

Na szczęście dla artylerii i całej armii idą lepsze czasy. Zgodnie z planami Ministerstwa Obrony Narodowej i Sztabu Generalnego Wojska Polskiego do naszych sił zbrojnych mają trafić nowe armatohaubice, automatyczne moździerz oraz wyrzutnie raketowe. Nad wszystkimi pracuje Huta Stalowa Wola.

Krab, Kryl, Rak i Homar. Wbrew pozorom to nie jest menu restauracji specjalizującej się w owocach morza. To nazwy programów zbrojeniowych, które będą przez najbliższe dekady kształtowały oblicze polskiej artylerii. Krab i Kryl to 155-milimetrowe samobieżne armatohaubice (AHS), jedna na podwoziu gąsienicowym, druga na kołowym. Rak to samobieżny 120-milimetrowy moździerz automatyczny na podwoziu gąsienicowym i kołowym, a Homar – wieloprowadnicowa wyrzutnia raketowa. Programy te są na różnym etapie realizacji. Dwa są na ukończeniu, jeden jest w fazie badawczo-rozwojowej, a ostatni pozostaje jeszcze w sferze koncepcyjnej.

KRAB NA OSTRO

Chyba nie ma w polskiej armii dłużej realizowanego programu zbrojeniowego niż 155-milimetrowa samobieżna armatohaubica Krab. Prace nad nią rozpoczęły się jeszcze, zanim wstąpiliśmy do NATO, czyli w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Dziś już nikt nie pamięta, że pierwotnie

COMMENT

STANISŁAW BUTLAK



Chcemy, aby zasięg naszej artylerii wynosił nie około 40 kilometrów, jak teraz, a około 200 kilometrów, czyli żeby pokrywał całą głęboką operacyjną. Program modernizacji wojsk raketowych i artylerii zawarty w planie modernizacji technicznej na lata 2013–2022 przewiduje cztery kluczowe artyleryjskie projekty: armatohaubice kalibru 155 milimetrów Krab i Kryl, 120-milimetrowe automatyczne moździerz Rak oraz wieloprowadnicowe wyrzutnie raketowe Homar.

Stanisław Butlak, były szef artylerii, jest doradcą ministra Waldemara Skrzypczaka.

nowej dywizjonowego modułu ogniowego Krabów – ośmiu dział, z czego sześć miało być nowych, a dwa to zmodernizowane prototypy.

W 2012 roku HSW zrealizowała umowę i przekazała 11 Pułkowi Artylerii z Węgorzewa moduł Krabów do badań eksploatacyjno-wojskowych, które zakończą się na początku 2014 roku. Choć na ich wyniki przyjdzie jeszcze poczekać, prace nad kolejnymi Krabami idą w hucie pełną parą. W październiku 2012 roku MON zamówiło bowiem kolejnych 16 dział, tak aby razem z ośmioma już dostarczonymi stworzyć 24-lufowy moduł dywizyjny.

Przedstawiciele Huty Stalowa Wola nie ukrywają, że projekt 155-milimetrowej AHS, mimo ogromnych opóźnień i zawirowań politycznych, które o mało co nie zakończyły jego losów, zmienił oblicze „Stalówki”.

„Regina była programem przełomowym dla HSW. Postawiliśmy sobie bardzo ambitny cel, żeby osiągnąć w Polsce w dziedzinie produkcji artylerii poziom porównywalny z krajami zachodnimi. Myślę, że to nam się udało. Krab dorównuje rozwiązaniami technicznymi produktom oferowanym przez ar-

 <p>155 mm</p>	 <p>122 mm</p>	 <p>152,4 mm</p>	 <p>120 mm</p>
<p>Długość: 12,050 metra Szerokość: 3,580 metra Wysokość do dachu wieży: 3,13 metra Masa bojowa pojazdu: 52 140 kilogramów Donośność działa: 40 kilometrów Szybkostrzelność: do 6 strzałów na minutę Pokonywanie przeszkód: <input type="checkbox"/> wzniesienie – 25 stopni <input type="checkbox"/> przeszkody pionowe – 0,8 metra <input type="checkbox"/> rowy – 2,5 metra Prędkość: do 60 kilometrów na godzinę Zasięg: 650 kilometrów</p>	<p>Masa pocisku: 21,8 kilograma Masa pojazdu: 15 700 kilogramów Szerokość działa: 2,85 metra Długość działa: 7,26 metra Wysokość działa: 2,72 metra Donośność działa: 15, 2 kilometra Prędkość: do 60 kilometrów na godzinę Prędkość pływania: 4,5 kilometra na godzinę Zasięg: 500 kilometrów Szybkostrzelność: do 6 strzałów na minutę</p>	<p>Długość: 11,156 metra Wysokość z karabinem maszynowym: 3,63 metra Szerokość: 3 metry Prędkość: do 80 kilometrów na godzinę Masa z 60 nabojami: 29,25 tony Kąt ostrzału w pionie: od – 4 stopni do 70 stopni Kąt ostrzału w poziomie: 220 stopni Donośność działa: 20 kilometrów Szybkostrzelność: 4 strzały na minutę</p>	<p>Pionowy kąt ostrzału: od – 3 stopni do 80 stopni Poziomy kąt ostrzału: n x 360 stopni Dostępność maksymalna: nie mniej niż 8000 metrów Dostępność z dodatkowym napędem rakiety: 12 000 metrów Szybkostrzelność: do 12 strzałów na minutę</p>
<p>ZAŁOGA</p>  <p>KRAB 155-milimetrowa samobieżna armatohaubica Krab</p> 	<p>ZAŁOGA</p>  <p>GOŹDZIK Haubica samobieżna 2S11 Goździk</p> 	<p>ZAŁOGA</p>  <p>DANA 152-milimetrowa armatohaubica wzor 77 Dana</p> 	<p>ZAŁOGA</p>  <p>RAK Samobieżny moździerz automatyczny na podwoziu kołowym M120 Rak</p> 

tyleryjskich potentatów, czyli USA i Wielką Brytanię”, podkreślał Edward Hajdukiewicz, dyrektor biura techniczno-handlowego HSW, i dodał, że dla huty najcenniejszy jest pozyskany know how, co wykorzystano w produkcji nowego sprzętu artyleryjskiego (w pierwszej kolejności Raka).

ZUPA Z RAKÓW

O ile program Kraba od początku był realizowany z udziałem MON-u i za jego pieniądze, o tyle Rak początkowo był pracą własną HSW.

„Skoro mieliśmy doświadczenie i technologię pozyskaną dzięki umowie z BAE System, postanowiliśmy opracować dla naszej armii automatyczny moździerz”, komentuje prezes HSW Krzysztof Trofiniak. „Chcieliśmy stworzyć działo auto-

nomiczne, pozbawione wad, które mają tego typu konstrukcje. Myślę, że to nam się udało. Uzbrojenia o podobnych właściwościach i możliwościach, czyli moździerz mogącego strzelać na wprost, górną grupą kątów oraz torami stromymi, który sam przelicza nastawy dla najbardziej ekonomicznego wykonania ognia, nie ma na świecie nikt”.

Huta Stalowa Wola prace nad Rakiem sama prowadziła prawie trzy lata (od 2006 roku). W 2008 roku armia uznała, że przed automatycznymi moździerzami jest przyszłość w rodzimym kraju. 7 października 2009 roku Departament Polityki Zbrojeniowej MON-u i Centrum Produkcji Wojskowej Huty Stalowa Wola SA zawarły czteroletnią umowę na wykonanie pracy badawczo-rozwojowej B+R „Kompanijny moduł ognio-



HSW zobowiązała się zbudować dwa prototypy automatycznych 120-milimetrowych moździerzy – jeden na podwoziu gąsienicowym, a drugi na kołowym (od Rosomaka) oraz prototypy wozów: dowodzenia, rozpoznania artyleryjskiego, amunicyjnego i zabezpieczenia technicznego.

Jak wyjaśnia prezes Krzysztof Trofiniak, zamówione przez MON komponenty modułu ogniowego są już gotowe: „Wszystkie wozy, zarówno ogniowe, jak i amunicyjny, dowodzenia, rozpoznania, remontu uzbrojenia i elektroniki, przeszły badania zakładowe i jesteśmy gotowi do przeprowadzenia państwowych badań kwalifikacyjnych, które zakończą fazę badawczo-rozwojową i umożliwią wyprodukowanie partii próbnej. Brakuje nam jednego elementu, aby je rozpocząć – zatwierdzonego przez Inspektorat Uzbrojenia programu badań”.

KRYL, HOMAR I LANGUSTA

Nad Kryłem Huta Stalowa Wola pracuje od kilku lat. Ciężkość się opłacała, bo siły zbrojne chcą wdrożyć Kryle do służby po 2017 roku. W 2012 roku HSW podpisała z Narodowym Centrum Badań i Rozwoju czteroletnią umowę na wykonanie prototypu Kryla, badań zakładowych i kwalifikacyjnych oraz przygotowanie dokumentacji do produkcji partii próbnej. Na podstawie szczegółowych ankiet oceniających huta wybrała do współpracy zagranicznego partnera. I w pierwszych tygodniach 2013 roku podpisała umowę z izraelską firmą Elbit.

Nieco bardziej skomplikowana jest sprawa Homara, ponieważ polskie wojsko ma w wyposażeniu wieloprowadnicowe wyrzutnie WR-Langusta, dla których HSW przygotowała pakiet modernizacyjny. Mają one jednak zasięg około 40 kilometrów i nawet uzbrojone w ulepszone rakiety – Feniksy, o zasięgu około 70 kilometrów – nadal trudno traktować w kategoriach broni strategicznej. A taką rolę mają odegrać Homary.

Jak komentuje Antoni Rusinek, członek zarządu HSW, huta jest przygotowana, aby zbudować dla naszej armii Homara. Najpierw muszą jednak zostać określone założenia techniczne i wymagania operacyjne, jakie miałyby spełniać wyrzutnia. Kwestią podstawową jest wybór kalibru pocisków oraz sekwencja rakiet w pakiecie – czy mają być to takie same pociski, identycznego kalibru, czy może wymieszane, na przykład dwa mniejsze i dwa większe. Od wyboru określonych rozwiązań zależy decyzja co do producentów i politycznych sojuszy.

Wszystkie wymienione systemy uzbrojenia łączy jedno. To uzbrojenie, którego nasza armia naprawdę potrzebuje „na wczoraj” i które przeniesie naszą artylerię w XXI wiek. Armaty Krab są w stanie zasypać przeciwnika gradem pocisków – sześć na minutę w serii trwającej trzy minuty. W wypadku ośmiu haubic modułu Regina daje to aż 144 pociski. Łatwo sobie wyobrazić, co stanie się z nieprzyjacielskimi wyrzutniami rakiet, działami przeciwlotniczymi, stanowiskami dowodzenia czy węzłami łączności, na które spadnie taki deszcz ognia. Jeszcze bardziej niszczycielską siłą ma moduł automatycznych moździerzy Rak. Osiem dział, z których składa się komponent ogniowy, może w minutę wystrzelić 80 granatów. Trzyminutowa seria to 240 pocisków.

Plany resortu obrony zakładają, że nasza armia będzie miała pięć dywizjonów Krabów (po 24 działa każdy) i osiem Raków. Niestety nie wiadomo jeszcze, ile chcemy kupić Homarów oraz ile Langust przewidzianych jest do modernizacji. Jedno jest jednak pewne. Morskie „skorupiaki” z HSW to przyszłość polskiej artylerii. ■

USA

Tiltrotor Bella

Firma Bell Helicopter zaprezentowała koncepcję przemiennopłata V-280 Valor.

Jest to jeden z projektów przyszłych maszyn, które zastąpią śmigłowce Black Hawk. Bell przedstawił wizję przemiennopłata ze stałym skrzydłem i usterzeniem motylkowym. W odróżnieniu od już użytkowanego samolotu V-22 Osprey gondolę śmigłowca podzielono na dwie części. W nieruchomej ma znaleźć się silnik. Obrotowy jest około 2017 roku. T W ■

BELL HELICOPTER



CHILE

Rezygnacja ze szkolnych

Chilijskie siły powietrzne zamierzały zakupić nowe zaawansowane odrzutowce szkolne. Jednak w marcu poinformowały zainteresowane firmy lotnicze, że muszą zrezygnować z tego planu z powodów finansowych. Chilijscy chcieli nabyć kilkanaście nowych samolotów, które miały zastąpić maszyny A/T 36 Halcon. Jest to lokalne oznaczenie samolotów CASA C-101 Aviojet produkcji hiszpańskiej. Chile zakupiło ich 35, w tym 23 w wersji bojowej A-36. Maszyny Halcon są coraz trudniejsze w utrzymaniu i nie zapewniają odpowiedniego poziomu wyszkolenia przyszłych pilotów F-16. Wśród kandydatów na następcę tych maszyn wymieniane są Alenia Aermacchi M346 Master, BAE Systems Hawk i Korean Aerospace T-50 Golden Eagle. W T ■

Stare maszyny A/T 36 Halcon latają w siłach powietrznych Chile już ponad 25 lat.

prezentuj
broń



V-280 Valor poza czteroosobową załogą ma zabierać **11 żołnierzy**. Po bokach kadłuba zaprojektowano przesuwane drzwi o szerokości 1,8 metra. Podwozie będzie chowane. Maszyna rozwine prędkość przelotową około 518,5 kilometra na godzinę. Zasięg bojowy wyniesie od 926 do 1481,6 kilometra, a promień działania – 463 kilometry. Zasięg przebazowania ma sięgać 3889 kilometrów.



FUERZA AEREA BRASILEIRA

BRAZYLIA

Nowi nabywcy Super Tucana

Producent lotniczy Embraer poinformował, że podczas wystawy zbrojeniowej LAAD w Rio de Janeiro podpisał kontrakty z dwoma państwami na dostawę lekkich turbośmigłowych samolotów szturmowych A-29 Super Tucano. Gwa-

temala zamówiła sześć A-29, natomiast Senegal trzy. Tym samym lista krajów, które wybrały Super Tucana, rozszerzyła się do 13. Brazylijska firma zdobyła już zamówienia na ponad 210 samolotów. Dotychczas dostarczono do klientów po-

nad 170 z nich. Podczas LAAD Embraer podpisał również kontrakt o wartości 252 milionów reali na wsparcie logistyczne i serwisowanie 92 egzemplarzy A-29 Super Tucano używanych przez brazylijskie siły powietrzne. TED ■

BRAZYLIA

Wzmocnienie ochrony

Brazylia zamierza wzmocnić swoje zdolności do obrony powietrznej poprzez zakup samobieżnych zestawów artyleryjskich z nadwyżek armii niemieckiej. W grę wchodzi transakcja dotycząca 34 wozów 1A2 Gepard. Zestaw składa się z osadzonej na podwo-

ziu czołgu Leopard 1 wieży, po której bokach są dwie sprzężone ze sobą armaty przeciwlotnicze kalibru 35 milimetrów.

Brazylijczycy chcą je wykorzystywać między innymi do wzmocnienia ochrony podczas

masowych uroczystości religijnych i wielkich imprez sportowych.

Pierwszych osiem Gepardów trafi do Brazylii już w czerwcu. Pozostałe zestawy zostaną przekazane do 2015 roku. WT ■



3 | POLSKA ZBRONIA

To jedna z najbardziej udanych konstrukcji wojskowych w historii amerykańskich sił zbrojnych. HMMWV w różnych wersjach nieprzerwanie służy żołnierzom od 1985 roku. Czas płynie jednak nieubłagane i zmieniają się potrzeby. Gdy powstawał ten pojazd, nie istniało jeszcze zagrożenie ze strony min pułapek, które praktycznie wyeliminowały go z użytkowania w warunkach bojowych. Montowanie dodatkowych pancerny okazało się drogie i prowadziło do zbyt wysokiego wzrostu masy pojazdu.

Wziąwszy pod uwagę wyzwania teraźniejszości i przyszłości, Pentagon – a dokładnie wojska lądowe i korpus piechoty morskiej – wyraził chęć wprowadzenia do służby nowego lekkiego wozu – JLTV (Joint Light Tactical Vehicle). Nie powinno być z tym problemów, ponieważ przedmiotem starań jest dość prosta konstrukcja. Szybko jednak okazało się, że wybranie i wprowadzenie do służby JLTV jest niezwykle trudne.

WIELU CHEŃNYCH

Wszystko zaczęło się w 2006 roku, kiedy program zainicjowało Kolegium Szefów Sztabu. W październiku 2008 roku De-

partament Obrony wybrał trzy zespoły, z którymi podpisano kontrakty na sfinansowanie prac nad rozwojem technologii: BAE Systems Land and Armaments i Navistar Defense; Lockheed Martin, BAE Systems, Alcoa Defense; JWF Defense Systems i General Tactical Vehicles (firma General Dynamics Land Systems i AM General). Liczono, że następnie Departament Obrony szybko podpisze umowy na fazę inżynieryjno-produkcyjną z dwiema firmami. Niemal na samym początku pojawiły się jednak problemy. Czasowo zawieszono prace po formalnych protestach odrzuconych zespołów: Northrop Grumman – Oshkosh oraz Textron – Boeing – SAIC. Gdy już udało się je wznowić, w lutym 2011 roku raz jeszcze przesunięto termin podpisania kontraktów inżynieryjno-produkcyjnych, ponieważ wojsko zmieniło swoje wymagania. Po doświadczeniach z Iraku i Afganistanu uznano, że lekki i mobilny JLTV musi być równie odporny na eksplozje min pułapek, jak wozy klasy MRAP (Mine Resistant Ambush Protected).

Dopiero w sierpniu 2012 roku ogłoszono, że zawarto 27-miesięczne kontrakty na fazę inżynieryjno-produkcyjną o łącznej wartości 185 milionów dolarów. Na liście znalazły się

PROJEKT WIDMO

Chociaż pomysł wprowadzenia do służby następcy wysłużonego HMMWV liczy już siedem lat, to wciąż nie wiadomo, kiedy zostanie zrealizowany.

ROBERT CZULDA



takie firmy, jak Oshkosh z projektem L-ATV (Light Combat Tactical All-Terrain Vehicle), Lockheed Martin Corporation z wozem JLTV oraz duet AM General – LLC, który zaoferował konstrukcję BRV-O (Blast Resistant Vehicle Off Road). Każdy z wygranych zgodził się dostarczyć 22 w pełni sprawne prototypy, które zostaną skierowane do testów, między innymi balistycznych. Firmy, którym się nie udało podpisać umów, czyli BAE Systems (pojazd Valanx), General Tactical Vehicles (konstrukcja Eagle) oraz Navistar Defense (wóz Saratoga), nadal mogą brać udział w wyścigu o JLTV, ale już na własny koszt.

W ostatnich tygodniach wrócił pomysł, który zrodził się pod koniec 2011 roku. Wówczas projektem JLTV zainteresowała się firma Ford Motor Company, drugi największy w Stanach Zjednoczonych producent samochodów. Co prawda Ford wycofał się z rynku wojskowego w latach osiemdziesiątych XX wieku, ale teraz chce na niego wrócić. Jego propozycja jest o tyle kusząca, że z pomocą firmy Raytheon byłby w stanie dostarczyć JLTV szybciej i taniej niż konkurencja. Pentagon postawił bowiem warunek, aby cena jednostkowa nie wyniosła więcej niż ćwierć miliona dolarów.

PRECYZYJNE WYMAGANIA

Pentagon chce, aby powstały dwie wersje JLTV. Jedna z nich to byłby bojowy wóz taktyczny (Combat Tactical Vehicle, CTV), mogący przewozić cztery osoby i ładunek o masie 1,5 tony. Druga to pojazd wsparcia (Combat Support Vehicle, CSV), przystosowany do transportu mak-

symalnie dwóch osób i ładunku o łącznej masie 2,3 tony. Zrezygnowano tym samym z planowanej w pierwszym etapie projektu lepiej opancerzonej wersji, ponieważ była ona cięższa niż 7 ton, czyli optymalna masa pojazdu. Zbyt dużo ważący pojazd nie mógłby być transportowany śmigłowcami CH-47F Chinook i CH-53K Super Stallion, lecz jedynie samolotami C-130 Hercules. Na obecnym etapie Amerykanie chcą, aby niezależnie od konfiguracji JLTV był na tyle lekki, aby mógł trafić na pokład wszystkich trzech środków transportu.

JLTV ma przewyższać HMMWV pod wieloma względami, między innymi opancerzenia (na poziomie wozów wspomnianego typu MRAP), mobilności (szczególnie w trudnych warunkach terenowych) i niezawodności. Będzie pojazdem uniwersalnym, ponieważ zostanie wyprodukowany w różnych wariantach – transportera piechoty, wozu rozpoznania i dowodzenia, ambulansu, wielozadaniowego oraz pojazdu osłony konwojów (uzbrojony w ciężkie karabiny maszynowe lub granatniki). Co więcej, JLTV ma mniej spalać. Pentagon liczy, że jednostkowe zużycie paliwa będzie nawet o 35 procent mniejsze niż w HMMWV.

Mimo tych atutów przyszłość programu JLTV nie małuje się w zbyt jasnych barwach. Pentagon utrzymuje, że w grę nadal wchodzi zamówienie kilkudziesięciu tysięcy pojazdów – głównie dla wojsk lądowych, ale też dla piechoty morskiej, być może marynarki wojennej i sił specjalnych. Amerykanie wciąż liczą na Australijczyków, z którymi w lutym 2009 roku podpisali umowę dotyczącą koordynacji rozwoju projektu JLTV. W lutym 2011 roku potwierdzili, że chcą kupić około 1,3 tysiąca pojazdów za prawie 1,5 miliarda dolarów. Ograniczone zainteresowanie wyraziły też Wielka Brytania, Kanada oraz Izrael.

Na tym kończą się dobre wieści, ponieważ gwoździem do trumny JLTV może stać się kryzys gospodarczy. Coraz częściej mówi się, że w obliczu cięć finansowych decydenci korpusu morskiego zamierzają odłożyć projekt JLTV na drugą połowę lat dwudziestych, aby w pierwszej kolejności skoncentrować się na budowie nowej amfibii (Amphibious Combat Vehicle, ACV). Oznaczać to będzie spadek skali zamówienia, czyli jednostkowy wzrost ceny JLTV, co może odbić się na całym programie, a nawet doprowadzić do jego zawieszenia przez wojska lądowe. Nic więc dziwnego, że realny staje się pomysł zmodernizowania HMMWV. Jeśli do tego dojdzie, to projekt JLTV powędruje na półkę i tam przeczeka do lepszych czasów. ■

LOCKHEED MARTIN





W zestawie ewakuacyjno-ratunkowym PTS-M znalazły się między innymi: 20 kamizelek ratunkowych, dwa ubrania do pracy w wodzie, nożyce do cięcia drutu, bosak, trzy szelki ratownicze, cztery koła ratunkowe, dwie linki ratownicze z rzutką, a także dwie linki asekuracyjne zakończone pływakiem i szelką ratowniczą. Załoga transportera ma w wyposażeniu również składane nosze i latarkę z funkcją światła pulsacyjnego.

SAPERSKA ARKA

Saperzy mają zmodernizowane transportery PTS-M, które przystosowano do działań związanych ze zwalczaniem klęsk żywiołowych.

TADEUSZ WRÓBEL

Co roku w jakimś zakątku Polski występuje powódź. Wtedy z pomocą poszkodowanym ruszają między innymi saperzy. Jednym ze sprzętów, którym dysponują, jest pływający transporter samobieżny PST-M. Ten gąsienicowy pojazd może zarówno pływać, jak i brodzić po zalanych terenie. Chociaż dzięki peteesom uratowano życie i dobytek wielu ludzi, nie powstały one jednak z myślą o takich akcjach. Pierwotnym zastosowaniem tych transporterów był przewóz przez przeszkody wodne artylerii ciągniętej. Wojsko postanowiło zmodernizować część PTS-M do działań ewakuacyjno-ratowniczych związanych ze zwalczaniem klęsk żywiołowych i do różnych jednostek na terenie Polski trafiło 20 pojazdów zmodyfikowanych przez Wojskowe Zakłady Inżynieryjne w Dęblinie.

NIETYPOWI PASAŻEROWIE

W czasie ewakuacji ludzi i ich dobytku często dochodziło do uszkodzenia transporterów. Zagrożenie stanowiły na przykład ukryte w mętnej wodzie metalowe przedmioty lub drzewa wyrwane przez powódź. Zdecydowano się zatem na osłonięcie podatnych na uszczerbki części pojazdu. Kadłub wyposażono w uchwyty do mocowania osłony przedniej transportera oraz stelaż burtowy do zamontowania osłon bocznych. Wykonano je z tarcicy sosnowej. W osłonie przedniej drewniane deski wzmocniono metalowymi okuciami. Dodatkową ochronę zapewniają teraz odbijacze burtowe (po pięć na burcie).

Wprowadzono też modyfikacje, które mają ułatwić transport ludzi. PTS-M wyposażono w metalową drabinę burtową, po której ratowanym osobom łatwiej dostać się na pokład transportera, oraz składaną drabinę aluminiową (5,5 metra wysokości po rozłożeniu). W przedziale ładunkowym zamontowano też trzy składane ławki i relingi na burtach.

Bardzo często saperzy w czasie klęsk żywiołowych przewożą transporterami zwierzęta, które są nieprzewidywalnymi pasażerami. Zamontowano więc między innymi drewniany podest służący do zabudowy torów jezdnych w przedziale ładunkowym. Dzięki podestowi rufowemu, którym zabudowuje się tory jezdne burty odchylnej i pochylnej, łatwiejsze będzie nie tylko wprowadzanie zwierząt, lecz także ludzi. Z myślą o czworonożnych pasażerach, którzy mogą próbować wyskoczyć z transportera, zaprojektowano lekkie kurtyny boczne (metalowe stelaże i brezentowe osłony). Dzięki nim podwyższone zostają burty boczne i odchylna. W transporterach znajdują się też uchwyty i zaczepy do wiązania bydła i koni oraz klatka do przewozu drobiu.

Zmodernizowany PTS-M wyposażono też w gąsienice z zamontowanymi na stałe gumowymi nakładkami. Dzięki temu transportery, poruszając się po utwardzonych drogach, nie będą niszczyły ich nawierzchni.

RÓŻNORODNE WYPOSAŻENIE

W PTS-M znalazł się również sprzęt specjalistyczny, który ma wspomagać działanie saperów w różnych warunkach, na przykład w nocy. Po bokach zamontowano więc dwa szperacze, po dwie lampy jarzeniowe pancerne i halogenowe, a żołnierzom zapewniono dwie latarki kryptonowe czołowe. W zmodernizowanym transporterze znalazła się dodatkowo łódź Orka 2 (3 metry długości i 1,5 metra szerokości), którą mogą płynąć cztery osoby. Większość dodatkowych elementów, na przykład osłony, podesty, ławki czy kurtyny, da się łatwo zdemontować i przechowywać w magazynie. Tak samo można zrobić z zestawem ewakuacyjno-ratowniczym i wyposażeniem dodatkowym (luźnym). Wtedy pojazd ponownie staje się standardowym wozem używanym do wykonywania zadań militarnych. ■

**DZIĘKI
PETEESOM
URATOWANO
ŻYCIE
I DOBYTEK
WIELU
LUDZI**

2-5.09.2013 - Kielce

MSPO 2013



XXI Międzynarodowy
Salon Przemysłu Obronnego

Honorowy Patronat
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Wystawa Narodowa Turcji

TARGI KIELCE S.A., ul. Zakładowa 1, Kielce
DYREKTOR PROJEKTU: Agnieszka Białek
tel. 41 365 12 49, mspo@targikielce.pl

www.mspo.pl

TargiKielce

EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

ufi
Approved
Event



Wkrótce otwarcie!
NOWE CENTRUM KONGRESOWE

TARGI KIELCE

3 OŚRODEK
WYSTAWIENNICZY
W EUROPIE
ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ



TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE



ogranicza nas tylko
Twoja wyobraźnia

www.targikielce.pl

Targi Kielce SA
ul. Zakładowa 1, tel. 41 365 12 22
e-mail: biuro@targikielce.pl

kongresy,
koncerty
do 4500
osób





Działa wykorzystują skonstruowaną przez Rheinmetall – Weapons and Ammunitions (dawnie Oerlikon Contraves Pyrotec) specjalną, elektronicznie programowaną amunicję AHEAD (Advanced Hit Efficiency and Destruction).

MANTIS JEST JEDNYM Z DWÓCH ELEMENTÓW PROJEKTU MODERNIZACYJNEGO SYSFLA DLA WOJSK OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ.

Podstawą systemu jest automatyczna i szybkostrzelna (tysiąc pocisków na minutę) armata kalibru 35 milimetrów w systemie rewolwerowym.

W momencie przechwytywania około 20 metrów przed celem następuje uwolnienie z każdego pocisku (standardowo 24 na cel) 152 wolframowych pocisków o masie 3,3 grama każdy, tworzących przed przechwytywaniem obiektem ścianę odłamków niszczących cel siłą kinetyczną (bez detonacji materiałów wybuchowych, jedynie siłą uderzenia).

Kontenerowe centrum dowodzenia

Zautomatyzowana stacja rozpoznania radarowego wraz z głowicą optoelektroniczną

MILITARIUM STUDIO/RHEINMETALL

Strażnik nieba

Niemieckie siły powietrzne oficjalnie rozpoczęły wykorzystywanie nowoczesnego systemu przeciwlotniczego i przeciwrakietowego MANTIS.

ROBERT CZULDA

MANTIS to lądowy automatyczny, mobilny, modułowy i sieciocentryczny system bardzo krótkiego zasięgu typu C-RAM. Produkt niemieckiej firmy Rheinmetall Air Defence jest przeznaczony do neutralizowania nadlatujących z niskiego pułapu rakiet taktycznych (niestrategicznych), pocisków artyleryjskich różnego kalibru, a także pocisków moździerzowych, samolotów, śmigłowców oraz bezałogowych statków latających. Zapewnia ochronę punktową, rozciągając parasol nad dowolnym obszarem – zgrupowaniem wojsk, obiektem strategicznym lub infrastrukturą cywilną.

ELEMENT UKŁADANKI

Bezpośrednim impulsem do opracowania takiej konstrukcji była konieczność ochrony baz Bundeswehry w czasie misji w Afganistanie. Siły niemieckie niemal od początku były nękane uderzeniami nieprzyjaciela – w ich stronę nadlatywały i ciągle nadlatują rakiety krótkiego zasięgu oraz pociski moździerzowe. Potrzeba opracowania systemu okazała się tym większa,

że dla Bundeswehry problem nie kończy się wraz z wycofaniem sił z Afganistanu. Jedyną kwestią czasu jest zaangażowanie się Niemiec w kolejną misję, gdzie zapewne znów nieprzyjacieli zastosuje takie tanie, ale skuteczne (szczególnie w wymiarze psychologicznym) środki.

Ostatecznie MANTIS do Afganistanu nie trafi, bo Bundeswehra zapowiedziała powrót stamtąd już za rok, a koszty transportu systemu nad Hindukusz, a następnie odesłanie go do kraju, byłyby zbyt wysokie. Projekt jest jednak przyszłościowy, bowiem to istotny element szerszego programu modernizacyjnego sił zbrojnych Niemiec. Nosi on nazwę SysFla i stanowi wspólny efekt prac firm MBDA Deutschland i Rheinmetall Air Defence. Drugim po MANTIS-ie jego elementem są rozwijane przez MBDA Deutschland i Diehl BGT Defence rakiety krótkiego zasięgu klasy ziemia-powietrze nowej generacji LFK NG.

Celem projektu SysFla jest zlikwidowanie wyraźnej dziury w obronie przeciwlotniczej krótkiego zasięgu. Powstała ona, gdy w 2005 roku Niemcy zrezygnowali ze skonstruowanych we współpracy z Francją rakiet Roland, a w 2010 roku z samo-

bieżnych dział przeciwlotniczych Gepard. Około 2018 roku ze służby mają zostać wycofane ręczne wyrzutnie klasy ziemia-powietrze FIM-92 Stinger. SysFla, składający się z lufowego systemu MANTIS oraz rakiet LFK NG, będzie wówczas stanowił podstawową obronę w bardzo krótkim zasięgu. Przewidywany zasięg działania systemu to bowiem 10 kilometrów. Zapewni on zdolność rażenia celów znajdujących się na pułapie do 5 kilometrów. Co istotne, SysFla będzie systemem komplementarnym do natowskiego projektu obrony przeciwlotniczej i antybalistycznej średniego zasięgu MEADS (Medium Extended Air Defense System).

Początki wdrażania MANTIS-a w Niemczech sięgają maja 2009 roku, kiedy to za sumę niemal 111 milionów euro zamówiono dwa systemy firmy Rheinmetall. Koncern zbrojeniowy zgodził się również zapewnić szkolenie i wsparcie techniczne (20 milionów euro) oraz amunicję (13,4 miliona euro). Wybór nie był przypadkowy – istotne okazały się wcześniejsze doświadczenia z systemem Skyshield firmy Oerlikon (Rheinmetall przejął Oerlikon Contraves w 2009 roku). Wykorzystanie Skyshielda sprawiło, że koncern był w stanie przygotować MANTIS-a szybko i sprawnie. Niemieckie wojsko dostało system w 2011 roku. Oficjalne i uroczyste przekazanie go nastąpiło w listopadzie 2012 roku w Husum, w którym stacjonuje uzbrojony w rakiety MIM-104 Patriot 1 Szwadron Obrony Przeciwlotniczej „Schleswig-Holstein”. Jak wynika z oficjalnych informacji, integracja MANTIS-a z systemem dowodzenia i kierowania niemieckiej Luftwaffe już się zakończyła. Warto w tym miejscu zauważyć, że na mocy decyzji ministra obrony narodowej Karla-Theodora zu Guttenberga z sierpnia 2010 roku wszystkie zadania z zakresu obrony przeciwlotniczej przejęły siły powietrzne.

SPRAWDZONA TECHNOLOGIA

Konstrukcyjnie MANTIS bazuje na sprawdzonej technologii wspomnianego systemu przeciwlotniczego Skyshield, który jest wyposażony w dwie szybkostrzelne armaty kalibru 35 milimetrów, centrum dowodzenia i centrum kierowania ogniem (z radarem w paśmie X). W skład standardowej baterii MANTIS wchodzi sześć armat, kontenerowe centrum dowodzenia oraz dwie zautomatyzowane stacje rozpoznania radarowego wraz z głowicą optoelektroniczną. Ponieważ jest to platforma mobilna, może być łatwo przewożona z miejsca na miejsce na pokładzie samolotów transportowych. Co więcej, Rheinmetall zwrócił uwagę na to, aby system był względnie autonomiczny, co jest istotne w przypadku misji wojskowych w krajach trzeciego świata czy na przykład w Afganistanie, gdzie możliwość wykorzystania miejscowej infrastruktury jest bardzo ograniczona.

MANTIS jest rozwiązaniem uniwersalnym – potrafi nie tylko zwalczać obiekty w powietrzu, lecz także je wykrywać i śledzić. Działa autonomicznie, ale jest nadzorowany przez operatorów, którzy podejmują decyzję o otwarciu ognia. Modułowość sprawia, że system może być łatwo modernizowany i rozbudowywany o rozwiązania, które nie są jeszcze znane, a pojawiają się dopiero w przyszłości. Pozwała to wydłużyć jego żywotność i zmniejszyć koszty. Starający się przekonać o wyjątkowości swojego rozwiązania Rheinmetall zwraca uwagę na możliwość bliskiej integracji systemu z inną bronią – z laserami. ■



SEKRETNA HISTORIA SAS



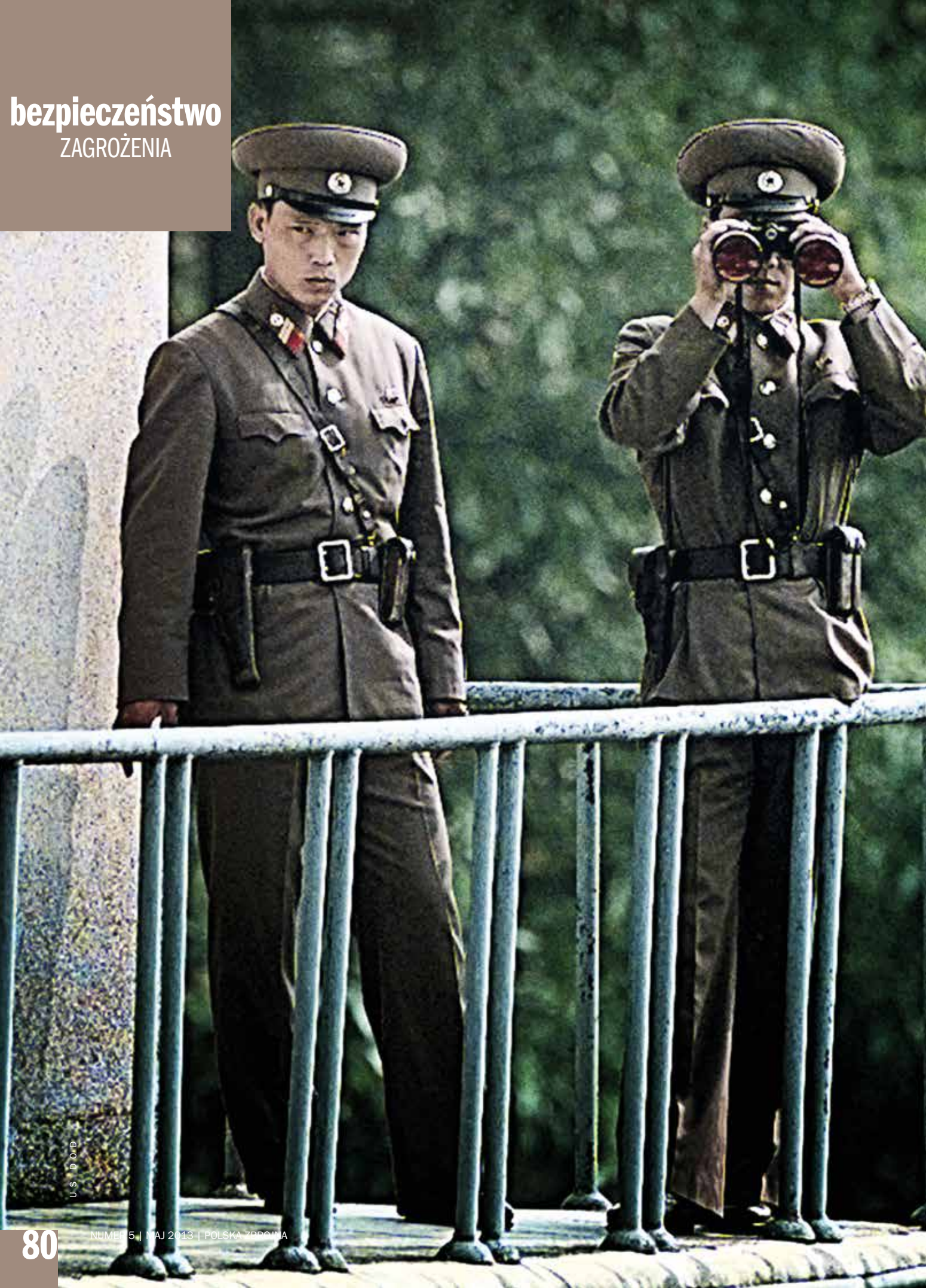
Brytyjski **Special Air Service** to skuteczna maszyna wojenna, której żołnierze do perfekcji opanowali sztukę walki.

**SAS WKACZA TAM,
GDZIE WSZYSTKO ZAWIODŁO.**

Wstrząsająca książka Jean-Jacques'a Cécile'a eksperta do spraw wywiadu i jednostek specjalnych.

www.muza.com.pl

MUZA SA



| A Z J A |

PÓŁNOC

P R Ę Ż Y M U S K U Ł Y

Chociaż obu stronom konfliktu z różnych przyczyn
nie zależy na pogłębianiu kryzysu na Półwyspie Koreańskim,
nie oznacza to, że nie może dojść do wybuchu wojny.



RAFAŁ CIASTOŃ



→ PÓŁNOC PRĘŻY MUSKUŁY

O d lat Półwysep Koreański pozostaje jednym z najbardziej zapalnych regionów świata, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy panujące tam napięcie wzrosło w sposób wyjątkowy. Udane testy, rakietowy i jądrowy, przeprowadzone przez Północ spotkały się ze zdecydowaną reakcją Rady Bezpieczeństwa ONZ, która w tym roku już dwukrotnie nałożyła na Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną sankcje za takie działania. Wydaje się jednak, że tym razem Pjongjang postępuje według innego niż dotychczas schematu. Nie wycofuje się do własnego naróżnika, lecz coraz mocniej napina muskuły.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

KRLD 12 grudnia 2012 roku dokonała trzeciej próby wyniesienia satelity na orbitę. W przeciwieństwie do dwóch poprzednich (kwiecień 2009 i kwiecień 2012 roku) była to próba udana (przynajmniej w wypadku rakiety nośnej Unha-3). Problem z koreańskim testem polega na tym, że rakietowa nośna w niewielkim tylko stopniu różni się od pocisku balistycznego, takiego jak Taep'o-dong-2, którego dwie próby wystrzelenia (1998 i 2006 rok) zakończyły się niepowodzeniem.

Czy zatem ostatni sukces oznacza, że Pjongjang dysponuje systemem uzbrojenia, w którego zasięgu znajduje się kontynentalna część Stanów Zjednoczonych? Raczej nie, i to z dwóch powodów.

Po pierwsze, aby potwierdzić skuteczność operacyjną pocisku, konieczne będą kolejne testy (o ile komuniści spełnią swe zapowiedzi i na takowe się zdecydują).

Po drugie, pozostaje jeszcze kwestia głowicy nadającej się do zamontowania na pocisku. Zaklinanie rzeczywistości na niewiele się tutaj zda, buńczuczne zapowiedzi propagandy reżimu nie zmieniają faktu, że nie istnieje najmniejszy nawet dowód potwierdzający zdolność KRLD do skonstruowania głowicy nuklearnej.

Umiejętność wyniesienia na orbitę relatywnie lekkiego urządzenia, jakim jest satelita (jego masę szacowano na około 100 kilogramów) o niczym jeszcze nie przesądza, ponieważ głowica miałaby masę zapewne około dziesięciu razy większą. Poza tym satelita pozostał w przestrzeni (choć, jak się okazało, nie na długo), a głowicę trzeba powtórnie i w sposób kontrolowany wprowadzić w atmosferę.

Rada Bezpieczeństwa ONZ 22 stycznia 2013 roku jednoznacznie podjęła decyzję o nałożeniu na Pjongjang nowych sankcji, ale komunistyczny reżim przygotowywał już kolejną demonstrację siły – test nuklearny. Wezwania społeczności międzynarodowej, w tym również Chin, do zaniechania tego kroku okazały się nieskuteczne. 12 lutego ładunek został odpalony, a opierające się na danych sejsmicznych szacunki USA określiły jego moc na 6–7 kiloton, co jest wartością wyższą niż w wypadku dwóch poprzednich eksplozji (w 2006 i 2009 roku odpowiednio poniżej 1 kilotony i od 2–6 kiloton).

W odniesieniu do testu nuklearnego kluczowe pozostają dwa pytania: w jakim stopniu udało się zminiaturyzować ła-

dunek oraz jakiego rodzaju materiału rozszczepialnego w nim użyto? O ile w odpowiedzi na pierwsze z nich eksperci wydają się zgodni i w zasadzie wszystkie opinie skłaniają się ku tezie, że rozmiary północnokoreańskiego urządzenia jądrowego wciąż uniemożliwiają zamknięcie go w głowicy, o tyle próba odpowiedzi na drugie z pytań jest dużo bardziej skomplikowana.

Jesienią 2010 roku Północ zademonstrowała światu (zespłowi amerykańskiego fizyka Siegfrieda S. Heckera) bardzo nowoczesne, według Heckera, zakłady wzbogacania uranu. Od tego momentu pozostaje zagadką, czy KRLD może konstruować ładunki nie tylko plutonowe, lecz także oparte na wzbogaconym uranie (HEU). A jeśli tak, to ile zdążyła ich już wyprodukować? Użycie uranu niesie mniej problemów natury technologicznej, poza tym zakłady wzbogacające ten pierwiastek znacznie łatwiej ukryć, ponieważ nie wymagają one pracy reaktora nuklearnego. Czy zatem uzyskana trzy lata wcześniej zgoda reżimu na wyłączenie jedyne posiadane reaktora w Yongbyon wynikała z przejścia na technologię uranową? Niestety, sposób przeprowadzenia ostatniej eksplozji uniemożliwił zebranie próbek pozwalających na jednoznaczną odpowiedź na to pytanie.

7 marca 2013 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ nałożyła na KRLD kolejne sankcje, na co ta odpowiedziała zerwaniem tak zwanych gorących linii (cywilnej i wojskowej) łączących ją z Seulem, zagroziła wypowiedzeniem rozejmu, przeprowadziła cyberatak na południowego sąsiada, opublikowała serię filmów video ukazujących eksplozje nuklearne w amerykańskich miastach i wreszcie ogłosiła, że Północ znajduje się w stanie wojny z Republiką Korei (30 marca).

NOWY WÓDZ, STARA GWARDIA

Kim jest Kim? Pytanie to powraca za każdym razem, kiedy jest mowa o uwarunkowaniach i przyczynach kolejnych posunięć Pjongjangu. Niewiadomą pozostaje, na ile młody przywódca działa samodzielnie, a na ile jego posunięcia są ograniczone przez prominentnych przedstawicieli aparatu partyjnego oraz (a może przede wszystkim) armii. Proces przejścia władzy po zmarłym w grudniu 2011 roku Kim Dzong Ilu przebiegał sprawnie. Poszczególne jednostki wykonywały rozkazy sygnowane imieniem Kim Dzong Una, zanim jeszcze przekazana została informacja o śmierci jego ojca. Nowy przywódca cieszył się zatem autorytetem i miał władzę. Nie oznacza to jednak, że jest to władza absolutna.

Podczas uroczystości pogrzebowych tuż obok młodego (nie tylko stażem, lecz także wiekiem) lidera, który szybko przejmował wszystkie przynależne wcześniej ojcu tytuły i funkcje, na trybunie honorowej znajdowały się dwie osoby – jego wuj Jang Sung-taek, wiceprzewodniczący komisji obrony narodowej, oraz wicemarszałek Ri Yong-ho, szef sztabu generalnego i wiceprzewodniczący centralnej komisji wojskowej. Najczęściej, bo aż dwadzieścia dwa razy, powtarzanym słowem było „songun”, czyli „przede wszystkim armia”. W Korei Północnej, tak jak w stalinowskim pierwowzorze, władza opiera się

bowiem na trzech filarach – partii, armii i służbach specjalnych, a realizowana przez Kim Dzong Ila polityka songun sprawiła, że drugi z nich został znacznie wzmocniony kosztem pierwszego. Roszady, które w ciągu ostatniego roku nastąpiły w siłach zbrojnych, wydają się jednak świadczyć o tym, że Kim Dzong Un próbuje te filary powtórnie zrównoważyć.

Jawiący się niemal jednym z triumwirów wice-marszałek został pozbawiony stanowiska i najprawdopodobniej osadzony w czymś w rodzaju aresztu domowego. Trzykrotnie zmienił się minister obrony (ostatnio został nim Kim Kyok-sik,

nuklearnego, które Amerykanie będą traktować jak równego sobie. Oczywiście poza pierwszym, a i to po spełnieniu określonych warunków, cele te są niemożliwe do zrealizowania, co nie oznacza jednak, że ciesząc się poczuciem swego rodzaju „strategicznej nietykalności” Korea Północna ma zamiar je porzucić. Wspomniana „strategiczna nietykalność” wynika z kurateli, którą nad północną częścią półwyspu sprawuje Państwo Środka. I choć Chiny są coraz bardziej poirytowane działaniami Kim Dzong Una, to w kategoriach militarnych wciąż może on czuć się niezagrożony.

W KOREI PÓŁNOCNEJ WŁADZA OPIERA SIĘ NA TRZECH FILARACH – PARTII, ARMII I SŁUŻBACH SPECJALNYCH

TAJEMNICA POLISZYNELA

Zarówno w grudniu 2012 roku, jak i w lutym 2013 roku agencje informacyjne donosiły o obecności w Korei Północnej irańskich naukowców. Współpraca obu państw w dziedzinie budowy rakiet od lat pozostaje tajemnicą poliszynela. Kooperacja w dziedzinie jądrowej zmusza jednak do nowego spojrzenia na irański program atomowy. Synergia koreańskiego know-how i irańskich pieniędzy może okazać się nie do zaakceptowania przez państwa żywiące obawę przed arsenałem jądrowym Teheranu. Narastające potencjalne zagrożenie ze strony północnokoreańskiego reżimu skłoniło Stany Zjednoczone do kolejnego przeorientowania koncepcji tarczy antyrakietowej (MD). Waszyngton zapowiedział rezygnację z czwartego etapu budowy European Phased Adaptive Approach (EPAA), oparte go na pociskach SM-3 Block IIB, w zamian decydując się na umieszczenie w bazach Fort Greely na Alasce oraz Vandenberg w Kalifornii dodatkowych czternastu antyrakiet GBI. Rozważa także możliwość budowy w USA trzeciej bazy tych pocisków. [Zainteresowanych tym tematem odsyłamy do tekstu Roberta Czuldy z lutowego numeru PZ.]

któremu podlegała jednostka odpowiedzialna za ostrzał Yoenpyeongu). Ze stanowiskiem pożegnali się szef biura politycznego armii i sześciu z dziewięciu dowódców korpusów. Kim Dzong Un ugruntowuje swoją władzę, a jednocześnie społeczeństwa wobec zewnętrznego wroga bez wątplenia temu służy. Co nie oznacza, że obecny kryzys musi być powodowany wyłącznie uwarunkowaniami wewnętrznymi KRLD.

WYBUJAŁE AMBICJE

Głównym zewnętrznym adresatem działań Północy są oczywiście Stany Zjednoczone. Reżim od lat próbuje zmusić supermocarstwo do rozmów, których rezultatem miałyby być uzyskanie pomocy gospodarczej, a także podpisanie układu pokojowego i traktatu o nieagresji. Jednocześnie Pjongjang chciałby osiągnąć status mocarstwa

Wojenna retoryka wpływa oczywiście na Seul, tym bardziej że komuniści przy każdej okazji obiecują zamienić go w razie konfliktu w morze ognia. Republika Korei inwestuje zarówno w systemy obrony antyrakietowej (częściowo oparte na wyposażonych w system Aegis niszczycielach), jak i we wzmocnienie własnych zdolności ofensywnych. Na mocy podpisanego w październiku 2012 roku porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi zasięg rakiet Południa może zostać zwiększony z dotychczasowych 300 do 800 kilometrów, co de facto oznacza, że na celowniku znajdują się wszystkie bazy rakietowe Pjongjangu. Kilka miesięcy wcześniej Korea Południowa ogłosiła, że w ciągu najbliższych pięciu lat zamierza wyprodukować od 500 do 600 pocisków balistycznych i manewrujących. Seul ponadto negocjuje z USA układ dotyczący →

możliwości wzbogacania przezeń uranu do celów pokojowych. Perspektywa zmieniającego się na niekorzyść komunistów stosunku sił może zatem zwiększać ich paranoiczny lęk przed atakiem i skłaniać do demonstrowania potencjału rakietowo-jądrowego.

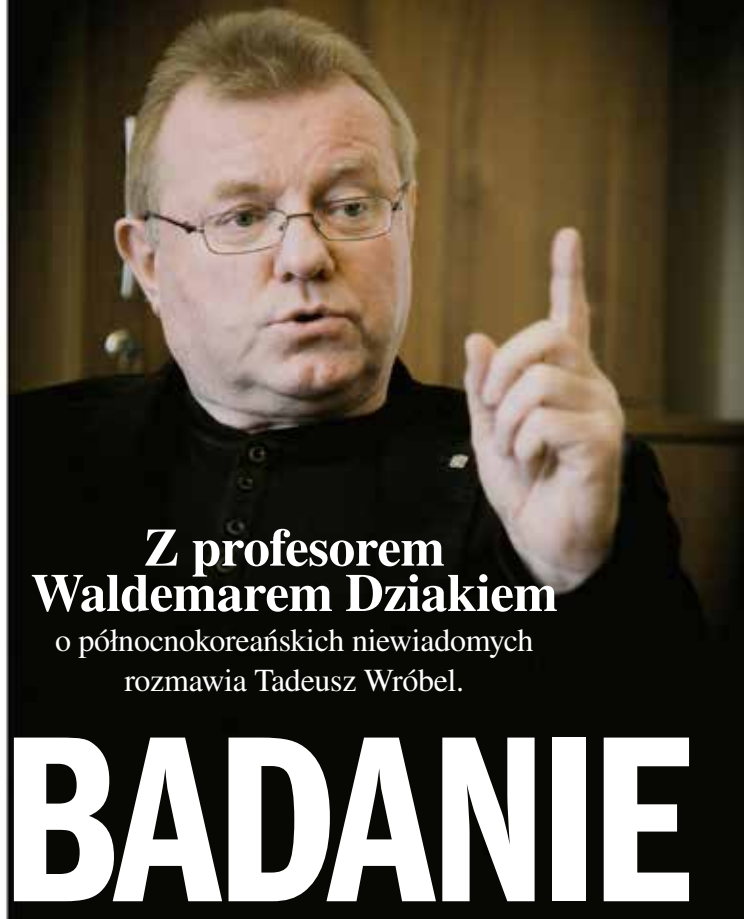
ZASADY UŻYCIA SIŁY

Niewątpliwie żadnej ze stron, choć z różnych przyczyn, nie zależy na dalszej eskalacji kryzysu. Czy oznacza to zatem, że sytuacja jest względnie bezpieczna? Nie do końca, ponieważ przedłużające się napięcie niesie ryzyko zarówno błędu ludzkiego, jak i mylnej oceny sytuacji. Przypadkowy incydent, spowodowany reakcją dowódcy niższego szczebla, mógłby przerodzić się w gwałtowną i trudną do powstrzymania wymianę ciosów. Jak duże jest zagrożenie takim scenariuszem, w wysokim stopniu zależy od tak zwanych rules of engagement, czyli zasad użycia siły, które obowiązują dowódców jednostek po obu stronach 38. równoleżnika.

Ryzyko błędnej oceny sytuacji jest znacznie poważniejsze. Jeśli jedna ze stron uznałaby, że druga przygotowuje się do nieuchronnego ataku, musiałaby co najmniej zwiększyć stopień gotowości bojowej własnych sił (potęgując tym samym obawy przeciwnika) lub zaryzykować atak wyprzedzający. Wydaje się, że spokojne reakcje Korei Południowej i Stanów Zjednoczonych są w dużej mierze podyktowane taką właśnie obawą. Amerykanie pod koniec marca wyraźnie zademonstrowali swe możliwości i determinację do obrony sojuszników, czemu służyły przeloty nad półwyspem bombowców strategicznych B-52 z bazy Andersen na wyspie Guam oraz B-2 z Whiteman AFB w Missouri, a także supernowoczesnych myśliwców F-22 z baz w Japonii (co wywołało niemal histeryczną reakcję reżimu), by następnie skupić się na prezentowaniu potencjału defensywnego – rozmieścili u wybrzeży koreańskich dwa niszczyciele Aegis oraz baterię antyrakiet THAAD na Guam. Stany Zjednoczone, by za bardzo nie zaostrzać sytuacji, zdecydowały się na odroczenie planowanego wcześniej testu ICBM Minuteman III.

Biały Dom bardzo powściągliwie reaguje na kolejne posunięcia Pjongjangu, takie jak chociażby przesunięcie na wschodnie wybrzeże rakiet średniego zasięgu Musudan. Pojawiło się oświadczenie, że odpalenie pocisków nie będzie niczym zaskakującym, a jedynie wpisze się w obecną wojowniczą i całkowicie niekonstruktywną retorykę.

Do kolejnych odstępów kryzysu na Półwyspie Koreańskim dochodzi z coraz większą częstotliwością. Biorąc pod uwagę zapowiedzi Północy, możemy się spodziewać, że kolejne miesiące nie przyniosą poprawy. Po lutymowym teście nuklearnym KRLD zakomunikowała Chinom, że w 2013 roku zamierza przeprowadzić jeszcze co najmniej jedną, a może nawet dwie próby (jeden podziemny tunel został już przygotowany). Częścią obchodów sześćdziesięciolecia zwycięstwa w wojnie koreańskiej i sześćdziesięciopięcioletnia istnienia państwa mają być zaś kolejne wyniesienia satelitów na orbitę. Jeśli te próby zakończą się sukcesem, sytuacja zaogni się jeszcze bardziej. Trudno jednoznacznie powiedzieć, jak na dysponującą bronią jądrową i międzykontynentalnymi środkami jej przenoszenia reżim zareagują Stany Zjednoczone i Republika Korei, jednak Seul otwarcie mówi o ataku wyprzedzającym w wypadku zaistnienia realnego zagrożenia nuklearnego. ■



Z profesorem Waldemarem Dziakiem

o północnokoreańskich niewiadomych
rozmawia Tadeusz Wróbel.

BADANIE

Co się stało, że znów doszło do zaognienia sytuacji na Półwyspie Koreańskim? Czy to sankcje ONZ doprowadziły do furii reżim w Pjongjangu?

Czołowi eksperci – amerykańscy, chińscy i japońscy – spierają się o to, co jest główną przyczyną obecnego napięcia w regionie, ale na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Ludzie tacy jak ja, którzy zajmują się problematyką północnokoreańską od 40 lat, wiedzą, że analizowanie tamtejszej rzeczywistości przypomina badanie góry lodowej. Mamy dostęp może do dziesięciu procent informacji, a reszta pozostaje ukryta. Pamiętajmy również, że reżim północnokoreański prowadzi świadomą politykę dezinformacji. Wypuszcza w świat wiele wiadomości, które mają wprowadzić w błąd nie tylko przeciwników, lecz także partnerów, a nawet sojusznika.

Politycy północnokoreańscy od dawna znani są z kwiecistej retoryki, ale poziom agresji w wypowiedziach w marcu i kwietniu był o wiele wyższy niż ten, do którego zdołaliśmy się przyzwyczaić.

Sytuacja jest tak niebezpieczna, ponieważ Koreańczycy z Północy tak nadymali balon eskalacji pogroźek, że wszyscy zastanawiali się, kiedy on pęknie. Uważam jednak, że nie zapadnie żadna decyzja naczelnego dowództwa armii o rozpoczęciu wojny. Nie będzie też zbrojnych prowokacji, czyli nie powtórzy się sytuacja z 2010 roku, kiedy została zatopiona południowokoreańska korweta „Cheonan” i ostrzelano wyspę Yeonpyeong, co było najpoważniejszym incydentem zbrojnym od czasu zawarcia w 1953 roku rozejmu kończącego wojnę na Półwyspie Koreańskim. Wszelkie zapowiedzi ataku na Południe, USA, Japonię to intensywne, prymitywne propagandy i teatr.



GÓRY LODOWEJ

EWA KORSAK (4)

**DLA
MIESZKAŃCÓW
PÓŁNOCY WOJNA
TO SZANSA
NA ZMIANĘ,
A TA MOŻE BYĆ
TYLKO
NA LEPSZE,
BO GORZEJ
TO JUŻ BYĆ
NIE MOŻE**

Dlaczego teraz ma nie dojść do podobnej prowokacji?

Sytuacja uległa diametralnej zmianie. Przed trzema laty przywódcy Korei Północnej byli pewni, że Republika Korei nie zareaguje. Dziś dobrze wiedzą, że Seul nie pozostanie bierny i ich działania spotka się z ostrą kontrreakcją. Czego najbardziej należy się obawiać, to przypadkowe starcie.

Jedna ze stron może źle odczytać intencje drugiej.

To bardzo prawdopodobne przy takim poziomie wzajemnej nieufności i zerwanych kanałach bezpośredniej łączności. A przecież wojskowi obu stron znajdują się w pobliżu linii demarkacyjnej i na morzu, więc przypadkowy wystrzał może być uznany za początek ataku. To byłaby hekatomba. Na obszarze Półwyspu Koreańskiego, który jest mniejszy od terytorium Polski, a żyje tam około 80 milionów ludzi, pod bronią są dwa miliony żołnierzy oraz osiem milionów przeszkolonych rezerwistów, czyli w razie konfliktu do walki staje dziesięć milionów uzbrojonych ludzi. Jako eksperci do tej napiętej sytuacji podchodzimy jednak dość spokojnie, ponieważ południowokoreańskie ministerstwo do spraw zjednoczenia wyliczyło, że od zawarcia rozejmu doszło do kilkunastu tysięcy incydentów zbrojnych i żaden nie stał się iskrą, która wywołałaby nową wojnę.

Jednym z najgroźniejszych incydentów był atak północnokoreańskich komandosów na pałac prezydencki w Seulu w 1968 roku.

Akcja była wyjątkowo udana. Komandosom udało się dotrzeć pod bramy pałacu. Popelnili jednak istotny błąd – nie wykonali rozkazu, że mają zabić każdą napotkaną po drodze osobę. Wychowani w duchu propagandy darowali życie wieśnia- →

kowi, którego uznali za przedstawiciela ludu. Ten zaś natychmiast powiadomił władze o intruzach. Mało kto wie jednak, że prezydent Park Chung-Hee zamierzał przeprowadzić operację odwetową. Do samobójczej misji przygotowano 31 osób mających wyroki. Misję odwołano, ponieważ doszło do normalizacji stosunków między USA a Chinami oraz rozpoczęły się międzykoreańskie rozmowy Czerwonego Krzyża.

Co tak naprawdę Korea Północna chce osiągnąć przez eskalację napięcia?

Po pierwsze, dąży do tego, żeby Stany Zjednoczone uznały ją za państwo atomowe. Przed kilkoma miesiącami na Północy zmieniono konstytucję, w której zapisano taki status kraju. Po drugie, chcą doprowadzić do dwustronnych rozmów pokojowych. Ponadto oczekują pomocy gospodarczej. W zamian Pjongjang jest skłonny obiecać, że nie udostępni swej technologii nuklearnej państwom zbójckim czy grupom terrorystycznym.

dzić do konfrontacji teraz, gdy główne programy zbrojeniowe Pjongjangu, atomowy i raketowy, są w fazie embrionalnej, czy poczekać dziesięć lat, dając czas na opracowanie pocisków międzykontynentalnych z głowicami nuklearnymi. Czasami trzeba wywołać konflikt, by uniknąć czegoś o wiele gorszego.

Amerykanie twierdzą, że Pekin zbyt mało robi w sprawie nacisków na Koreę Północną. Szef naszej dyplomacji Radosław Sikorski powiedział nawet, że Korea Północna zerwała się ze smyczy protektora.

Według mnie sprawa jest o wiele bardziej złożona. Chiny pozostają jedynym realnym sojusznikiem Korei Północnej, który udziela jej wsparcia politycznego na arenie międzynarodowej. Są też największym sponsorem tego państwa. Niemniej jednak chińskie wpływy polityczne w Pjongjangu są ograniczone i Korea nie zawsze ostrzega swego sojusznika przed działaniami podnoszącymi napięcie w regionie.

Skąd ta wyrozumiałość Chin wobec krnąbrnego podopiecznego?

CZASAMI TRZEBA WYWOŁAĆ KONFLIKT, BY UNIKNAĆ CZEGOŚ O WIELE GORSZEGO

Przecież Amerykanie nigdy nie zaakceptują Korei Północnej ze statusem państwa atomowego.

Koreańczycy z Północy uważają broń atomową za najsukuczniejszą tarczę przed agresją. W kularach podczas różnych negocjacji oferowano im w zamian za rozbrojenie gwarancje bezpieczeństwa ze strony pięciu mocarstw, stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. Obiecano liczoną w miliardach dolarów pomoc gospodarczą. Jeden z północnokoreańskich dyplomatów powiedział mi, że jego kraj nigdy nie zrezygnuje z broni atomowej. Dla nich jest to kwestia życia lub śmierci.

A kto uwierzy w zapewnienia Pjongjangu o nieproliferaacji broni atomowej?

Sądzę, że nikt. Korea Północna odgrywa ogromną rolę w rozwoju programów atomowych takich państw, jak Iran, Pakistan, a nawet Syria. Dlatego problem koreański jest ważny dla Polski – irańskie rakiety mogą dolecieć do nas.

I kiedyś ten koreański kocioł wybuchnie.

Dziś nie widzę szans na powodzenie jakichkolwiek negocjacji, a to oznacza, że w przyszłości na półwyspie kryzys nadejdzie jeszcze nieraz. Powiem rzecz niepopularną. Wojna z Koreą Północną wydaje się nieunikniona. Amerykanie i ich azjatyccy sojusznicy stoją przed wielkim dylematem, czy doprowa-

Chiny stały murem za Koreą Północną, bo wśród tamtejszych elit silne było myślenie z czasów zimnej wojny. W Pekinie traktowano ją jako bufor oddzielający od Korei Południowej, gdzie znajdują się amerykańskie bazy wojskowe. W języku dyplomatycznym mówi się, że Korea Północna była też znakomitym narzędziem nacisku na Seul, Tokio i Waszyngton. Wydawało się ono przydatne w czasach coraz bardziej widocznej rywalizacji z USA. Poza tym Chińczycy nie chcą zjednoczenia Korei, ponieważ mają w pamięci lekcję wietnamską. W dużej mierze to dzięki ich wsparciu Wietnam został zjednoczony pod władzą komunistów. I co się stało? Po kilku latach doszło do wojny z niedawnym sojusznikiem, w której Chiny poniosły porażkę. Pekin obawia się silnej osiemdziesięcioletniej Korei z amerykańskimi wojskami na jej terytorium.

Chińscy liderzy w coraz mniej zawaolowany sposób zaczynają krytykować swego protegowanego.

Chińczycy zawsze mieli problem z Koreą Północną. O Kim Ir Senie i Kim Dzong Ilu mówili „gorący kartofel”. Kim Dzong Una nazywają „podwójnie gorący kartofel”. Jest on nieprzewidywalny, co przynosi Pekinowi straty na poziomie strategicznym. Chiny dążą do rozluźnienia więzi między Japonią i Koreą Południową a Stanami Zjednoczonymi. Tymczasem zagrożenie ze strony Pjongjangu je umacnia, a nawet, mimo historycznych zaszłości, dochodzi do zbliżenia wojskowego ja-

pońsko-południowokoreańskiego. Do tego Amerykanie zgodzili się, by Koreańcy z Południa mogli produkować własne rakiety balistyczne o zasięgu do 800 kilometrów, a to oznacza, że mogą one razić cele w Chinach. Inną rzeczą niepokojącą Pekin – a będącą konsekwencją polityki Pjongjangu – jest rozbudowa amerykańskiego systemu przeciwraketowego w Azji, który może też ograniczyć chińskie zdolności do uderzeń raketowych.

Czy są jakieś symptomy zmian podejścia Chin do Korei Północnej?

Polityka Pekinu zaczyna się zmieniać. W lutym tego roku, na łamach „Financial Timesa” ukazał się artykuł „Chiny powinny porzucić Koreę Północną”. Jego autorem nie był zwykły dziennikarz, tylko Deng Yuwen, wicenaczelną „Xuexi Shibao”, gazety Centralnej Szkoły Partijnej Komunistycznej Partii Chin. Stwierdził on, że w razie ataku wyprzedzającego ze strony USA Pekin nie ma obowiązku pomagać sojusznikowi.

I stracił pracę...

Nie wierzę w przypadek. Profesor Deng Yuwen dobrze wiedział, co może napisać, więc to był sygnał zmian, jakie zachodzą w Pekinie. Do władzy dochodzi tam piąta generacja „przywódców rewolucji”, którzy są pragmatykami niekierującymi się przesłankami ideologicznymi.

A co z drugim starym przyjacielem Pjongjangu, Rosją?

Ten się nie liczy. Polityka rosyjska wobec Korei Północnej jest odbiciem chińskiej. Jeśli Pekin zmieni swoje podejście do spraw koreańskich, to Moskwa natychmiast zrobi to samo.

Czy Kim Dzong Un ma realną władzę?

Zyskał on formalnie wszystkie prerogatywy, jakie mieli jego ojciec i dziadek. Jest szefem partii i marszałkiem, dowódcą armii. Uważam jednak, że nie zyskał on pełnej akceptacji najwyższej kadry dowódczej. Nadano mu 26 tytułów honorowych, ale wyciszono te nawiązujące do młodego wieku. Chociaż Kim Dzong Un może zlikwidować niewygodnego członka establishmentu, jego władza jest ograniczona. Krajem tak naprawdę rządzi rodzinny klan liczący około dwóch tysięcy osób. To oni zajmują najważniejsze stanowiska. Poza tym klanem Koreą kieruje jeszcze siedem innych rodów. Razem to około 300 tysięcy ludzi.

Aby mieć pod kontrolą sytuację w całym kraju, reżim po-

trzebuje aparatu bezpieczeństwa. Niewiele jednak o nim wiemy.

System bezpieczeństwa to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic państwa. Istnieje tam coś niespotykanego na świecie – безпеaka w bezpieczeństwie. W Korei Północnej panuje totalna inwigilacja. Śledzeni i podsłuchiwani są nawet członkowie najwyższych władz oraz najbliższa rodzina przywódcy. Szef sztabu generalnego utracił stanowisko, ponieważ zapomniał o podsłuchu i odbył nieprawomyślną rozmowę telefoniczną. Koreańczyk musi pilnować, co mówi, nawet gdy baraszkuje w sypialni. Ludzi zabijano na przykład dlatego, że okazywali zbyt mały żal po śmierci przywódcy. Dla Europejczyków są to rzeczy zupełnie nieprawdopodobne.

Czy mieszkańcy Korei Północnej chcą wojny?

Nie tylko chcą, lecz wręcz o niej marzą. To efekt prawie 70 lat indoktrynacji. Podczas wieloletniej służby żołnierze słyszą, że na Południu czekają na nich jako zwycięzców jedzenie, wszelkie dobra luksusowe i kobiety. Dla mniej prawomyślnych mieszkańców Północy wojna to szansa na upadek reżimu, czyli na zmianę, a ta może być tylko na lepsze, bo gorzej to już być nie może.

W Polsce, w Europie, interpretujemy pewne wydarzenia w Korei przez pryzmat naszych doświadczeń historycznych, kultury i tradycji.

Rzeczywiście to może doprowadzić do nieporozumień. Niedawno w jednej z gazet w Hongkongu ukazał się artykuł z podtytułem „Walka o d...ę”. Autor opisał, jak w czasie wizyty ojca obecnego lidera w Chinach tamtejsze tajne służby chciały przejąć jego odchody, by zbadać je, żeby stwierdzić, na co choruje Kim Dzong Il. Akcja zakończyła się fiaskiem, ponieważ okazało się, że północnokoreański dyktator nawet przyjaciół odwiedzał z własną toaletą, a jego kał był natychmiast utylizowany. Swoją drogą szkoda, że Chińczycy nie przeczytali polskich publikacji o wizycie Kim Ir Sena w naszym kraju w 1983 roku, bo nie traciliby czasu. Już wtedy miał on własną ubikację. Dla nas to niewyobrażalne.

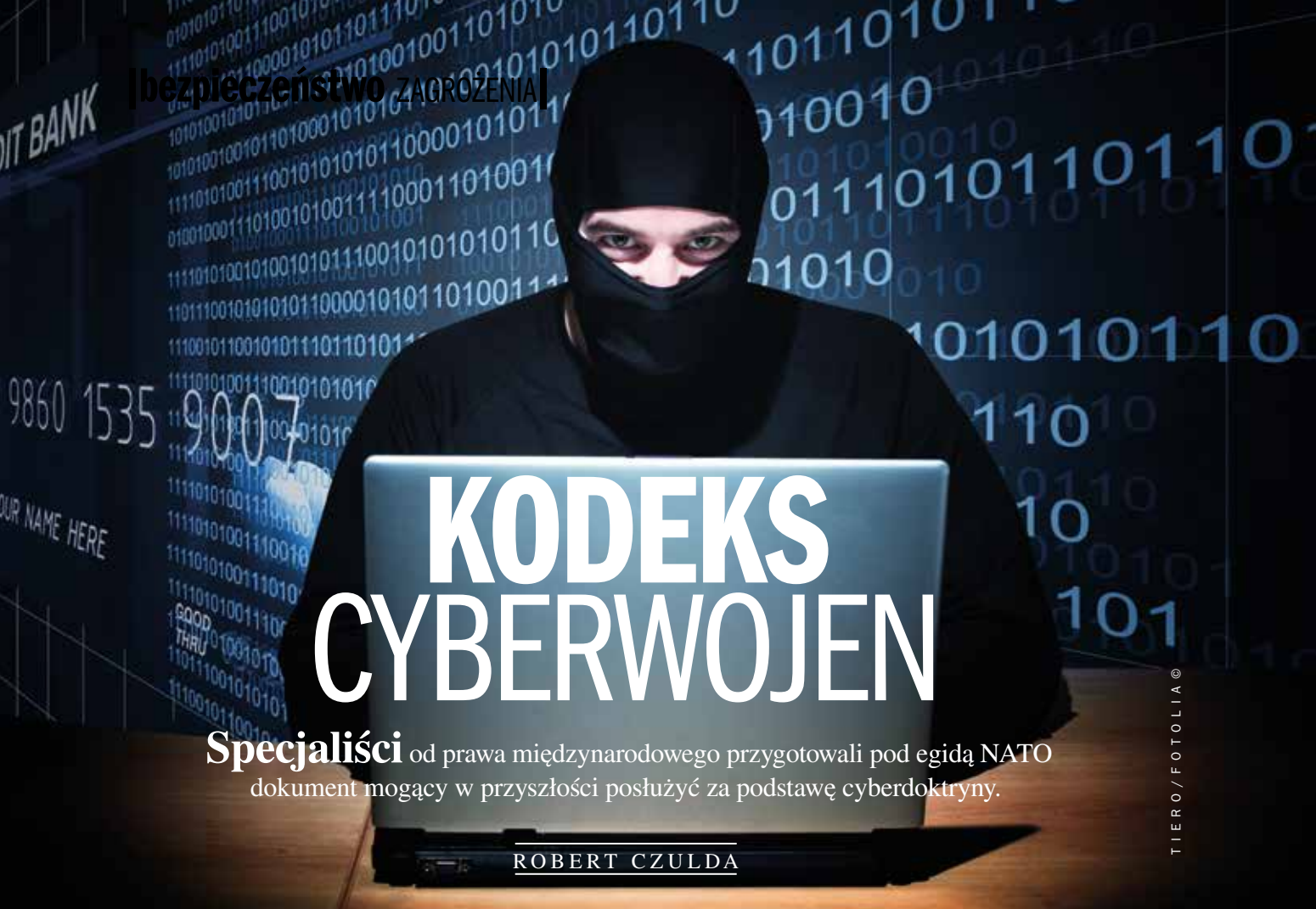
Jaki wpływ miał czynnik kulturowo-cywilizacyjny na stworzenie tak paranoicznego systemu?

Znaczący. Cywilizacja buddyjsko-konfucjańska ma charakter kolektywistyczny. Na pierwszym miejscu są naród, rodzina, armia, jakaś zbiorowość. Jednostka jest bez znaczenia. To podglebie kulturowe pozwoliło doprowadzić izolację państwa, jego militaryzację i kult jednostki do takiego poziomu, jaki byłby niemożliwy w Europie. Śmiesz nas wielkie defilady, wiec czy zbiorowe śluby wierności, ale one służą temu, by przeciętny człowiek ciągle pamiętał, że jest nikim jako jednostka i kimś w zbiorowości. ■

WIZYTÓWKA

WALDEMAR J. DZIAK

Jest profesorem zwyczajnym nauk humanistycznych, dziennikarzem i pisarzem. Kieruje Zakładem Azji i Pacyfiku Instytutu Studiów Politycznych PAN. Wykłada też w Collegium Civitas. Jako politolog zajmuje się problematyką państw bałkańskich i Dalekiego Wschodu, szczególnie Chin i Korei Północnej. Jest autorem licznych publikacji naukowych poświęconych tej problematyce. Najnowsza to pierwsza w Europie bibliografia Kim Dzong Una.



KODEKS CYBERWOJEN

Specjaliści od prawa międzynarodowego przygotowali pod egidą NATO dokument mogący w przyszłości posłużyć za podstawę cyberdoktryny.

ROBERT CZULDA

TIERO/FOTOLIA ©

Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że w ostatnich latach internet stał się niezwykle istotną płaszczyzną ludzkiej działalności. To jednak środowisko wykorzystywane nie tylko do rozrywki, lecz także do atakowania wrażliwych systemów państwa. Wystarczy wymienić serię uderzeń teleinformatycznych w instytucje państwowe i bankowe w Estonii w 2007 roku czy też w Gruzji rok później, podczas rosyjskiej agresji. Do historii cyberwojen przeszedł stworzony przez Izraelczyków i Amerykanów wirus Stuxnet, który w 2010 roku czasowo sparaliżował irańskie wirówki. Kilka tygodni temu zaatakowano system komputerowy Korei Południowej.

ZALĄŻEK DOKTRYNY

NATO przystąpiło do działania. Odwołanie do zagrożeń cybernetycznych pojawiło się w trakcie szczytu sojuszu w Rydze w 2006 roku. Wtedy to ataki internetowe uznano za jedną z form zagrożeń asymetrycznych. „Przykład Estonii pokazuje, że cyberatak może być zagrożeniem bezpieczeństwa narodowego”, stwierdził później rzecznik prasowy NATO James Appathurai. W przyjętej w 2010 roku w Lizbonie nowej koncepcji strategicznej sojuszu podkreślono znaczenie obrony przed zagrożeniami w cyberprzestrzeni i zwrócono uwagę na konieczność poprawy zdolności defensywnych.

Członkowie NATO zaczęli zastanawiać się nad stworzeniem odpowiedniej doktryny zarówno w wymiarze obronnym, jak i ofensywnym. Lord Alan West, brytyjski admirał w stanie spoczynku, stwierdził, że „rząd stworzył środki do odpowiedzi w przypadku cyberataku”. W styczniu 2012 roku Michael McConnell, były dyrektor wywiadu w czasach admi-

nistracji George’a W. Busha, przyznał zaś, że Stany Zjednoczone prowadziły już kilka dużych ataków na teleinformatyczną infrastrukturę innych państw.

Decydenci NATO zdawali sobie sprawę, że brakuje im wykładni, jeśli chodzi o tę materię. Państwa sojuszu mają bowiem odpowiednie procedury działania w wypadku ataku fizycznego na ich terytorium, ale ciągle brak im instrumentów, jeśli dojdzie do uderzenia teleinformatycznego. Przy pomocy Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża oraz amerykańskiego Dowództwa Cybernetycznego po trzech latach pracy grupa prawników i ekspertów od bezpieczeństwa (bez Polaków) przygotowała 282-stronicowy raport, który docelowo może stanowić załączek doktryny – podręcznik talliński na temat zastosowania prawa międzynarodowego do działań zbrojnych w cyberprzestrzeni. Jak sama nazwa wskazuje, eksperci starali się dokonać interpretacji już istniejącego prawa międzynarodowego przez pryzmat działań w sieci. Na potrzeby określenia *ius ad bellum* w wirtualnej rzeczywistości przeanalizowano kilkanaście traktatów.

TALLIŃSKI PODRĘCZNIK

Autorzy tak zwanego tallińskiego podręcznika stwierdzają, że cyberatak może przerodzić się w konwencjonalną wojnę. Jednocześnie wychodzą z założenia, że współcześnie dochodzi do rozszerzania rozumienia takich pojęć jak „wojna” i „konflikt zbrojny”. W ich odczuciu atak teleinformatyczny, który prowadzi do szkód fizycznych, różni się od klasycznych metod prowadzenia wojny jedynie formą, ale nie skutkami.

W takim rozumowaniu widać mocny wpływ Estonii, na której terytorium od 2008 roku mieści się Centrum Doskona-

lenia Obrony Cybernetycznej NATO (NATO Cooperative Cyber Defence Centre of Excellence, CCD COE). Jak bowiem stwierdził wówczas estoński prezydent Toomas Hendrik Ilves, „do wyłączenia infrastruktury nie potrzeba już rakiet. To samo można uczynić w cyberprzestrzeni”.

W dokumencie pojawił się też wniosek, że na podstawie analizy rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ i innych aktów prawa międzynarodowego można stwierdzić, iż zaatakowane kraje w razie naruszenia ich bezpieczeństwa narodowego mają prawo legalnie użyć w samoobronie siły wobec osób, które wspierają państwa w dokonaniu ataku teleinformatycznego na członków NATO. Dotyczy to pomocy bezpośredniej (wsparcie konkretnej akcji, poinformowanie państwa trzeciego o lukach w systemie, stworzenie oprogramowania, które za jego wiedzą i zgodnie z jego intencjami jest następnie użyte do ataku). Osoba pomagająca traci status cywila, a tym samym ochronę wynikającą z prawa międzynarodowego. Dotyczy to także cywilnych sieci, które mogą stać się celem legalnego ataku, jeśli są wykorzystywane w „celach wojskowych”. Jak czytamy w dokumencie: „można porównać sieć komputerową do sieci drogowej, którą jeżdżą samochody cywilne i wojskowe. Nie ma żadnego powodu, dla którego sieć komputerowa powinna być traktowana inaczej”. Według tallińskiej interpretacji legalnym celem nie jest natomiast ta osoba, która napisała złośliwe oprogramowanie, umieściła je w internecie i zostało ono wykorzystane w ataku teleinformatycznym.

Większość mediów splotła raport z Tallina jedynie do stwierdzenia, że „pozwała on zabijać cywilów”. To daleko idące nadużycie. Dokument ten zwraca uwagę głównie na ograniczenia. Nie wprowadza się pojęcia automatycznego i nieograniczonego użycia siły fizycznej ani nie mówi o prawie do zabijania. Podstawową metodą odpowiedzi są i nadal będą aresztowania przestępców i terrorystów działających w cyberprzestrzeni, a następnie skazywanie ich na więzienie.

Według tallińskiej wykładni osoby świadomie wspierające ataki teleinformatyczne mają status „bezpprawnej strony walczącej” (tak jak Al-Kaida w Afganistanie). Sprawia to, że po zatrzymaniu nie otrzymują statusu jeńca wojennego w myśl konwencji genewskich. Można je sądzić jak przestępców, zgodnie z zapisami krajowych kodeksów karnych, i to także za te działania, które byłyby legalne w myśl prawa wojennego, jeśli tylko zostałyby przeprowadzone przez „legalną stronę walczącą”, czyli siły zbrojne biorące udział w danym konflikcie.

Użycie siły może następować w szczególnych sytuacjach, w wypadku ataku na infrastrukturę krytyczną i tylko w razie zanotowania ofiar (rannych i zabitych) lub wysokiego ryzyka, że się pojawią; wówczas można bowiem mówić o wrogim akcie i de facto wojnie lub konflikcie zbrojnym. Nie ma bowiem różnicy między wirtualnym a fizycznym atakiem, jeśli konsekwencje obu są identyczne. Oznacza to, że dezinformacja, włamanie, a także działania, które skutkują paraliżem stron internetowych lub kradzieżą danych, nie kwalifikują się do odpowiedzi siłowej. Dotyczy to także wywiadu gospodarczego, którego nie można traktować jak agresji.

Autorzy raportu podają przykład ataku teleinformatycznego na zakłady chemiczne, którego celem jest wywołanie szkód materialnych i strat w ludziach. Strona, która chciałaby użyć siły, musi pamiętać o zasadzie proporcjonalności. Straty w wyniku działania obronnego nie mogą być większe od szkód, które doprowadziły do reakcji.

Zwraca się uwagę na to, że zgodnie z zapisami konwencji genewskich przeprowadzane lub wspierane przez państwa cyberataki nie powinny być kierowane przeciwko strategicznej infrastrukturze cywilnej, takiej jak szpitale, tamy czy elektrownie atomowe. Założenie to jest niezwykle ciekawe, bowiem przyjęcie takiej interpretacji sprawiłoby, że za niezgodny z prawem międzynarodowym należałoby uznać amerykańsko-izraelski atak wspomnianego wirusa Stuxnet na irański system jądrowy. Co ważne, zgodnie z przyjętą w dokumencie regułą, nawet jeśli cyberatak jest przeprowadzany z sieci państwowej, nie stanowi to wystarczającego dowodu, aby uznać, że za konkretne działanie odpowiedzialne jest państwo. Dotyczy to na przykład Chińczyków, którzy są oskarżani o wykorzystywanie specjalnej jednostki cyberżołnierzy do niezliczonych działań teleinformatycznych – od wykradania cennych informacji wojskowych i gospodarczych zachynając, a na sabotażu kończąc.

WBREW DONIESIENIOM MEDIALNYM NATO NIE ZAMIERZA BOMBARDOWAĆ NASTOLATKÓW, KTÓRZY WŁAMUJĄ SIĘ NA RZĄDOWE STRONY INTERNETOWE

GŁOS W DYSKUSJI

Nie jest zaskoczeniem, że dokument został przyjęty z poczuciem dużej ambiwalencji. Zwolenników nie brakuje, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, które w 2011 roku przyjęły doktrynę uznającą atak teleinformatyczny za akt nieprzyjacielski, który zezwala na użycie siły fizycznej. „Jeśli Amerykanie giną w wyniku działalności hakerów – terrorystów, a my mamy możliwość ich zabić, to powinniśmy to zrobić”, w manichejski sposób sprawę podsumował Stewart Baker, były zastępca sekretarza amerykańskiego Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Raport talliński w praktyce daje więcej pytań niż odpowiedzi.

Po pierwsze, nadal nie wiadomo, w jaki sposób lokalizować teleinformatycznych nieprzyjaciół. Sprytni cyberbandyci nigdy nie atakują bez zacierania za sobą śladów. Wykorzystują do tego komputery przypadkowych osób, często na różnych kontynentach. W jaki sposób odkryć więc, kto tak naprawdę jest za konkretny atak odpowiedzialny?

Po drugie, nawet jeśli uda się wykryć napastnika, to jakie metody wspomnianej siły fizycznej należy zastosować?

Autorzy dokumentu nie ukrywają, że ich celem nie było uzyskanie odpowiedzi na wszystkie pytania, lecz zabranie względnie spójnego i potrzebnego głosu w dyskusji nad bezpieczeństwem teleinformatycznym, zagrożeniami czy metodami obrony przez pryzmat już obowiązującego prawa międzynarodowego. Innymi słowy, to przede wszystkim interpretacja prawa. Ważne jest przy tym, aby pamiętać, że „talliński podręcznik” nie jest oficjalnym dokumentem NATO, a jedynie raportem niezależnych ekspertów. W żaden sposób nie można uznać go za obowiązującą doktrynę. To głos w dyskusji, która dopiero się rozpoczyna. ■

Wszystko zaczęło się 25 września 2010 roku w Iranie. Nagłej infekcji nieznanym robakiem internetowym uległo ponad 30 tysięcy komputerów; głównie windowsowych desktopów PC, choć atak objął też serwery. 28 września 2010 roku Mahmoud Jafari, kierujący budową zakładu elektrowni atomowej w Bushehr, przyznał w wywiadzie dla oficjalnej agencji prasowej IRNA (Islamic Republic News Agency), że „kilka komputerów należących do pracowników elektrowni nuklearnej w Bushehr zostało zainfekowanych wirusem”.

NA POCZĄTKU BYŁ STUXNET

Robakiem internetowym, który zaatakował komputery i serwery zawierające systemy IT wykorzystywane w energetyce, okazał się złośliwy kod o nazwie Stuxnet, po raz pierwszy rozpoznany w czerwcu 2010 roku przez mało znaną białoruską firmę bezpieczeństwa VirusBlokAda. Od tej pory zaczęły się intensywne badania nad tym zagrożeniem. Stuxnet to pierwszy malware, który został wykonany specjalnie, żeby atakować

czasowemu uszkodzeniu. W wyniku ataku irański program nuklearny został opóźniony co najmniej o pół roku.

Stuxnet był tylko pierwszym z całej rodziny podobnych malware'ów przeznaczonych do wykradania danych i niszczenia systemów przemysłowych. W październiku 2011 roku węgierska firma zajmująca się bezpieczeństwem Laboratory of Cryptography and Systems Security (CrySys) z Budapesztu wykryła inny podobny złośliwy kod, który służył głównie do wykradania danych. Duqu to pierwszy malware o charakterze uniwersalnym. To rodzaj „rakiety”, do której można przyczepiać różne moduły – „głowice”, także destrukcyjne. Wykorzystywany był do ataków na obiekty przemysłowe, a większość infekcji nastąpiła w Sudanie, Iranie, Syrii i Jemenie.

ZŁODZIEJE I KONIE TROJAŃSKIE

W kwietniu 2012 roku w komputerach irańskich koncernów paliwowych, firm przemysłowych i urzędów centralnych znaleziono nowy złośliwy kod o nazwie Flame. Pojawił się on także w przedsiębiorstwach i instytucjach w Izraelu, Syrii, Sudanie,

Zabójcze kody

Najnowsze systemy walki

z infrastrukturą militarną i cywilną wroga są tanie i niełatwo je zniszczyć, a skutki ataku nimi mogą być bardzo dotkliwe i trudne do usunięcia.

MAREK MEJSSNER

wielkie informatyczne systemy przemysłowe, działające w przedsiębiorstwach produkcyjnych bądź usługowych. Systemów tego typu, zwanych SCADA, czyli Supervisory Control And Data Acquisition (zdalny nadzór i pozyskiwanie danych), używa się w wielu miejscach – od elektrowni po instalacje wojskowe. Są one jednymi z najbardziej rozpowszechnionych globalnie rozwiązań informatycznych wykorzystywanych do nadzoru i kontroli w przemyśle i energetyce. Uszkodzenie ich oznaczało przerwanie produkcji i milionowe straty; mogło też spowodować zniszczenie urządzeń produkcyjnych.

Malware atakuje systemy SCADA i wyszukuje w nich moduły odpowiedzialnego za komunikację i zarządzanie sterownikami PLC (Programmable Logic Controller), umożliwiającymi sterowanie wysokoobrotowymi silnikami elektrycznymi, stosowanymi w wirówkach gazowych, za pomocą których wzbogaca się uran do takiego poziomu, żeby mógł być zastosowany w bombach atomowych. W wyniku ataku zostawały uszkodzone wysokoobrotowe rotory w motorach elektrycznych lub następowało zjawisko „rozbiegania”, czyli rozkręcenia ich obrotów do nieskończoności, co skutkowało zniszczeniem motoru, a następnie wirówki.

Według analityków militarnych portalu Defense News Stuxnet unieruchomił trwale 20 procent z pięciu tysięcy wirówek irańskiego programu nuklearnego, a nie wiadomo, ile uległo

Wiper
po wykradzeniu i przekazaniu danych na własny serwer C&C najpierw szyfruje je losowo, a potem usuwa wszystkie z dysku. Jego związki z Duqu, Flame'em i Stuxnetem są wyraźne: główna część kodu malware'a znajduje się w pliku o rozszerzeniu .pnf, tak samo jak w przypadku Flame'a czy Stuxnetu.

Flame
potrafi ekstrahować dane z baz danych, aplikacji, sieci i przysyłać je na różne serwery w postaci małych plików, aby wzrost ruchu sieciowego nie wywoływał alarmu. Ma moduł Bluetooth i może przez ten protokół penetrować łączone się z zaatakowaną siecią urządzenia mobilne, takie jak smartfony, notebooki lub tablety. Niezwykły jest sposób, w jaki infekuje: złośliwy kod wykorzystuje mechanizm uaktualniania automatycznego Microsoft Windows – Windows Update. Zdarzyło się, że udawał jedno z cyklicznie wypuszczanych przez Microsoft legalnych uaktualnień systemu Windows.

Stuxnet
korzysta z wielu niezalanych lub też dopiero co poznanych (tak zwane zero-day) luk w systemie Windows i kamufluje swój kod za pomocą skradzionych certyfikatów cyfrowych. Infekuje komputery poprzez załączniki do e-maili oraz sieć – wystarczy zainfekować jeden komputer i malware sam się rozprzestrzeni. Złośliwy kod może sam się uaktualniać poprzez sieć peer-to-peer, służącą zwykle do wymiany plików i muzyki między internautami. Stuxnet atakował konwertery silników elektrycznych zamontowanych w wirówkach gazowych, pracujące w częstotliwości między 807 a 1120 herców. Najpierw zmieniał częstotliwość do 1410 herców, po 27 dniach zmniejszał ją do 2 herców, a następnie nagle podnosił do 1064 herców.

Syrii, Arabii Saudyjskiej i Libanie. Najwięcej infekcji odnotowano jednak w Iranie.

Flame to bardzo wyrafinowany program przeznaczony do rozpoznawania sieci, kradzieży danych i cyberszpiegostwa. Podobnie jak Duqu, ma „głowicę” dysponującą zarówno funkcją wykradania danych z aplikacji, jak i samozniszczenia, obejmującą poza malware’em jednak także całą partycję lub dysk, na którym się znajduje. Prawdopodobnie sygnał samokasowania jest nadawany przez kontrolujących malware, kiedy już przekazane jest na wszystkie istotne informacje z zaatakowanego komputera.

W 2012 roku wykryto nowe rodzaje malware’ów, mających cechy koni trojańskich: Gauss, Wiper i miniFlame. Gauss na przykład to trojan ukierunkowany na przechwytywanie haseł i loginów wprowadzanych przez przeglądarki, danych dotyczących kont bankowych oraz sposobów logowania się do nich, „ciasteczek” używanych między innymi przez instytucje finansowe. Do końca 2012 roku zainfekował około 4,5 tysiąca komputerów, głównie na Bliskim Wschodzie – ponad 2,6 tysiąca

w Libanie, tysiąc w Izraelu, 500 w Palestynie, a resztę w Zjednoczonych Emiratach Arabskich (45 ataków odnotowano w USA, ale zwykle dotyczyły one firm mających kontrahentów na Bliskim Wschodzie). Większość z nich należała do banków i instytucji finansowych, takich jak Bank of Beirut, Blom Bank, Byblos Bank i Credit Libanais.

ZDALNE STEROWANIE

Autorzy tak wyrafinowanych i kryptologicznie zaawansowanych malware’ów długo pozostawali nieznani. 1 czerwca 2012 roku „The Times” ujawnił jednak, że Flame – podobnie jak Stuxnet – został skonstruowany przez rządowych, prawdopodobnie wojskowych programistów z USA oraz Izraela i jest częścią projektu sparaliżowania programu nuklearnego Iranu noszącego kodową nazwę „Olympic Games”. Podano, że zgodę na cyberatak na Iran wydał osobiście sam prezydent USA Barack Obama. Według CNN Wiper i Gauss powstały w wyniku rozwinięcia tej operacji, mającego na celu wykrycie powiązań ugrupowań terrorystycznych między sobą i ewentualnymi irańskimi mocodawcami, zablokowanie ich finansowania oraz wywołanie chaosu poprzez „zniszczenie ich infrastruktury komunikacyjnej” i systemu planowania. Biały Dom, chociaż ogłosił ogólne dementi na ten temat, nie odniósł się szczegółowo do wiadomości przekazanych przez CNN i „The Times”.

Ekspert zajmujący się sprawami bezpieczeństwa uważają, że rodzina robaków internetowych powstała albo na zlecenie rządów USA i Izraela, albo jest samodzielnym dziełem izraelskich programistów, którym wsparcia udzielili amerykańscy informatycy wojskowi.

Według „The New York Timesa” malware najpierw miał jak najbardziej opóźnić irański program atomowy, co umożliwiłoby odłożenie decyzji o ewentualnym ataku zbrojnym na Iran, i poprzez zniszczenie kluczowych systemów branży petrochemicznej spowodować złagodzenie stanowiska tego kraju w stosunkach z Zachodem. Później pojawił się też nowy cel – osłabienie ugrupowań terrorystycznych na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza podejrzewanych o związki z Iranem. Nie do końca udało się osiągnąć te cele, ponieważ internet ma strukturę rozproszoną i część malware’a trafiła do USA, Chin, Rosji i krajów Azji.

Tom Parker, dyrektor do spraw konsultingu bezpieczeństwa IT w agencji konsultingu informatycznego Securicon, obliczył szacunkowy koszt ataku z użyciem całej rodziny robaków (Stuxnet, Duqu, Flame, Wiper, Gauss, miniFlame) na około 15 milionów dolarów amerykańskich. W porównaniu z ewentualnymi korzyściami to niewiele. Pojawili się już jednak naśladowcy, i to po przeciwnej stronie barykady (w drugiej połowie 2012 roku odkryto malware’y „znikąd” – Shamoon i Mahdi). ■

Duqu ma moduł komunikacji z centrum zarządzania i kontroli (serwer C&C) oraz keylogger, który wykrywa znaki wpisane na klawiaturze, żeby odgadnąć hasła lub loginy. Może pełnić funkcję zarówno trojana – programu wykradającego dane – jak i malware’a destrukcyjnego. Można go jednak zdalnie skonfigurować do nowych zadań, jeśli tylko istnieje możliwość połączenia z serwerem C&C.

Gauss zawiera „głowicę” umożliwiającą rozprzestrzenienie się trojana w komputerach odciętych od sieci, tak jak w przypadku Flame’a. Zawiera też podobne procedury destrukcyjne, obejmujące cały dysk, na którym znajduje się malware.

MiniFlame to malware odkrywający luki w systemach operacyjnych i aplikacjach. Jest rodzajem wytrycha, umożliwiającego wejście do systemu operacyjnego czy aplikacji innym odmianom złośliwego kodu. Według ekspertów z Kaspersky Lab najpowszechniejsza jest wersja miniFlame 4.50, działająca głównie w Libanie i Palestynie.



Przed reformą
aż 60 procent
jednostek wojsk
lądowych zaliczono
do sił ciężkich.

TADEUSZ WRÓBEL

We Włoszech rozpoczęła się zapowiadana restrukturyzacja wojsk lądowych, która potrwa do 2016 roku.

MACHINA ZMIAN

Rząd włoski podjął decyzję o zmniejszeniu liczebności sił zbrojnych o 30 tysięcy żołnierzy. Największe cięcia nastąpią w wojskach lądowych. W związku z tym konieczna jest restrukturyzacja tego rodzaju sił zbrojnych. Włosi zamierzają też ograniczyć liczbę ciężkich jednostek na rzecz lekkich i średnich.

MNIEJ BRYGAD I KOSZAR

„W 2024 roku armia będzie liczyć 90 tysięcy żołnierzy [redukcja z 112 tysięcy – przyp. autora], z których 63 tysiące to komponent operacyjny”, powiedział generał porucznik Claudio Graziano, szef sztabu włoskich wojsk lądowych, w wywiadzie

dla portalu Defense News. Kilka miesięcy wcześniej mówił o 65 tysiącach. Generał dodał, że 30 tysięcy żołnierzy to muszą być młodzi ludzie, by mogli służyć w jednostkach lekkiej piechoty i wojskach specjalnych. Starsi żołnierze zostaną wykorzystani do innych zadań, takich, które nie wymagają bardzo wysokiej sprawności fizycznej. Jednocześnie zmieniono kryteria jej sprawdzania i trzeba na egzaminie przebiec trzy kilometry, a nie, jak dotąd – dwa. „Aby pozostać w służbie, żołnierze muszą przebiec dłuższy dystans i z większym obciążeniem”, podkreślił generał Graziano.

W wyniku reformy personel dowództwa wojsk lądowych ma być zredukowany o 30 procent. Przed zmianami sztabowi armii



➔ Minibrygady

Trzy z pięciu brygad podległych 2 Dowództwu Sił Obrony, przeznaczonych do obrony terytorium kraju, są znacznie słabsze niż jednostki, które przewidziano do działań ekspedycyjnych. Likwidowana Brygada „Granatieri di Sardegna” jest najmniejszą z włoskich brygad manewrowych. Jednostka ta ma zaledwie trzy pułki: grenadierów, kawalerii i artylerii. Jej dowództwo i część jednostek stacjonują w stolicy, gdzie pełnią funkcje reprezentacyjne. Słaba jest też BZ „Sassami”, której większość jednostek znajduje się na Sardynii. Poza trzema pułkami piechoty ma ona tylko pułk saperów. W skład BZ „Pinerolo” wchodzi natomiast jeszcze jednostka artylerii. Obie brygady nie mają pułków kawalerii.

wane dowództwo tej drugiej. Likwidacja brygad nie oznacza rozwiązania podporządkowanych im dziś pułków. Według zapowiedzi generała Graziano będą one przydzielone do innych brygad, bowiem po analizie doświadczeń własnych oraz sojuszników włoscy wojskowi doszli do wniosku, że brygada manewrowa powinna mieć pułk kawalerii.

Reforma ma obniżyć koszty utrzymania armii oraz doprowadzić do zmiany struktury budżetu. W wystąpieniu przed komisją obrony senatu w maju 2012 roku szef sztabu armii podał, że aż 70 procent budżetu pochłaniają koszty osobowe, na inwestycje przeznaczają się 18 procent, a resztę na szkolenie. W 2024 roku, po restrukturyzacji, wydatki personalne mają stanowić tylko połowę budżetu, reszta zostanie równo podzielona na szkolenie i inwestycje.

PRZECIĄŻONA ARMIA

Przed reformą aż 60 procent jednostek wojsk lądowych zaliczono do sił ciężkich. Komponent lekki stanowił 30 procent, a resztę – średni. Po restrukturyzacji siły ciężkie to będzie zaledwie jedna piąta wojsk lądowych, a lekkie i średnie – po dwie piąte. W związku z tym Włosi rezygnują z części czołgów podstawowych Ariete (redukcja z 200 do 150), przy czym przed kilkoma miesiącami generał Graziano mówił, że tylko 120 z nich jest w jednostkach operacyjnych. Dlatego 50 sztuk Ariete zostanie w tym roku zmodernizowanych, żeby zwiększyć ich zdolności operacyjne. Przewiduje się też podniesienie poziomu ochrony oraz zdolności ISTAR (Intelligence, Surveillance, Target Acquisition and Reconnaissance, czyli wywiad, obserwacja, identyfikacja celów i rozpoznanie). Później, jeśli będą pieniądze, zmodernizowane zostaną też kolejne wozy. Zmniejszenie liczby czołgów Ariete spowoduje redukcję ich pułków z czterech do trzech.

Armia włoska ma też osiem pułków kawalerii wyposażonych w ośmiokołowe wozy Centauro B1 ze 105-milimetrową ➔

były podporządkowane cztery dowództwa – logistyki, szkolenia, stolicy i operacyjne oraz inspektorat infrastruktury. Od 1 stycznia 2013 roku w Cecchignola koło Rzymu rozpoczęło funkcjonowanie dowództwo szkolenia, specjalizacji i doktryny wojsk lądowych (Comando per la Formazione, Specializzazione e Dottrina dell’Esercito, COMFORDOT).

W przyszłości we Włoszech zostaną zachowane dowództwa korpusu (wielonarodowe) i dywizji oraz będzie dziewięć brygad manewrowych. Już wcześniej zapowiedziano, że znikną dwie z 11 brygad. Szef sztabu włoskiej armii podał, że przestaną istnieć brygady Kawalerii „Pozzuolo del Friuli” i Zmechanizowana „Granatieri di Sardegna”, przy czym zostanie zacho-

WŁOSKA ARMIA MA PROBLEM Z POLIGONAMI, ZWŁASZCZA ICH WIELKOŚCIĄ.

Największy, **Capo Teulada** na południu Sardynii, ma około 72 kilometrów kwadratowych, a drugi pod względem powierzchni, **Monte Romano** – 46 kilometrów kwadratowych. Dwa następne, uznawane za kluczowe, **Cellina-Meduna** i **Torre Veneri**, mają odpowiednio 34,7 i 6,85 kilometra kwadratowego. Dlatego Włosi korzystają z poligonów zagranicznych. Kiedyś ćwiczyli też w Polsce.



armatą. O wiele większe ciężca niż w siłach pancernych, bo aż 70-procentowe, przewidziane są w artylerii – z 500 systemów pozostanie 140.

Rozbudowa sił średnich jest ściśle związana z programem kołowego bojowego wozu piechoty Freccia, w którego konstrukcji wykorzystano Centaura. W 2006 roku włoska armia zamówiła 249 pojazdów, ponieważ planowała przebroić w nie pułki piechoty trzech brygad – „Aosta”, „Pinerolo” i „Sassari”. Większość z wozów – 172 – miała być w podstawowej wersji bojowej z wieżą Oto Melara Hitfist 25, uzbrojoną w armatę KBA BO2 kalibru 25/80 milimetrów i sprzężony karabin maszynowy (drugi na stropie wieży). Kolejnych 36 egzemplarzy w wersji przeciwpancernej miało mieć dodatkowo wyrzutnie z dwoma izraelskimi pociskami Spike LR (w planach jest uzbrojenie w nie gąsienicowych bewupów Dardo i lekkich wozów Lince) i celownik panoramiczny Janus.

Zamówiono też 20 wozów Freccia w wersji dowódczej i 21 ze 120-milimetrowym moździerzem TDA 2R2M. Ich produkcja ruszyła w 2008 roku. Według przyjętego wówczas harmonogramu dostawy bwp Freccia miały zakończyć się w przyszłym roku. Trwają dostawy pierwszej partii 54 sztuk, w tym 50 bojowych, dwóch dowódczych oraz po jednym przeciwpancernym i samobieżnym moździerzu. Są pieniądze na 109 następnych – 61 bojowych, 24 przeciwpancernych oraz po tuzinie dowódczych i z moździerzem. W lipcu 2012 roku na portalu Defense News pojawiła się informacja, że termin dostaw wozów Freccia zostanie wydłużony do 2016 roku. Później, jeśli program przebrojenia w te pojazdy trzech brygad zostanie podtrzymany, konieczne będzie kolejne zamówienie.

Równoległe z wprowadzaniem nowego sprzętu pancernego Włosi modernizują już posiadany. I tak w lekkich pojazdach opancerzonych LMV Lince obrotnice zastępowane są zdalnie sterowanym systemem wieżowym. Generał Graziano nie skrywa, że najlepiej byłoby wyposażyć w nie wszystkie wozy, ale dobrze będzie, jeśli uda się to zrobić z połową z nich. Do końca tego roku Włosi chcą mieć w Afganistanie sto Lince'ów z wieżami.

SIŁA AEROMOBILNYCH

W wyniku cięć budżetu obronnego realizacja zamówienia na śmigłowce NH-90 (także dla marynarki wojennej) potrwa do 2021 roku, czyli trzy lata dłużej niż zakładano. Włosi planują

też wprowadzić do lotnictwa wojsk lądowych całkowicie nowe śmigłowce wielozadaniowe. Chcą, żeby jeszcze w tym roku ich kontyngent w Afganistanie miał szturmowe śmigłowce AW 129 Mangusta uzbrojone w pociski Spike, które zastąpią system TOW. Przyspieszono więc modernizację tych maszyn (zamiast w 2017 zostanie ona dokonana w 2014 roku), która poza zmianą uzbrojenia obejmuje nowy system celowania Toplite.

Gdy generał Graziano przed kilkoma miesiącami wystąpił przed senatorami, mówił, że przez najbliższych dziesięć lat wojsko będzie potrzebować 48 śmigłowców szturmowych (Włosi mają 59 Mangust). Zapowiedział też wówczas modernizację transportowych CH-47 Chinook do wersji „F”, co jest niezbędne ze względu na potrzeby wojsk specjalnych. Priorytetem jest zakup nie tylko śmigłowców, lecz także bezałogowych samolotów różnych klas.

Przed kilkoma miesiącami we włoskich mediach pojawiła się informacja, że w armii może zostać utworzone dowództwo wojsk specjalnych (szczebla brygady), któremu będą podporządkowane między innymi dwie jednostki Brygady Spadochronowej „Folgore” – 9 Szturmowy Pułk Spadochronowy „Col Moschin” oraz 185 Pułk Spadochronowy Rozpoznania i Identyfikacji Celów. To wywołało spekulacje, że może zostać ona połączona z Brygadą Aeromobilną „Friuli”, które się jednak nie potwierdziły.

„Folgore” przejęła natomiast w marcu 2013 roku 3 Pułk Kawalerii „Savoia Cavalleria”, który dotąd znajdował się w brygadzie aeromobilnej. Włoscy spadochroniarze odzyskali też artylerię – 184 Pułk Artylerii Spadochronowej „Nembo”, uzbrojony w 120-milimetrowe moździerze. Generał Graziano w wywiadzie w Defense News powiedział, że Friuli zostanie podporządkowany Pułk Lagunari „Serenissima”. W jej skład wejdą jeszcze inne jednostki rozformowywanej brygady kawalerii – 3 Pułk Saperów i 1 Pułk Artylerii Konnej. Częścią brygady stanie się też 6 Pułk Transportowy przemianowany na brygadowy pułk logistyczny.

Przed kilkoma miesiącami generał Graziano mówił, że restrukturyzacja wojsk lądowych potrwa do 2016 roku. Nie wykluczył jednak, że w jej trakcie zostaną dokonane korekty wcześniejszych planów. Co ważne, przyjęto założenie, by przy mniejszej liczbie brygad zachować istniejące pułki manewrowe, piechoty i kawalerii, kosztem zmniejszenia liczby jednostek dowodzenia i wsparcia bojowego. ■

7- 8 maja 2013

Centrum Konferencyjno-Wystawiennicze MTŁ
Łódź, al. Politechniki 4



KONGRES

WOJSKO POLSKIE
SZANSĄ DLA PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

- Konferencja naukowo - biznesowa
Wojsko Polskie – Gospodarka – Świat
- Targi Logistyczne
- Wystawy i pokazy wojskowe



Zgłoszenie udziału odbywa się poprzez wypełnienie formularza dostępnego na stronie:

www.kwatermistrzostwo.com

Dodatkowe informacje 42 638 64 63

Organizatorzy kongresu



Fundacja
Surei No Mon

Patroni Honorowi



Patroni Medialni



Partnerzy



Sponsorzy



| II WOJNA ŚWIATOWA |

OBÓZ

D L A V I P - Ó W

Była to największa zbiorowa ucieczka
niemieckich jeńców na Wyspach Brytyjskich.



T A D E U S Z W R Ó B E L

A black and white photograph showing the silhouette of a soldier in profile, wearing a helmet and holding a rifle. The soldier is positioned behind several strands of barbed wire. A thick wooden post is visible to the right of the soldier. The background is a light, overcast sky.

**BRYTYJSKA ZAŁOGA
OBOZU LICZYŁA
MNIJE NIŻ 150
LUDZI. JEŃCOM
UDAŁO SIĘ ZATEM
BEZ PROBLEMU
UKRYĆ SWE
PRACĘ PRZED
STRAŻNIKAMI**

U.S. NATIONAL ARCHIVES



OBÓZ DLA VIP-ÓW

Wtrakcie II wojny światowej na Wyspy Brytyjskie trafiło ponad 400 tysięcy niemieckich jeńców wojennych. Byli oni przetrzymywani w obozach i szpitalach na terytorium Zjednoczonego Królestwa. Ze względu na osoby, które tam trafiały, najbardziej znany jest obóz w Island Farm na przedmieściach wschodniowalijskiego miasta Bridgend. Głośno też było o wielkiej ucieczce tamtejszych jeńców.

DWA TUNELE

Na początku 1944 roku w ramach przygotowań do inwazji we Francji Brytyjczycy zaczęli planować nowe obozy dla niemieckich jeńców. Jedną z wybranych lokalizacji była Island Farm. Na obóz dla szeregowych i podoficerów przeznaczono zbudowane w końcu lat trzydziestych XX wieku baraki, które miały być kwaterami dla kobiet zatrudnionych w Royal Ordnance Factory, zakładzie produkującym amunicję dla Królewskiej Marynarki Wojennej w Bridgend. Panie wołały jednak dojeżdżać do pracy, niż tam mieszkać. W 1943 roku puste baraki na jakiś czas stały się koszarami dla przybywających na Wyspy Brytyjskie żołnierzy 28 Dywizji Piechoty US Army.

Pewien czas później stojące na otwartej przestrzeni baraki w Island Farm otoczono drutem kolczastym i powstał w nich Obóz 198. Jego komendantem został podpułkownik Darling. Pierwsi jeńcy, Niemcy i Włosi zatrudnieni na walijskich farmach, trafili tam jeszcze przed zakończeniem wszystkich prac.

Docelowo obóz miał pomieścić dwa tysiące więźniów, podoficerów i szeregowych. Brytyjskie War Office uznało jednak, że warunki w Island Farm są zbyt komfortowe dla jeńców niskich stopni. Zapadła zatem decyzja, że będzie to obóz oficerski, odpowiednik niemieckiego oflagu. Po wzmocnieniu jego ochrony – potrójne ogrodzenie o długości 1,6 kilometra z dziesięcioma strażnicami – pierwsi oficerowie zostali tam przywiezieni w listopadzie 1944 roku.

Niemiecy jeńcy próbowali uciekać z niewoli. Pierwszy tunel w Obozie 198 brytyjscy strażnicy odkryli w baraku 16. w styczniu 1945 roku. Podpułkownik Darling, który sam w przeszłości był jeńcem i wiedział, jak przygotowywane są ucieczki, uważał, że gdzieś musi być kopany drugi.

W tym czasie brytyjska załoga obozu liczyła mniej niż 150 ludzi, w tym 90 w kompanii wartowniczej. Jeńcom udało się zatem bez problemu ukryć swe prace przed strażnikami. Wejście do drugiego tunelu ulokowali w baraku numer 9. Po trzech miesiącach prac miał on 2,7-metrowy szyb, długość od 18,6 do 21 metrów i szerokość 90 na 90 centyme-

trów. Wyście z tunelu znajdowało się tuż za obozowym ogrodzeniem.

Niemal rok po wielkiej ucieczce alianckich żołnierzy przetrzymywanych w Stalagu Luft III w Żaganiu jeńcy niemieccy dokonali podobnego wyczynu. W nocy z 10 na 11 marca 1945 roku z Obozu 198 tunelem uciekło od 67 do 84 Niemców (w zależności od źródeł). Peter Philips w książce „The German Great Escape” podał, że z Obozu 198 wydostało się 84 Niemców. Według niego brytyjskie władze z powodów propagandowych podały mniejszą liczbę zbiegów (z Żagania uciekło 76 jeńców) i nie uwzględniły 14, których złapano w pobliżu obozu. Później te dane jeszcze zweryfikowali i mówili o 67 zbiegach (prawdopodobnie nie chcieli przyznać, że trzech Niemców nie udało się złapać).

Niezależnie od powyższych liczb była to największa zbiorowa ucieczka niemieckich jeńców na Wyspach Brytyjskich. W grupie zbiegów było między innymi 27 esesmanów i 11 oficerów Luftwaffe. Z Island Farm wymknęło się też kilku marynarzy. Resztę stanowili żołnierze Wehrmachtu. Podzieleni na niewielkie grupki uciekinierzy mieli mapy, domowej roboty kompas i podrobione dokumenty.

Jedną z trudności, które mieli do pokonania Niemcy, były psy wartownicze biegające między płotami z drutu kolczastego. By nie wyczuły ich zapachu po opuszczeniu tunelu, przy ogrodzeniu, w miejscu, gdzie po drugiej jego stronie było wyjście, jeńcy rozsykali curry.

OBLAWA

Brytyjczycy rozpoczęli wielką oblławę, w której uczestniczyli żołnierze Home Guard, policjanci oraz cywile. Część ze zbiegów zatrzymano w promieniu zaledwie kilku kilometrów od obozu. Według artykułu w gazecie „Daily Express” z 12 marca 1945 roku w noc tuż po ucieczce i ranniem tego dnia złapano 28 Niemców. Bardzo szybko znaleziono też kolejnych. Najdalej niemieckim jeńcom udało się dotrzeć do Birmingham i Southampton, miast odległych o 175–190 kilometrów o Island Farm.

Wszyscy schwytni Niemcy wrócili od obozu. W odróżnieniu od alianckich jeńców ze Stalagu Luft III i Polaków z Oflagu VI B w Doessel (20 września 1943 roku uciekło ich 47), z których większość po złapaniu zamordowano, oficjalnie nie spotkały ich żadne kary, podobno z obawy przed hitlerowskim odwetem na więzionych w Niemczech Brytyjczykach. Jednocześnie załogom obozów jenieckich wydano nowe instrukcje, żeby utrudnić przygotowania do ewentualnych kolejnych ucieczek. Zalecono między innymi organi-



Doborowe towarzystwo

Najznamienitszymi z przetrzymywanych w Specjalnym Obozie 11 Niemców byli czterej marszałkowie polni: Gerd von Rundstedt (na zdjęciu w środku), Erich von Manstein, Walther von Brauchitsch i Paul Ludwig Ewald von Kleist. Inne znaczące postacie, które zostały tam ulokowane, to między innymi generał pułkownik Heinrich von Vietinghoff (w latach 1943–1945 dowodził 10 Armią we Włoszech), generał pułkownik Gotthard von Heinrici (dowódca broniącej Berlina Grupy Armii „Wisła”), generałowie wojsk pancernych Hasso Eccard von Manteuffel i Fridolin von Senger und Etterlin, a także generał piechoty Günther von Blumentritt. Do Island Farm przewieziono również związanego z programem budowy rakiet generała majora Roberta Dornbergera i kontradmirała Hansa-Ericha Vossa dowodzącego kampanią U-bootów na Atlantyku. W Island Farm znalazł się też najbardziej pechowy z niemieckich generałów, który jako pierwszy z nich dostał się podczas wojny do niewoli. Generał porucznik Johann von Ravenstein, dowódca 21 Dywizji Pancerniej, został schwytany przez nowozelandzkich żołnierzy 29 listopada 1941 roku w rejonie Tobruku, gdy jechał na spotkanie sztabowe w kwaterze głównej Afrikakorps.



zowanie sporadycznych i nieregularnych apeli, na które musieli stawiać się wszyscy jeńcy. Strażnicy mieli też dokładniej przeszukiwać baraki i obserwować teren wokół nich, czy nie pojawiła się tam mająca inny odcień ziemia z tuneli. Nakazano też umieścić w barakach tablice inwentaryzacyjne, by zapobiec niewłaściwemu wykorzystywaniu przez przetrzymywanych stołów, krzeseł i łóżek.

SZCZEGÓLNI WIEŹNIOWIE

Zaledwie trzy tygodnie po spektakularnej ucieczce, 31 marca 1945 roku, ostatni z przetrzymywanych w Island Farm oficerów zostali przetransportowani do Obozu 181 w Carburton w Anglii. Według artykułu w „Sunday Times” z 18 marca 1945 roku było tam wówczas 2,3 tysiąca Niemców, w tym 600 niebędących oficerami. Na poświęconej Island Farm stronie internetowej mówi się natomiast o 1634 oficerach.

Kilka miesięcy później na terenie byłego Obozu 198 powstało miejsce odosobnienia dla najwyższych rangą niemieckich dowódców, których alianci wzięli do niewoli. Formalnie Specjalny Obóz 11 utworzono 17 listopada 1945 roku, ale pierwszych jeńców przywieziono tam dopiero 6 stycznia 1946 roku. W końcu czerwca tego roku było ich

162. Początkowo przetrzymywano tam tylko oficerów, ale później także żołnierzy niższych stopniem.

Specjalny Obóz 11 był przeznaczony dla kilku grup jeńców. Jedną to oficerowie, których Brytyjczycy podejrzewali o popełnienie zbrodni wojennych. Do Island Farm trafiali też Niemcy, których ekstradycji za podobne czyny domagały się inne kraje. Więziono tam również tych, którzy mogli być ważnymi świadkami w przygotowywanych procesach przywódców III Rzeszy.

Niektórych przetrzymywanych w Island Farm Niemców wożono na procesy w Norymberdze, gdzie zeznawali jako świadkowie, a później wracali oni do obozu. Inni zostali przekazani państwu trzecim, jak marszałek Von Kleist Związkowi Radzieckiemu. Generał SS Hermann Behrends trafił do Jugosławii, gdzie skazano go na karę śmierci i rozstrzelano 4 grudnia 1948 roku w Belgradzie. Część oficerów stanęła przed sądami alianckimi. Choć początkowo skazani byli na długoletnie więzienie, zakończyli odbywanie kar w latach pięćdziesiątych XX wieku. Inni niemieccy wojskowi ze Specjalnego Obozu 11 mieli więcej szczęścia – nie postawiono im zarzutów lub zrezygnowano z procesów ze względu na ich stan zdrowia. Mogli więc wrócić do kraju. Ostatnich 76 jeńców opuściło obóz w maju 1948 roku. ■

Majowa jutrzienka

Nie dane nam było świętowanie majowej rocznicy w czasach niewoli. Teraz, kiedy Polska ustaliła swe niepodległe granice, przyszedł czas triumfu i radości.

ANNA DĄBROWSKA

Tradycyjnym zwyczajem święciła cała Polska w uroczysty sposób pamiątkę wiekopomnego dnia sprzed lat 132, który jest dla całego świata świadectwem wielkiego rozumu politycznego naszych praojców”, pisał w 1923 roku dziennikarz „Polski Zbrojnej”. 3 maja tego roku zbiegły się trzy ważne uroczystości – rocznica uchwalenia konstytucji, odsłonięcie w Warszawie pomnika księcia Józefa Poniatowskiego oraz wizyta francuskiego marszałka Ferdynanda Focha.

MARSZAŁEK DWÓCH ARMII

„Polska zawdzięcza swoją wolność Francji, dlatego wita Cię dzisiaj, jako przedstawiciela armii francuskiej,

z wdzięcznością i radością”, tak w Belwederze prezydent Stanisław Wojciechowski rozpoczął uroczystość odznaczenia marszałka Focha Krzyżem Wielkim Orderu Virtuti Militari. Z kolei Józef Piłsudski, przewodniczący kapituły nadającej Virtuti Militari, podkreślił, że Krzyż Wielki przyznaje się tylko wodzom, którzy wygrali wojnę. „W dziejach wojskowości nie ma zaś wydarzeń wojennych w takim rozmiarze jak te, którymi kierowałeś”, mówił marszałkowi Fochowi.

W południe politycy i żołnierze przemieśli się na plac Saski, pod odsłaniany właśnie pomnik księcia Józefa. „Wojsko nasze było tam kośćcem całej uroczystości i dumne być może, że dodało jej blasku swoją dziarską postawą”, relacjonowała wojskowa gazeta.

Dziennik podał, że na placu zgromadziły się 43 sztandary pułkowe, obok stanęli ułani przebrani w historyczne mundury z czasów księcia Józefa wypożyczone z muzeum wojska. Po odsłonięciu



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

MPITAVAL

Szpiegowska afera

Oficer czeski przyjechał do Polski z tajnym zadaniem.

Major Jan Hładysz, oficer sztabu generalnego armii czechosłowackiej, został skierowany do Polski z dwiema misjami. Oficjalnie miał zająć w Warszawie stanowisko pomocnika attaché wojskowego swojego kraju. Dostał jednak do

spełnienia też drugie, szpiegowskie zadanie. Nie zdążył się jeszcze dobrze w naszej stolicy zagospodarować, a już zaczął szukać w dowództwach, sztabach i urzędach kontaktów, dzięki którym mógłby zdobywać potrzebne mu informacje.

Na przedświątecznym spotkaniu w urzędzie ministra spraw wojskowych poznał majorów Mariana Tabora i Józefa Hossego. Panowie znaleźli wspólny temat do rozmowy. Okazało się, że pasją wszystkich trzech były polowania. Zimą wielokrotnie wyjeżdżali razem do podwarszawskich lasów, żeby postrzelać.

Nie wiadomo, kiedy niewinna znajomość przekształciła się w szpiegowskie kontakty. W każdym razie polscy majorowie zaczęli dostarczać Czechowi robione potajemnie kopie dokumentów wojskowych. Miały one, jak podkreślano potem w sądzie, wielkie strategiczne

monumentu generał dywizji Kazimierz Sosnkowski, minister spraw wojskowych, ślubował, że armia będzie wierna drodze, jaką obrał Poniatowski. „Słowa te wpiszą sobie nasze pułki za dewizę, z którą pójdą w dalszy trud i znoj”.

NAJSILNIEJSZA TARCZA

O pomniku nie zapomniano cztery lata później – 3 maja 1927 roku 1 Pułk Szwoleżerów wystawił przy nim wartość honorową. „Przechodzący żołnierze winni oddawać mu ukłon wojskowy”, pouczała „Polska Zbrojna”. Dodawała też, że majowe święto będzie uczczone przez stolicę w sposób szczególnie dostojny. Odprawione zostaną nabożeństwa w katedrze świętego Jana i w cerkwi prawosławnej na Pradze oraz odbędzie się defilada wojsk stołecznych na Krakowskim Przedmieściu. „Oficerowie nie biorący udziału w niej mogą być w płaszczach, ale przy szablach”. Potem zaplanowano przedstawienie dla wojska w Teatrze Polskim oraz akademię w oficerskim kasynie garnizonowym.

Na ulicach Warszawy komitet zbierający pieniądze na cele oświatowe rozstał stoiszka z przedmiotami codziennego użytku, które można było wygrać na loterii. Z kolei w Alejach Ujazdowskich wyrósł las kiosków z towarami sprzedawanymi przez stołecznych wytwórców oraz rozstawiono pijalnie mleka i wód mineralnych. Dzień miał się zakończyć rautem na Zamku Królewskim w pięknej sali ansamblowej.

Wojskowy dziennik postanowił z okazji 3 maja przypomnieć fragment pierwszej konstytucji, uchwalonej przez Sejm Czteroletni w 1791 roku, a dotyczący armii i obronności. „Wojsko winno naro-

dowi strzeżenie granic i spokojności powszechniej, słowem winno być jego najsilniejsza tarczą. Naród winien wojsku swemu nagrodę i poważanie za to, iż się poświęca jedynie dla jego obrony”.

Następnego dnia w „Polsce Zbrojnej” ukazała się relacja ze świątecznej defilady. Opisywano, że na placu Zamkowym zgromadziły się baony piechoty, dyony kawalerii i artylerii. Wszystkie, oprócz artylerii, z chorągiewkami i orkiestrami, w hełmach i w pełnym rynsztunku.

Wreszcie żołnierze ruszyli Krakowskim Przedmieściem. Za nimi szli hallerczycy, dowborczycy, powstańcy śląscy, weterani 1863 roku, a następnie podążały organizacje społeczne i młodzieżowe. „Defilada obudziła powszechny zachwyt, wywołując na ulicach Warszawy ustawiczne okrzyki na cześć wojska”, podawał porucznik Jan Orłowski.

Trudno było jednak to porównać z entuzjazmem, jaki wywołała w 1932 roku majowa parada na Polu Mokotowskim. Przygotowania do niej trwały kilka tygodni. Sama budowa trybuny, długiej na 100 metrów i wyposażonej w pięć kondygnacji, zajęła inżynierom w mundurach i saperom siedem dni.

„Wpatrzona w zda się nieskończony szereg defilujących oddziałów ludność Warszawy zanosła się z radości i zachwytu niemilknięcymi okrzykami, wiatując na cześć armii, dumna, iż naród nasz oparł swą wolność na tym fundamencie żelaznym, jakim jest nasze wojsko”, zachwycał się korespondent PZ.

Największą radość wzbudziła kawaleria i artyleria konna. Jak podkreślał wojskowy dziennik, 14 tysięcy żołnierzy korpusu warszawskiego zdało swój egzamin w trakcie parady. ■

znaczenie dla ochrony państwa polskiego. Żołnierze za swoją współpracę byli sownie wynagradzani.

Innym kontaktem Czecha stał się kapitan Ignacy Zwiarowski ze Sztabu Generalnego. Jego zadaniem było pozna-

**POLSCY MAJOROWIE
ZACZĘLI DOSTARCZAĆ
CZECHOWI ROBIONE
POTAJEMNIE KOPIE
DOKUMENTÓW
WOJSKOWYCH**

wanie Hładysza z wpływowymi ludźmi w naszej armii. Potem szpieg za pieniądze wydobywał od nich rozkazy i dokumenty wojskowe. „Wciągał w ten sposób w zbrodniczą robotę oficerów armii polskiej”, podkreślał prokurator.

Po ponad roku działalności Hładysz został zdekonspirowany i aresztowany. Zanim jednak zdążył stanąć przed sądem, uciekł z aresztu. Okazało się, że zapłacił 50 tysięcy koron czeskich Karolowi Wojtanowi, przodownikowi policji, który zostawił mu w celi klucz do krat.

Sprawiedliwości nie uniknęła natomiast narzeczona Hładysza Anna Kor-



MAJOR TADEUSZ MACHALSKI, OFICER SZTABU GENERALNEGO:

W historii wojen niemal nigdy nie decydowała o zwycięstwie wyłącznie przewaga liczebna, lecz prawie zawsze zjawienie się epokowego wodza, jak Hannibal czy Napoleon, lub wprowadzenie jakichś nowych narzędzi wojny albo nowego systemu walki nieznanego przeciwnikowi. Dlatego teraz naszą jest to rzeczą, oficerów Sztabu Generalnego, wyteńczyć umysł nad ustaleniem nowych warunków walki i pracować nad stworzeniem realnych podstaw do wprowadzenia ich w czyn. }



Rozpowszechniajcie „Polskę Zbrojną”

Ogłoszenia retro: lipiec 1924 roku

cyk. Przez krakowski sąd karny została skazana na rok więzienia za pomoc oficerowi. Przechowywała ona i przewoziła do Czech jego materiały i korespondencję szpiegowską. W trakcie rozprawy okazało się też, że to właśnie przez jej nieuwagę cała afera wyszła na jaw. Kolejna rozprawa, przeciwko polskiemu oficerom, odbyła się przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Krakowie. Zeznawało 40 świadków. Po ponadmiesięcznej pracy sądu obu majorów i kapitana skazano na 15 lat ciężkiego więzienia, zdegradowano i wydalono z armii. ■



V DNI HISTORYKA WOJSKOWOŚCI

10 - 12 V 2013

W MUZEUM TECHNIKI I MILITARIÓW W RZESZOWIE

10 V 2013

CZAS: ROZPOCZĘCIE O GODZ. 10:00
LOKALIZACJA: UNIwersYTET RZESZOWSKI
 UL. REJTANA 16C.

DZIEŃ UNIwersYTECKI: WYKŁADY I SPOTKANIA
 Z PRELEGENTAMI I SPECJALISTAMI
 Z DZIEDZINY WOJSKA I HISTORII WOJSKOWOŚCI.

11 V 2013

LOKALIZACJA: MUZEUM TECHNIKI I MILITARIÓW
 W RZESZOWIE
 UL. KOCHANOWSKIEGO 19 (MAPKA).

- 10:00** ROZPOCZĘCIE „V DNI HISTORYKA WOJSKOWOŚCI”
NA TERENIE MUZEUM
- 12:00** PARADA GRUP REKONSTRUKCYJNYCH I SPRZĘTU WOJSKOWEGO ULICAMI MIASTA:
KOCHANOWSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA, CIEPLIŃSKIEGO, LISA-KULI, ZAMKOWA,
3-GO MAJA, PLAC FARNY.
- 13:00** UROCZYSTE OTWARCIE IMPREZY PRZEZ ORGANIZATORÓW I WŁADZE MIASTA
NA PLACU FARNYM.
- 14:00** POWRÓT PARADY. CZĘŚĆ GŁÓWNA IMPREZY. PREZENTACJA GRUP REKONSTRUKCYJNYCH.
DO
- 18:00** MUZEUM TECHNIKI I MILITARIÓW W RZESZOWIE (MAPKA).

12 V 2013

CZAS: OD 10:00 DO 16:00

LOKALIZACJA: MUZEUM TECHNIKI I MILITARIÓW W RZESZOWIE UL. KOCHANOWSKIEGO 19 (MAPKA)

**POKAZY GRUP REKONSTRUKCYJNYCH A DODATKOWO PREZENTACJA SPRZĘTU I TAKTYKI WOJSKOWEJ
 I BATALIONU STRZELCÓW PODCHAŁAŃSKICH Z RZESZOWA.
 TAKŻE NAJMŁODSI ZNAJDĄ TU COŚ DLA SIEBIE. W SOBOTĘ I NIEDZIELĘ ODBĘDZIE SIĘ DLA NICH
 WIELE GIER, ZABAW I KONKURSÓW Z NAGRODAMI!!!
 SERDECZNIE ZAPRASZAMY!**



PATRONAT HONOROWY:



PATRONAT MEDIALNY:



SPONSORZY:



PARTNERZY:



| Z ALBUMU RODZINNEGO |



Stefan Radomski
w 1936 roku ukończył
szkołę podoficerską.

*Świadectwo ukończenia Szkoły
Podoficerskiej 9 Pułku
Artylerii Lekkiej w Siedlcach*



Kazimierz
Ciosek
i Franciszek
Sikorski, dwaj
przyjaciele
uczestniczący
jako żołnierze
- ochotnicy
w wojnie
polsko-
-bolszewickiej
1919-1920.
Służyli między
innymi
w 1 Dywizjonie
Artylerii
Zenitowej, czyli
jak bęśmy dziś
określili -
Przeciwlotniczej,
gdzie obsługiwali
francuskie armaty
kalibru
75 milimetrów.

Sierżant Mirosław Klekociuk jako
uczestnik misji UNEF II Sił Pokojowych
Organizacji Narodów Zjednoczonych,
1976 rok



*Historia kejarzy nam się głównie z wielkimi
bitwami czy walką o władzę. A to my ją tworzymy, my i nasi
przodkowie. Czas jednak przemija, ludzie odchodzą i zostają tylko
w naszej pamięci, a ta bywa zawodna. Dlatego chcemy ocalić
od zapomnienia pamiętki rodzinne, pokazując historię z perspektywy
ludzi, a nie społeczeństw. Będziemy publikować zdjęcia
z Waszych albumów oraz kopie dokumentów dotyczące wojska.*

*Książeczka
wojskowa
Kazimierza
Ciośka*

| T R A D Y C J E |

GAPA

D L A T E C H N I K A

Jak będzie wyglądała odznaka specjalności techników pokładowych? Inżynierowie, tak jak piloci, chcą nosić lotniczego orła.



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



**NAJBARDZIEJ
ROZPOZNAWALNYM
ZNAKIEM LOTNICZYM
JEST ODZNAKA PILOTA,
TAK ZWANA **GAPA****

→ GAPA DLA TECHNIKA

W jednostkach lotnictwa transportowego technicy pokładowi od lat noszą na swoich mundurach „gapę” lotniczą – znak orła trzymającego w dziobie wieniec laurowy, a w szponach koło zębate. Noszą jednak nielegalnie.

Jakiś czas temu w środowisku lotniczym zrodziła się inicjatywa, by sprawę uporządkować pod względem prawnym. Technicy pokładowi zamierzają prosić ministra obrony narodowej o zgodę na powrót do tradycji z 1942 roku, by mogli nosić ten historyczny znak pełnoprawnie.

HISTORIA Z RAF-U

Jesienią 1939 roku formowało się po klęsce wrześniowej polskie lotnictwo na Zachodzie. Do Wielkiej Brytanii trafiło ponad dwa tysiące lotników. Zasilili oni szeregi Ochotniczej Rezerwy Królewskich Sił Powietrznych (Royal Air Force Volunteer Reserve, RAF VR). Polscy żołnierze służący na wyspach nosili mundury brytyjskie z oznaczeniem VR. Naszych lotników wyróżniały jedynie haftowane naszywki z napisem „Poland”, które przyszywano na kurtkach i płaszczach wojskowych, oraz haftowane orły noszone przez oficerów na czapkach i bluzach. Metalowe orły na czapkach nosili podoficerowie i szeregowi.

Początkowo polscy lotnicy służący w RAF-ie mogli nosić wyłącznie odznaki brytyjskie. Zmieniło się to w 1940 roku wraz z rozkazem naczelnego wodza i ministra spraw wojskowych. W dokumencie tym opisane zostało umundurowanie żołnierzy służących w Wielkiej Brytanii, uszczegółowiono także zasady noszenia polskich odznak specjalności wojskowych i pamiątkowych. Każdy lotnik na potwierdzenie posiadanej specjalności otrzymywał, poza „gapą”, także legitymację uprawniającą go do noszenia odznaki.

Najpopularniejszym i najbardziej rozpoznawalnym znakiem lotniczym jest właśnie odznaka pilota, tak zwana gapa. Wzór tego znaku zatwierdzony został już w lutym 1919 roku. Przedstawia on stylizowanego orła, lecącego na wprost i trzymającego w dziobie wieniec laurowy. Równie długą tradycję mają znaki obserwatora (noszone także przez strzelców i radiotelegrafistów), prezentujące orła, z którego szponów wychodzą błyskawice. Obie odznaki pilota i obserwatora w niezmienionej formie obowiązywały do końca działania Polskich Sił Powietrznych na Zachodzie, to znaczy do 1947 roku. Od 1940 wznowiono też przyznawanie odznak polowych dla lotników, którzy uczestniczyli w lotach bojowych na froncie. Polową gapę wyróżniał zielony wieniec.

Znaczące zmiany znaków noszonych przez polskich lotników wprowadzono w 1942 roku (rozkaz naczelnego wodza i ministra spraw wojskowych numer 2 z 23 kwietnia 1942 roku). Na podstawie tego dokumentu wprowadzono odrębne specjalności personelu latającego i zgodnie z tym odznaki dla radioobserwatora, strzelca-radiotelegrafisty i po raz pierwszy dla mechanika pokładowego.

WYRÓŻNIONY MECHANIK

Pierwszy znak mechanika pokładowego obowiązywał przez dwa lata: od kwietnia 1942 roku do marca 1944. Mimo że „ga-

pa” mechanika nawiązywała wizualnie do klasycznego znaku pilota, to wśród pozostałych odznak lotników mocno się wyróżniała. Projekt przedstawiał orła z wieniec laurowym w dziobie i z kołem zębatym w szponach. „Emblemat zaprojektowano w kolorze srebrnym. Był wykonany z białego, oksydowanego metalu. Początkowo, jako pierwszą partię, planowano zamówienie 200 sztuk odznak, jednak z uwagi na nieliczną grupę lotników tej specjalności zamówiono ich tylko 100”, pisze Paweł Tuliński w magazynie „Gapa” w artykule dotyczącym odznak lotniczych powstałych w Wielkiej Brytanii. Podaje on dalej, że produkcją znaku zajęła się londyńska firma J. R. Gaunt&Son Ltd. Zadaniem mechanika pokładowego, latającego wówczas na samolotach wielosilnikowych, były nadzorowanie pracy instalacji paliwowych i hydraulicznych oraz kontrola nad parametrami samolotu podczas startu i lądowania. „Gapa” mechanika miała także swoją odmianę polową – z zielonym wieniec laurowym.

W 1944 roku modyfikacje w „gapach” mechaników wprowadził rozkaz naczelnego wodza PSP generała broni Kazimierza Sosnkowskiego (rozkaz MON numer 12 z 3 marca 1944 roku). Zgodnie z nowym projektem miał to być orzeł lotniczy z wieniec laurowym, w który wpisana została litera „M”. Zdaniem ekspertów, odznaka była nietrafiona i mało czytelna, bowiem bardzo podobna do odznaki meteorologa pokładowego. Dzisiejszym lotnikom litera „M” odnosząca się do mechanika kojarzy się raczej z oznaczeniem mistrzowskiej klasy pilota wojskowego.

Po rozwiązaniu Polskich Sił Powietrznych w 1947 roku odmiany odznaki inne niż te, które przysługiwały pilotom i nawigatorom, przestały być nadawane.

Mimo że „gapa” technika zniknęła z oficjalnych dokumentów, to w Polsce można było niekiedy zobaczyć na mundurach pilotów orła lotniczego z kołem zębatym. Podobno na początku lat dziewięćdziesiątych przyznawanie odznak techników pokładowych regulowały osobne rozkazy dowódców pułków czy eskadr. Ponieważ jednak żaden z ministrów obrony narodowej takiej odznaki nie wprowadził odrębną decyzją, to noszenie tego emblematu było nielegalnie.

KONIEC Z PROWIZORKĄ?

Inicjatorem wprowadzenia zmian w przepisach i ustanowienia nowej odznaki specjalności dla techników pokładowych jest dowództwo 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego. Major Sebastian Paluch, inżynier pokładowy z 3 SLTr z Powidza, ma świadomość, że nosi historyczną „gapę” technika na mundurze wbrew oficjalnym przepisom mundurowym. „Techniczny personel latający tak samo wykonuje zadania specjalne w powietrzu, jak piloci i nawigatorzy. Współpracują w jednej załodze, siedzą w jednym rzędzie. Historia polskich żołnierzy służących w RAF-ie pokazuje, że mechanicy mieli swój znak. Dla tych, którzy dziś pełnią służbę na tym stanowisku, jest to tak samo ważne. Chcielibyśmy nawiązać do tradycji”, przyznaje oficer.

Major jest merytorycznym przełożonym personelu technicznego, który pracuje w jednostkach lotniczych 3 Skrzydła. Niemal wszyscy noszą na swoich mundurach „gapę” technika.

DOBRCZE, JEŚLI IDEĘ PRZYWRÓCENIA „GAPY” DLA TECHNIKÓW ZAAPROBUJE TEŻ ŚRODOWISKO PILOTÓW



„Warto wrócić do odznaki technika pokładowego przede wszystkim ze względu na jej piękną tradycję. To szczególna forma uznania za naszą pracę jako członków załogi statku powietrznego”, dodaje kapitan Piotr Nowak, technik pokładowy samolotu C-130. Oficer ukończył szkolenie w Stanach Zjednoczonych i otrzymał tam amerykańskie „skrzydełka” (symbol lotników). „Mam nadzieję, że niedługo takiego zaszczytu doświadczymy w Polsce”, dodaje.

W jednostkach 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego służy około stu techników, którzy mają uprawnienia do wykonywania swoich zadań w powietrzu. To najliczniejsza reprezentacja tej specjalności wojskowej w siłach zbrojnych. Technicy pokładowi służą także w 4 Skrzydle Lotnictwa Szkolnego i w lotniczych jednostkach Wojsk Lądowych i Marynarki Wojennej.

Inżynier z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego porucznik Karol Bałdyga przyznaje, że drażni go to, iż ludzie utożsamiają lotnictwo wyłącznie z pilotami. „Siły Powietrzne to także inżynierowie, technicy pokładowi i naziemni, loadmasterzy i wielu innych. Mam wrażenie, że praca mechaników jest spychana w cień”, opowiada oficer. „Najważniejszym zadaniem jest zawsze wykonanie lotu, ale wcześniej ktoś musi maszynę dobrze przygotować. Na ten jeden cel pracuje wielu ludzi”.

Starszy chorąży sztabowy rezerwy Dariusz Janeczko „gapę” przypiął w 2000 roku, ale od 1986 roku był technikiem pokładowym samolotu An-26. Kiedy nosił odznakę, wiele razy spotkał się z wymówkami i uwagami dowódców oraz kolegów pilotów. „Przykro mi było zwłaszcza wtedy, gdy żegnałem się ze służbą. Dano mi do zrozumienia, że mam nielegalną odznakę i powinienem ją zdjąć”, opowiada były żołnierz. Mocno to przeżył, bo ze znakiem technika pokładowego bardzo się identyfikował. Był dla niego powodem do dumy.

CZAS NA DZIAŁANIE

„Nieraz zwracano mi uwagę na to, że noszę nieregulaminową odznakę na mundurze. Najczęściej jednak ludzie przyglądali się z ciekawością. Niektórzy technicy z obawy przed

uwagami przełożonych zdjęli ją z munduru”, potwierdza major Sebastian Paluch, główny inicjator wprowadzenia „gapy” z kołem zębatym. Oficer przyznaje, że największym problemem było odnalezienie przepisów z 1942 roku, które wprowadzały w życie odznakę mechanika pokładowego. Z pomocą przyszli oficerowie skrzydła, stołeczne Muzeum Wojska Polskiego i Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Odnalezienie historycznych rozkazów było niezbędne, by lotnicy mogli przygotować pismo do ministra obrony narodowej z prośbą o przywrócenie znaku z 1942 roku.

Piloci z Powidza kończą właśnie prace nad wnioskiem do MON-u i opracowują zasady, na jakich „gapa” miałyby trafić na mundury personelu latającego. Żołnierze będą się ubiegać o zgodę, by odznakę technika według wzoru z 1942 roku mogli nosić technicy pokładowi i technicy załadunku (loadmasterzy). „Żołnierze tych specjalności wchodzi w skład załóg samolotów transportowych oraz śmigłowców – w zależności od typu – i wykonują swoje obowiązki na ziemi i w powietrzu. Z dumą będą nosić odznaki na równi z pilotami i nawigatorami”, wyjaśniają lotnicy z Powidza.

Michał Wiater, pracownik Departamentu Wychowania i Promocji Obronności (DWiPO), specjalista do spraw symboliki wojskowej, przyznaje, że gdy wniosek trafi do MON-u, to na pewno stanie się przedmiotem obrad Komisji Historycznej do spraw Symboliki Wojskowej, która zbiera się w DWiPO średnio co dwa miesiące. „Jeżeli w samym 3 Skrzydle Lotnictwa Transportowego dotyczy to około stu osób, to można sobie wyobrazić, że w skali całego personelu latającego Sił Powietrznych wcale nie jest to mała liczba. Najważniejsze, by inicjatywa wychodziła od zainteresowanych oraz by nie było prawnych przeciwwskazań i sprzeciwu społecznego”, mówi Michał Wiater. Wyjaśnia on jeszcze, że w tym wypadku decydująca nie będzie tylko liczba uprawnionych do noszenia tego znaku. W ostatnim czasie komisja historyczna MON-u zatwierdziła odrębny wzór odznaki rozpoznawczej dla żołnierzy, którzy służą w amerykańskiej bazie w Ramstein. W 2011 roku MON wprowadził na przykład osobną odznakę także dla marynarzy jednostek pływających. Pozwala ona rozróżnić marynarzy, którzy pracują w sztabach, od tych, którzy pełnią służbę na morzu. W przypadku techników latających w składzie danej załogi byłoby podobnie: odznaka technika odróżniałaby ich od naziemnego personelu technicznego.

Komisja historyczna MON-u po posiedzeniu wyda opinię w sprawie przywrócenia odznaki, ale ostateczną decyzję podejmuje zawsze minister obrony narodowej.

„To bardzo dobra inicjatywa. Na pewno wiele osób będzie nosić takie odznaki z dumą”, mówi Dariusz Janeczko, chorąży rezerwy, który na pokładzie samolotu An-26 spędził przeszło 6 tysięcy godzin. Początkowo był technikiem naziemnym, ale za dobrą pracę, w drodze wyróżnienia (takie kiedyś obowiązywały zasady) skierowano go na kurs i został technikiem pokładowym, a później instruktorem latającego personelu technicznego. „Wprowadzenie odznaki podniesie prestiż tej służby. Mechanik zawsze był traktowany gorzej, a to przecież bardzo odpowiedzialne stanowisko. «Gapa» jest symbolem lotnictwa. Wszystkie modyfikacje tego znaku powinny być wprowadzane z delikatnością. Dobrze, jeśli ideę przywrócenia «gapy» dla techników zaaprobuje też środowisko pilotów”.

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

Ogólnopolskie Zawody Jeździeckie CSN
Memoriał płk. Antoniego ŁUCZYŃSKIEGO,
mjr. Wiktora OŁĘDZKIEGO, gen. dyw. Kazimierza GILARSKIEGO
WARSZAWA 24-26 maja 2013 r.



WSTĘP WOLNY

Hipodrom przy ul. Kozielskiej 4a, Warszawa
Więcej informacji na www.legia-kozielska.pl



Zapraszają:



Podwodny grób

Norweskie władze uznały wrak niemieckiego okrętu podwodnego za cmentarz wojenny. Leżący na dnie morza w pobliżu Bergen na głębokości 237 metrów wrak odnaleziono w czasie wyznaczania trasy przyszłego ropociągu. Okręt zidentyfikowano jako U-486. Ten U-Boot wslawił się zatopieniem w wigilię 1944 roku na kanale La Manche belgijskiego statku „Leopoldville” transportującego ponad 2200 żołnierzy amerykańskich. Zginęło wtedy 763 z nich. Mniej niż pół roku później, 12 kwietnia 1945 roku, jednostka została zatopiona wraz z 48-osobową załogą przez brytyjski okręt podwodny HMS „Tapir”. Wybuch torpedy rozerwał U-Boota na połowę. Na razie Norwegowie znaleźli tylko jego rufową część długości około 30 metrów. A D ■

Mózg pod lupą

Armia USA wprowadza do wyposażenia żołnierzy skaner wykrywający krwawienie w czaszce.

Urządzenie nazwane Infrascanner 2000 wykorzystuje promieniowanie podczerwone, które jest w stanie wnikać kilka centymetrów w głąb czaszki. Za jego pomocą można w kilka minut wykryć zmiany w gę-



stości, które odróżniają mózg od krwiaka. Dzięki szybkiej diagnozie sanitariusze na polu walki wiedzą, który z rannych żołnierzy wymaga natychmiastowej ewakuacji. Wcześniej w przypadku urazu głowy trzeba było wysłać żołnierza do najbliższego szpitala na tomografię komputerową. Podobny skaner był testowany pięć lat temu w Iraku. Potem opracowano mniejszy model, testowany na misji w Afganistanie. Urządzeniu przyznano certyfikat władz USA i w tym roku zaczęto jego produkcję. Kosztuje 18 tysięcy dolarów i ma znaleźć się w wyposażeniu każdego oddziału ratowniczego w batalionie armii amerykańskiej. A D, Defence 24 ■

E K S T R E M A L N E K U L I N A R I A

Chleb na liściach chrzanu

Po 110 mililitrów ciepłej wody i mleka, 2 łyżki oliwy, 250 gramów mąki pszennej pełnoziarnistej, 200 gramów mąki pszennej, 10 gramów drożdży, szczypta cukru i soli, garść nasion słonecznika lub siemienia lnianego, kilka liści chrzanu.



T R U D N E
Drożdże rozpuszczamy w wodzie z odrobiną cukru, zostawiamy na 10 minut, aby się uaktywniły. Dodajemy mąki, słonecznik lub siemię, mleko, oliwę, sól i wyrabiamy tak długo, aż ciasto zacznie odchodzić od rąk. Lepimy kulę, przykrywamy ściereczką i odstawiamy w ciepłe miejsce na mniej więcej dwie godziny. Ponownie zagniatamy ciasto, dzielimy na dwie części, formujemy bochenki i układamy na bla-

szę wyłożonej liśćmi chrzanu. Przykrywamy i odstawiamy do wyrośnięcia na kolejne dwie godziny. W tym czasie piekarnik nagrzewamy do 220 stopni. Nacinamy bochenki nożem na krzyż i wstawiamy do piekarnika. Pieczemy około 50 minut. Gotowy chleb, gdy się postuka w niego od spodu, wydaje głuchy dźwięk.

Chrzan to pospolita w Polsce roślina uprawna. Można ją też znaleźć dziko rosnącą na przydrożach, w rowach i wilgotnych zaroślach. Najlepiej zrywać zielone, niepodoschnięte liście. Chleb pieczony na nich nabiera wspólnego aromatu. A D ■

Komosa z patelni

Kilka garści młodych liści komosy, łyżka oliwy, dwie łyżki tartej bułki, trochę śmietany, ząbek czosnku, sól, pieprz.

L A T W E
Pędy komosy dokładnie nie przebrać, oczyścić i opłukać w zimnej wodzie. Drobno posiekać, zalać na chwilę wrzątkiem i odcedzić. Rozgrzać oliwę. Wrzucić komosę, tartą bułkę i smażyć kilka minut.

Dodać drobno posiekany czosnek, sól i pieprz. Wymieszać ze śmietaną i podawać z chlebem lub ziemniakami.

Komosa biała zwana lebiodą jest rośliną pospolitą, rosnącą w całym kraju. Dawniej jedzono ją na wsi późną wiosną, na przednówku. Młode pędy zawierają dużo białka, witaminy A oraz witaminy C. Najlepsze są młode rośliny zrywane wiosną, latem obrywamy same młodsze listki. Starsze pędy zawierają szkodliwe saponiny i przed dalszym przygotowaniem należy je ugotować w wodzie i odcedzić. Warto też sparzyć wrzątkiem młodsze liście, dzięki czemu będą smaczniejsze. A D ■

PIOTR BERNABIUK

Wielkiej górze należy się szacunek. Jeśli nie wpuszcza, trzeba ustąpić, poczekać, potem wrócić.

MAGIA WIELKICH

O powieść o próbie wejścia na swój ośmiotysięcznik, Gaszerbrum II, kapitan Łukasz Karpiński rozpoczął na oświadczeniem: „Nie osiągnąłem szczytu, ale nie mam o to do siebie pretensji”. Na górze były chwile żalu i rozterki. Przyznaje się nawet do łez. Mimo wszystko wycofania się z ataku na GII kapitan nie uważa za porażkę: „Jeśli góra nie wpuszcza, nie wolno niczego próbować na siłę. Trzeba ją uszanować, przecież poczeka”.

Sport zaczął uprawiać w lekkoatletycznej podstawówce w Aleksandrowie Łódzkim. Miał predyspozycje do biegów i zawsze, jak mówi, robił coś dla ciała i dla duszy.

**KAPITAN ŁUKASZ
KARPIŃSKI:**

„NIE OSIĄGNĄŁEM SZCZYTU,
ALE NIE MAM O TO DO
SIEBIE PRETENSJI”

W czasie studiów w Wojskowej Akademii Technicznej odkrył sporty wojskowe. Ośrodek sprawności fizycznej, potocznie zwany małpim gajem, pokonywał bez problemu. Brał udział w biegach patrolowych, przelajowych i na orientację. Grał też w tenisa, pływał, w grach zespołowych bez trudu znajdował miejsce w reprezentacyjnych zespołach. Od kilku lat, odkąd rozpoczął pracę w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym na Groniku, z powodzeniem startuje w rajdach ekstremalnych, łącznie z tak prestiżowymi i morderczymi jak *Bergson Winter Challenge*, *Ekstremalny Rajd Orła* i *Rajd Jura Skalka Adventure*. O swoich różnorodnych pasjach mówi żartem, że przez tę



GASZERBRUM II

GÓR

ŁUKASZ KARPIŃSKI (2)

rozmaitość jest w wielu dziedzinach całkiem dobry, ale w żadnej nie stał się najlepszy. Po trosze wynika to z przyjętej filozofii otwartości na wszystko, co przynosi życie. A jak się tak myśli i żyje, a do tego ma rodzinę i pasjonującą pracę, to na coś musi zabraknąć czasu.

PIERWSZY TEST

Pasja do gór zrodziła się dopiero na drugim roku studiów. Wszystko zaczęło się od pierwszych prób wspinaczki w Dolinie Kobyłańskiej. Ten rejon, skałki Jury Krakowsko-Częstochowskiej, od pokoleń jest szkółką, z której wyrastają polscy alpini-

ści, łącznie ze zdobywcami himalajskich szczytów. Poznał tam ciekawych ludzi, między innymi wspinaczy z Bydgoszczy. Wstąpił do ich klubu wysokogórskiego.

Alpejską przygodę zaczął od Włoch, od regionu Arco, mekki wspinaczkowej z ponad tysiącem dróg i jeziorem Garda, doskonałym do uprawiania sportów wodnych. Potem zapuścił się wyżej, w Dolinę Aosty, piękny region na pograniczu Alp Włoskich i Francuskich, z królującym białym szczytem Mount Blanc. Wspinaczka na coraz wyższych, wielowyciągowych ścianach, dawała nowe możliwości, zapewniała rozwój. W 2007 roku Łukasz Karpiński pokonał filar północny na Piz Badile – było to

900 metrów wspinaczki w litej skale, uważanej za najpiękniejszą „czwórkę” (stopień trudności) Alp.

To był dopiero przedsmak przygody. To, co wydarzyło się w następnym roku, przeszło wszelkie wyobrażenia. Na przełomie stycznia i lutego czekała na niego wspinaczka w Afryce! W spokojnym wówczas Maroku zwiedził Marrakesz, Casablankę. Atlas Wysoki – na tyle wysoki, że szczyty ma pokryte śniegiem – oferował cudowne widoki z Jebel Toubkala (4167 metrów nad poziomem morza), najwyższego punktu na północy kontynentu. Pokonał 400 kilometrów wynajętym autem, po czym dotarł do wozu Todra, gdzie czekały na niego znakomite przygotowane, „obite” przez hiszpańskich wspinaczy drogi.

Karpiński przeżywał w tym czasie wspaniałą przygodę, zwiedzał cudowne miejsca i przede wszystkim zbierał bezcenne doświadczenia wspinaczkowe. Bo góry, tak jak dawały wiele radości, tak jednocześnie potrafiły pogrozić, przypomnieć, że nie wolno ich lekceważyć.

RADOŚĆ NA SZCZYCIE

Jebel Toubkal to „zaledwie” pół ośmiotysięcznika, z pozoru góra na wejście za jednym razem. Wspinacze wyszli bardzo wcześnie, około piątej. Warunki były znakomite – granit, im bliżej szczytu, tym więcej śniegu, ale nie nastęczało to większych trudności technicznych. Łukasz Karpiński czuł się świetnie, mimo pokonania w ciągu ośmiu godzin ponad 2500 metrów przewyższenia. I nagle – stop! Jeden z kolegów na brak adaptacji do wysokości zareagował straszliwym bólem głowy. Musiał zawrócić, chociaż do szczęścia zabrakło mu tylko 60 metrów.

Jeszcze w lipcu 2008 roku Karpiński wyruszył w składzie wyprawy wysokogórskiej do Kirgizji, a dokładnie w Pamir, na wspaniałą górę – siedmiotysięcznik o nieco obciachowej dziś nazwie Pik Lenina.

Wyprawa wymagała przygotowań, rozwiniętej logistyki, długiego marszu. Wreszcie wspinacze znaleźli się wysoko. Pierwsza próba ataku na szczyt nie należała do udanych. Byli zbyt niecierpliwi. Karpiński w swej relacji nie robi z tego tajemnicy: „Pospiesziliśmy się z atakiem szczytowym. Mój partner wspinaczkowy Darek Suchomski próbę wejścia na Pik Lenina ponawiał po trzech latach i bardzo chciał tam dotrzeć. Odpoczęliśmy na wysokości 5000 metrów, potem weszliśmy na 6000, a następnego dnia mieliśmy w planach zdobycie szczytu. Chciałem zostać jedną noc na tej wysokości ze względu na aklimatyzację. Przede wszystkim jednak, wcześniej niż ja szczyt, mnie zaatakowała biegunka, a z nią przyszło osłabienie. Mimo wszystko poszliśmy. Na 6800 metrach, ledwie 300 metrów od szczytu, byłem tak wypompowany, że postanowiliśmy się wycofać”.

Do celu brakowało niewiele, mieli jeszcze dziewięć dni na to, by ponowić próbę. Doskonale pamięta, że kiedy schodzili, z wielkim żalem patrzyli na przewodnika komercyjnej wyprawy irańskiej, prowadzącego na szczyt siedmiu śmiałków: „Szczęściarze, a my musimy wracać”.

Nim dotarli do bazy, Suchomski dołączył do uczestników międzynarodowej akcji ratowniczej, ewakuującej Czecha, który spadł z Nosa Lenina. Następnego dnia byli w bazie, gdzie czekały kolejne hiobowe wieści. Jednego z uczestników wyprawy, której jeszcze poprzedniego dnia zazdrościli sukcesu, transportowano właśnie przez szczyt lodowce. Mimo poświęcenia wielu ludzi i prób reanimacji, zmarł w wyniku obrzęku mózgu. Następnego dnia przyniósł kolejną śmierć. Trzy dni, trzy wypadki, w tym dwa śmiertelne. Karpiński miał wówczas świadomość,



Karpiński zwiedził magiczne miejsca, zdobywając przy tym doświadczenia wspinaczkowe.



że ktoś srogo pogroził mu palcem. Jakby wszystkiego było mało, skończyło się tak zwane okno pogodowe. W kronice wyprawy, którą prowadził w internecie Darek Suchomski, przez kolejne dni pojawiały się monotonne wpisy: „Od rana sypie śnieg i nie zamierza przestać”. Wówczas myśleli już i o zdobyciu szczytu, i zdążeniu na samolot do Polski.

Dwudziestego trzeciego dnia wyprawy wrócili ponownie na szlak. Śniegu spadło blisko pół metra. Z wysiłkiem przedzierali się przez plateau, na Nos Lenina, a potem pokonywali stromy odcinek do wierzchołka. Wreszcie, niemalże w ostatniej chwili przed terminem powrotu, stanęli na szczycie.

Radość z tej krótkiej chwili była godziwą zapłatą za wszystkie trudy – ogrom przestrzeni, wspaniałe widoki, dający poczucie nieograniczonej wolności. Niestety, jak to zwykle w życiu bywa, szczęście jest limitowane: „Spędziliśmy na szczycie Pik Lenina 12 pięknych minut. A potem już się nam spieszyło. Tego samego dnia musieliśmy zejść do bazy na 4000 metrów, bo za dwa dni mieliśmy samolot do kraju. A przecież doskonale wiedzieliśmy, że brak czasu bywa zgubny, a wraz z pośpiechem pojawia się niebezpieczeństwo”.

W leżącym na pograniczu Chin i Pakistanu Karakorum, drugim po Himalajach obszarze nasyconym ośmiotysięcznikami, rozpiera się wspaniałe masyw Gaszerbrum. Jego najwyższe szczyty – Gaszerbrum I, Broad Peak i Gaszerbrum II – przekraczają wprawdzie zaczarowaną granicę 8000 metrów ledwie o kilkadziesiąt metrów, ale to nie znaczy, że są dla wspinaczy mniejszym wyzwaniem.



ŁUKASZ KARPİŃSKI (3)

GÓRY, ZDANIEM ŁUKASZA, MAJĄ TĘ WŁAŚCIWOŚĆ, ŻE KAŻDEMU OFERUJĄ PRZEŻYCIA NA MIARĘ JEGO MOŻLIWOŚCI

Łukasz Karpiński i Dariusz Suchomski trzy lata po tym, jak stanęli na Piku Lenina, jako nowy cel wyznaczyli sobie właśnie Gaszerbrum II ze szczytem na wysokości 8035 metrów nad poziomem morza. Wyprawa była dla nich wielkim i trudnym przedsięwzięciem, szczególnie – zdaniem Karpińskiego – jeśli chodzi o podejmowanie decyzji: „Wiele, jeśli nie wszystko, zależy wówczas od gospodarki zasobami energii, wiary w siebie, optymistycznego myślenia. A do tego należy zachować czujność, kontrolować samopoczucie i funkcjonowanie organizmu”.

Pod względem dramaturgii wyprawa w niczym nie ustępowała tej sprzed trzech lat, do Pamiru. Były akcje ratownicze, widzieli śmierć... Wreszcie, w decydującym dniu wspinacze wyruszyli w górę. Wkrótce chory na żołądek i pozbawiony przez to sił Suchomski zaczął zdecydowanie zostawać w tyle. Nie miał szans na kontynuowanie wspinaczki. Karpiński nie ukrywa, że się rozplakał. To nieopisane uczucie, gdy się ma szczyt w zasięgu: „Musiałbym zostawić partnera na wysokości 6500 metrów. Człowiek bije się wówczas z myślami: a jakby mu się coś stało? Mieliśmy łączność radiową, czekałem na słowa: «Łukasz, idź sam, dołącz do innych!». Bardzo wtedy cierpiałem. Bolało to, że nie poszedłem, wszystko się przecież układało w całość. Była determinacja, miałem świetne samopoczucie, wokół dobra pogoda. Znajdowałem się wysoko, przekonany, że wszedłbym na szczyt”.

RADOŚĆ NA SZCZYCIE

Za kilka dni miał jeszcze jedną szansę. Znakomicie się czuł. Dopingowało go również to, że dzień wcześniej wiele osób wyszło zdobywać szczyt. On też zaczął się szykować, założył już raki. Noc była piękna, gwiazdzista, wiał lekki wiatr.

Rozpoczęła się gonitwa myśli. Poprzedniego dnia, podczas schodzenia zginęła Iranka. Zabrzmiały mu też w uszach słowa Jacka Telera, uczestnika wyprawy: „Idziesz na własną śmierć?”. Tego samego Telera, który wcześniej dwukrotnie zawrócił kilkadziesiąt metrów od szczytu góry, gdyż ratował życie innych wspinaczy, i dopiero za trzecim razem osiągnął pełen sukces. Poza tym czekali z Agnieszką na dziecko.

Kontynuować samodzielnie atak? Iść? Nie iść? Miał przed sobą jeszcze tysiąc metrów niebezpiecznej, samotnej wspinaczki. Około dziesięciu godzin podejścia, walki z wysokością w bardzo trudnych warunkach, gdy trzeba uważać na poręczowce, na trawersie, a pod samym szczytem pokonać jeszcze dość duże nachylenie śnieżnego stoku. A potem trzeba jeszcze wrócić...

Zrezygnował! W himalaizmie umiejętność wycofania się we właściwym momencie jest równie cenna jak sztuka zdobywania szczytów. Pozostał jednak z pytaniem, na które nigdy nie znajdzie odpowiedzi: „Gdybym był wystarczająco szalony, to czy wszedłbym wtedy i zszedł z powrotem? Złe myśli odeszły dopiero wtedy, gdy już schodziliśmy w dół, do domu. Poczulem wówczas radość ze wspólnego powrotu, miałem świadomość przeżycia kolejnej, wspaniałej, wielkiej przygody, sprawdzenia siebie”.

Łukasz Karpiński nie wyobraża sobie życia bez gór. Ma dopiero 33 lata i chciałby jeszcze wiele dokonać. Nie ukrywa też, że tragiczne zdarzenia, których na szczęście był jedynie świadkiem, a nie głównym bohaterem, uczą nabierać dystansu i szacunku do gór: „Czuję do nich wielki respekt. W dość krótkim czasie niezwykle intensywnie doświadczyłem zarówno ich czaru, magii, jak i mocy. Na szczęście mają tę szczególną właściwość, że każdemu oferują przeżycia na miarę jego możliwości”.



Potrójne krzyże

Cmentarz w Glinnej może stać się największą w Polsce nekropolią niemieckich żołnierzy poległych na naszych terenach w czasie II wojny światowej.

ANNA DĄBROWSKA

Na polskich ziemiach w obu wojnach światowych zginęło ponad 850 tysięcy żołnierzy niemieckich różnych formacji. Przeszło pół miliona z nich poległo w czasie II wojny światowej. Zabitych chowano w różnych, często przypadkowych grobach. Według danych niemieckich historyków, w Polsce może znajdować się nawet 20 tysięcy takich miejsc.

MOGIŁY BEZ STOPNI

Problem uporządkowania wojennych grobów naszych zachodnich sąsiadów uregulował polsko-niemiecki traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy podpisany w 1991 roku. Dzięki niemu od początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku szczątki niemieckich wojskowych ekshumowane są z cywilnych cmentarzy oraz przypadkowych miejsc pochówku i przenoszone do wojennych nekropoli. Porozumienie reguluje

też kwestie napisów na grobach. Nie mogą one informować o stopniach wojskowych poległych i formacjach, w których służyli. Ponadto zgodnie z traktatem koszt budowy cmentarzy, ekshumacji i pochówków żołnierzy pokrywa strona niemiecka.

Poszukiwaniem znajdujących się na naszym terenie mogił niemieckich żołnierzy i cywilów, budową nowych cmentarzy ofiar wojen i ich pielęgnacją zajmuje się powołana specjalnie w tym celu polsko-niemiecka Fundacja „Pamięć”. Według jej szacunków, dotychczas ekshumowano i przeniesiono na cmentarze wojenne szczątki ponad 165 tysięcy żołnierzy niemieckich, którzy zginęli w trakcie działań wojennych na terenie naszego kraju. Tylko w 2012 roku fundacja przeprowadziła około trzech tysięcy takich ekshumacji.

Organizacja współpracuje z istniejącym od 1919 roku Niemieckim Narodowym Związkiem Opieki nad Grobami Wojennymi (Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge). Pod



ANNA DĄBROWSKA (2)

NA POLSKICH ZIEMIACH W OBU WOJNACH ŚWIATOWYCH ZGINEŁO PONAD 850 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH RÓŻNYCH FORMACJI

opieką Volksbundu znajduje się teraz ponad 700 niemieckich cmentarzy w 43 krajach. W Polsce takich nekropolii jest trzynaście, między innymi znajdują się one w Siemianowicach Śląskich, dolnośląskich Nadolicach Wielkich, Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Przemyślu czy Poznaniu.

HISTORIA W BLOKU GRANITU

Ostatni Cmentarz Wojenny Żołnierzy Niemieckich powstał we wsi Glinna, leżącej około 20 kilometrów na południe od Szczecina. Na ten cel w 2000 roku władze gminy Stare Czarnowo, do której należy wieś, podarowały Fundacji „Pamięć” spory, bo kilkuhektarowy teren na skraju południowo-wschodniej części Puszczy Bukowej, w sąsiedztwie parku krajobrazowego.

Jeszcze w tym samym roku obszar przyszłej nekropolii został ogrodzony, a polscy i niemieccy żołnierze ustawili w cen-

trum polany tymczasowy drewniany krzyż. W kilkuletnią budowę cmentarza zaangażowali się Niemcy i Polacy, a przy wznoszeniu krzyży i pomników pomagali żołnierze obu krajów. Jedną z jednostek Bundeswehry, 41 Brygada Pancerna z miasta Torgelow w Meklemburgii, objęła nawet wojenną nekropolię swoim patronatem.

Cmentarz został starannie zaprojektowany i urządzony. Teren polany podzielono na oddzielone od siebie alejkami numerowane kwatery, w których pochowano szczątki ekshumowanych żołnierzy. Na każdej kwaterze stoją po trzy kamienne krzyże, gdzieś można też znaleźć małe tabliczki z imieniem i nazwiskiem poległego żołnierza. W kilku miejscach umieszczono duże granitowe tablice z wyrytymi na nich setkami nazwisk pochowanych w Glinnej wojskowych, a także informacjami o datach ich urodzin i śmierci.

Punktem centralnym cmentarza jest kilkumetrowy granitowy krzyż, do którego prowadzi od wejścia główna aleja. O tym, że odwiedzamy wojenne groby, informuje tylko dwujęzyczna tablica na bramie, na samym cmentarzu brak jest jakichkolwiek militarnych akcentów. Obok wejścia powstał pawilon z wystawą prezentującą zadania i prace Fundacji „Pamięć” oraz Niemieckiego Narodowego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi. W budynku wyłożono około 40 ksiąg z nazwiskami, dokumentujących losy prawie 200 tysięcy niemieckich żołnierzy poległych w Polsce w czasie II wojny światowej lub uznanych za zaginionych. Obok pawilonu znajdziemy też granitowy blok z wyrytym planem cmentarza.

CYWILNA KWATERA

Koszt budowy nekropolii – około 800 tysięcy euro – pokrył Volksbund. Cmentarz Wojenny Żołnierzy Niemieckich w Glinnej otwarto po sześciu latach prac, 15 lipca 2006 roku. Pięknie utrzymana i uporządkowana nekropolia leży naprzeciwko leśniczówki i tuż obok słynnego ogrodu dendrologicznego. Usytuowano ją trochę poza samą wsią, kilkaset metrów od drogi Stare Czarnowo – Gryfino. Dojazd oznakowany jest tablicą informacyjną.

Jeszcze w trakcie budowy cmentarza zaczęto przenosić tutaj szczątki niemieckich żołnierzy. Jako pierwszych w 2000 roku pochowano ponad 9,6 tysiąca wojskowych ekshumowanych ze szczecińskiego cmentarza Centralnego. Potem do Glinnej trafiali polegli z wielu innych miejsc pochówku z terenów północno-zachodniej Polski. W sumie spoczywa tutaj ponad 18 tysięcy Niemców, którzy zginęli w czasie II wojny światowej na ziemiach Pomorza Zachodniego.

Latem 2009 roku na cmentarzu pochowano także ponad dwa tysiące niemieckich cywilnych ofiar tej wojny. Ich zbiorową mogiłę odkryto rok wcześniej, w trakcie budowy hotelu w okolicach pokrzyżackiego zamku w Malborku. Masowy grób utworzyli prawdopodobnie Rosjanie, którzy opanowali miasto w marcu 1945 roku. Decyzją Volksbundu odnalezione szczątki złożono na cmentarzu w Glinnej, jednak w odrębnej kwaterze. W przyszłości będą do niej przenoszone także inne cywilne ofiary wojny narodowości niemieckiej. Po tym pochówku zmieniono nazwę nekropolii z „Cmentarz Żołnierzy Niemieckich” na „Niemiecki Cmentarz Wojenny”.

Na glinnickim cmentarzu docelowo miejsce ostatniego spoczynku będzie mogło znaleźć 32 tysiące osób. Stanie się on wtedy największą w Polsce nekropolią, w której pochowani będą niemieccy żołnierze polegli podczas II wojny. ■

POŻEGNANIA

Panu mjr. Leszkowi Falkowskiemu
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają szef, żołnierze oraz pracownicy wojska
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Wyrazy szczerego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie

Ojca

Panu pułkownikowi
Jackowi Dzięgielewskiemu
składają dyrektor oraz kadra i pracownicy
Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON.

„Śmierć boli nie tych, którzy odchodzą,
lecz tych, co wśród żywych pozostają”.

Panu mł. chor. Piotrowi Ziętce
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Batalionu Reprezentacyjnego Wojska Polskiego.

Naszemu Przyjacielowi i Koledze

Panu płk. w rezerwie
Wojciechowi Kapysiówi

wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze oraz pracownicy
Departamentu Kontroli
Ministerstwa Obrony Narodowej.

Wyrazy szczerego współczucia oraz głębokiego żalu

Panu plut. Hubertowi Kowalczykowi
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Mazowieckiego Oddziału Żandarmerii Wojskowej.

Panu ppłk. Zenonowi Piłatowi
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze Polskiego Zespołu Łącznikowego
przy Sojuszniczym Dowództwie Sił Powietrznych
w Ramstein.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

śp. mgr. inż. Wiesława Łabno,
dyrektora ds. badań i rozwoju
Zakładów Mechanicznych Tarnów SA,
cenionego i doświadczonego konstruktora i badacza,
wieloletniego naszego współpracownika i przyjaciela,
człowieka wielkiego serca.

Z wyrazami współczucia

dla Najbliższych

– pracownicy Instytutu Techniki Uzbrojenia
Wydziału Mechatroniki i Lotnictwa
Wojskowej Akademii Technicznej

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność”.

Panu majorowi Ireneuszowi Chrostkowi
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają komendant główny, żołnierze
i pracownicy wojska Żandarmerii Wojskowej.

19 marca 2013 roku zmarła

Małgorzata Chrostek.

Synowi – Panu majorowi Ireneuszowi
Chrostkowi i całej Rodzinie

składamy wyrazy głębokiego współczucia.
Żołnierze i pracownicy wojska
Zarządu Dochodzeniowo-Śledczego
Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej

POŻEGNANIA

Panu płk. dr. inż.
Przemysławowi Kupidurze,
zastępcy dziekana Wydziału Mechatroniki i Lotnictwa
Wojskowej Akademii Technicznej,

oraz Jego Rodzinie
wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają współpracownicy z Instytutu Techniki
Uzbrojenia Wydziału Mechatroniki i Lotnictwa
Wojskowej Akademii Technicznej.

Panu ppłk. Jerzemu Mucha
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci

Siostry

składają szef, kadra zawodowa i pracownicy wojska
Regionu Wsparcia Teleinformatycznego
we Wrocławiu.

Panu kpt. Tomaszowi Dziaduszkowi
wyrazy głębokiego i szczerego współczucia
oraz żalu z powodu śmierci

Matki

składają współpracownicy z sekcji personalnej
5 Pułku Inżynieryjnego oraz koledzy.

Pani Marioli Mróz
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich.

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje

Pani Annie Nawrockiej
oraz Jej Rodzinie
z powodu śmierci

Matki

składa Pion Głównego Księgowego 14 Wojskowego
Oddziału Gospodarczego w Poznaniu.

Wyrazy szczerego współczucia
Pani ppor. Annie Jedynak
z powodu śmierci
Ojca – Jana Dochniaka
składają dyrekcja i pracownicy
Wojskowego Centrum
Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa SPZOZ
w Warszawie.

Pani ppor. Annie Jedynak,
Koleżance z Wojskowego Centrum Krwiodawstwa
i Krwiolecznictwa w Warszawie,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają kadra kierownicza, żołnierze zawodowi
i pracownicy Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Pana mjr. rez. Mariusza Lenerta
Żonie, Dzieciom i Najbliższym
składają szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Katowicach
oraz żołnierze i pracownicy WSzW.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Pana gen. bryg. w st. spocz.
Jana Łazarczyka
Żonie, Dzieciom i Najbliższym
składają szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Katowicach
oraz żołnierze i pracownicy WSzW.

Panu Krzysztofowi Bielawskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Matki

składają kadra kierownicza, oficerowie
i pracownicy wojska
Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON.

| POŻEGNANIA |

Panu gen. bryg.
dr. Wiesławowi Grudzińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
Centrum Wsparcia Teleinformatycznego Sił Zbrojnych.

Panu płk. rez. Witoldowi Klingerowi
i Jego najbliższej Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Centralnej Grupy Działań Psychologicznych.

Panu dr. hab. Andrzejowi Glenowi,

prorektorowi ds. naukowych
Akademii Obrony Narodowej,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Brata

składają rektor-komendant, kadra i pracownicy AON.

Panu st. szer. Dawidowi Binio
i Jego najbliższej Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Centralnej Grupy Działań Psychologicznych.

Księdzu Janowi Krasowskiemu

wyrazy szczerego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają prezes, sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Garnizonowego
w Warszawie.

Pani Annie Orczyk

wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef oraz kadra i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Krakowie.

Panu sędziemu
płk. rez. Romanowi Drykowi

wyrazy szczerego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Żony

składają prezes, sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie.

Panu majorowi Robertowi Świtoniowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Pani Krystyny Dąbrowy

Rodzinie i Bliskim

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Drogiemu Koledze
majorowi Jerzemu Brudnickiemu
i Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają przełożeni oraz koleżanki i koledzy
z 2 Regionalnej Bazy Logistycznej.

| POŻEGNANIA |

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

**Panu kpt. Emilowi Ćwiklińskiemu
oraz Jego Rodzinie**

z powodu śmierci

Dziadka

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpożarowej.

Panu Tadeuszowi Łomonosowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

**Panu ppłk. Wiesławowi Cieśli
oraz Jego Rodzinie**

z powodu śmierci

Ojca

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpożarowej.

Panu kpt. Krzysztofowi Frydrysiakowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

**Panu kmdr. ppor.
Maciejowi Nadolskiemu
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy wojska
Komendy Portu Wojennego w Gdyni.

Panu Romanowi Gackowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

**Panu ppłk. pil. Mirosławowi Gumnemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

Panu Stanisławowi Nastałowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

**Panu mjr. Sebastianowi Malczewskiemu
i Jego Rodzinie**

wyrazy ogromnego współczucia
z powodu tragicznej śmierci

Córki Mileny

składają szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
– dowódca Garnizonu Olsztyn płk Andrzej Szczępek
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska
Garnizonu Olsztyn.

Pani Romanie Ciołczyk

wyrazy szczerego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
4 Regionalnej Bazy Logistycznej we Wrocławiu.

| POŻEGNANIA |

Pani Renacie Matyni

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca operacyjny, żołnierze i pracownicy
wojska Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych.

„Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło. (...)
Teraz wszystko umilkło, szczerze pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu. (...)
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje” (...)

Niech słowa Jana Kochanowskiego
choć w części wyrażą
nasz żal i współczucie

plut. Rafałowi Błaszcykowi

po śmierci

Dziecka.

Dowódca oraz kadra batalionu logistycznego
1 Warszawskiej Brygady Pancernej

Pani Renacie Matyni

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy Oddziału Kadry
Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych.

**Panu plutonowemu
Rafałowi Błaszcykowi**

wyrazy najgłębszego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Dziecka

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

**Panu podpułkownikowi
Włodzimierzowi Pigoniowi**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, kadra i pracownicy wojska
Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie.

Panu Bolesławowi Grząbce

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra zawodowa i pracownicy wojska
12 Terenowego Oddziału Lotniskowego
w Warszawie.

Pani Iwonie Gembarzewskiej

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowództwo, żołnierze oraz pracownicy wojska
37 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej.

Panu płk. Wiesławowi Molek

składam – w imieniu własnym oraz kierownictwa
i pracowników Biura Bezpieczeństwa Narodowego
– wyrazy szczerego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

Stanisław Koziej
Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Panu st. kpr. Marcinowi Stachniukowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowództwo, żołnierze oraz pracownicy wojska
37 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej.

| POŻEGNANIA |

Naszemu koledze
Bogusławowi Politowskiemu
składamy wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Siostry.

Pracownicy Wojskowego Instytutu Wydawniczego

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
profesora Andrzeja Garlickiego,
który gościł na łamach „Polski Zbrojnej”.

Pracownicy Wojskowego Instytutu Wydawniczego

Panu Józefowi Zielińskiemu
składamy wyrazy głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teścia i Brata.

Koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu Wydawniczego

7 kwietnia 2013 roku w wieku 65 lat zmarł nagle

płk rez. dr Edward Pomykała,

zasłużony oficer Wojska Polskiego,
długoletni szef Oddziału Naukowego
Akademii Obrony Narodowej.

Wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi
i resortowymi, m.in. Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi
oraz złotymi medalami: „Siły Zbrojne Służbie Ojczyzny”
i „Za Zasługi dla Obronności Kraju”.

**Z Żoną, Córką, Synem z Wnukami
oraz wszystkimi Bliskimi**

łączą się w żalu
kadra i pracownicy Akademii Obrony Narodowej.

Panu Wojciechowi Nowakowi
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy
Regionu Wsparcia Teleinformatycznego
we Wrocławiu.

Panu ppłk. rezerwy Stanisławowi Kuzi

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają kadra i pracownicy Wojskowej
Komendy Transportu w Krakowie wraz z delegaturami
w Kielcach i Łodzi.

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

Hanny Szewczyk

pracownicy Zarządu Planowania Logistycznego A-4
Dowództwa Sił Powietrznych.

Wyrazy najgłębszego współczucia
i szczerze kondolencje

Rodzinie Zmarłej i Bliskim

składają kadra i pracownicy wojska Zarządu
Planowania Logistycznego A-4
Dowództwa Sił Powietrznych.

Panu Marcinowi Kuzi

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy Wojskowej
Komendy Transportu w Krakowie wraz z delegaturami
w Kielcach i Łodzi.

**Panu por. Marcinowi
Szostakowskiemu**

wyrazy najgłębszego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant oraz koledzy i koleżanki
z Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Szczecinie.

**Panu ppłk. Marcinowi Zachmanowi
oraz Jego Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy z SKW.

WIELOSENSOROWA STABILIZOWANA GŁOWICA
OBSERWACYJNO-ŚLEDZĄCA PSP-1

peo



OPTOELEKTRONICZNE SYSTEMY OBSERWACJI
I ROZPOZNANIA ŻOŁNIERZA PRZYSZŁOŚCI

INNOWACJE DLA BEZPIECZEŃSTWA LUDZI

ZMINIATURYZOWANY
MONOKULAR UNIWERSALNY MU-3M

ZINTEGROWANY MODUŁ
OPTOELEKTRONICZNY ZMO-2



Bumar PCO S.A. ul. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 28 03-982 Warszawa tel.: 22 613 94 24, fax: 22 613 92 15
e-mail: pco@pcosa.com.pl www.pcosa.com.pl



Oficer Bundesgrenzschutz

To pierwsza zmilitaryzowana organizacja wojskowa utworzona w Niemczech po II wojnie światowej, która rozpoczęła działalność cztery lata wcześniej niż siły zbrojne RFN.

RADOSŁAW DĄBROWSKI

Niemiecka straż graniczna (Der Bundesgrenzschutz, BGS) została powołana na mocy specjalnej ustawy w marcu 1951 roku. Jako organizacja stricte policyjna podlegała ministerstwu spraw wewnętrznych i miała zajmować się przede wszystkim ochroną granic powstałego z tak zwanych zachodnich sektorów okupacyjnych nowego państwa – Republiki Federalnej Niemiec. Już od chwili powołania BGS miała być pierwszą linią obrony terytorium RFN, a tym samym państw zachodnich przed ewentualną agresją bloku wschodniego. Z tego powodu przez cały okres istnienia formacji duży nacisk kładziono na wojskowe wyszkolenie funkcjonariuszy ochotników i ich specjalistyczne wyposażenie. Gdy powołano do życia armię (Der Bundeswehr), większość brzoźnia zbrojnej ochrony granic zdjęto z barków BGS, ale nadal to straż graniczna sprawowała praktyczną przydatność broni strzeleckiej nowych wzorów, wyposażenia, a nawet niektórych pojazdów pancernych i cięższego uzbrojenia przed ich zakupem za granicą, przed rozpoczęciem produkcji w kraju i przed wprowadzeniem do uzbrojenia i wyposażenia armii. Przy czym przez cały czas starano się zachować elitarność tej ochotniczej służby, czego dowodem było stopniowe rozszerzanie zakresu jej działalności, a od 1972 roku przejście przez BGS odpowiedzialności za bezpieczeństwo prezydenta i Federalnego Trybunału Konstytucyjnego Niemiec.

Zaprezentowana sylwetka funkcjonariusza Bundesgrenzschutzu to oficer tej formacji występujący

podczas oficjalnych okazji – świąt, defilad czy wart honorowych. Oryginalny mundur zdobyłem dzięki wymianie ze znajomym kolekcjonerem. Uwagę zwraca zielonkawy kolor tkaniny (tak zwany Moosgrün) wprowadzony w 1976 roku dla personelu BGS-u zamiast wcześniej stosowanych szarych lub polowych mundurów w charakterystycznych kamuflażach (Sumpftarn). Pod marynarkę włożyłem służbową koszulę w kolorze „bambusowym” i zielony krawat. Srebrne naramienniki na marynarce wskazują na stopień Leutnant der BGS, odpowiadający polskiemu podporucznikowi. Charakterystyczna srebrzysta naszywka na lewym rękawie poza nazwą formacji przedstawia wizerunek orła – godła Republiki Federalnej Niemiec.

Na nogach mam niskie saperki (stosowane od początku istnienia BGS-u). Dopelnieniem munduru jest zielony beret z metalowym godłem, wprowadzony jako oficjalne nakrycie głowy w 1980 roku. Na czarnym skórzanym pasie mam zawieszane dwie ładownice na magazynki, podtrzymywane charakterystycznymi czarnymi szelkami. Uzbrojony jestem w karabin automatyczny Gewehr G3 – od 1959 roku był przepisową bronią długą armii, powszechnie używaną przez BGS. Ciekawostką jest stosunkowo rzadko montowany na karabinach HK G3A3 oraz A4 (z kolbą składaną) celownik optyczny Hensoldt Fero Z-24 o czterokrotnym powiększeniu, wskazujący na używanie broni przez strzelca wyborowego. ■

**W następnym numerze:
grenadier pancerny Wehrmachtu**



Zielony beret
z metalowym godłem



**NAZWA: FUNKCJONARIUSZ
NIEMIECKIEJ STRAŻY
GRANICZNEJ**

**DATOWANIE: LATA
OSIEMDZIESIĄTE XX WIEKU
GRUPA: KLUB MIŁOŚNIKÓW
HISTORII „WARSZAWA”**

Dwie ładownice
na magazynki,
podtrzymywane
charakterystycznymi
czarnymi szelkami

Karabin automatyczny
Gewehr G3



Niskie saperki, które
nosili żołnierze od
początku istnienia BGS-u.



PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

**MUZEUM
OREŻA POLSKIEGO
w Kołobrzegu
1963-2013
ROK JUBILEUSZOWY**



UROCZYSTOŚCI
JUBILEUSZOWE
9-11 MAJA 2013

50
lat

www.muzeum.kolobrzeg.pl

Patronat
honorowy

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

partnerzy



Patronaty
medialne





ARCH. KARR/ARKADIUSZ MAJEWSKI

ZAMKI

Piastowski gród

Na stromym bazaltowym wzgórzu wznoszą się malownicze ruiny zamku, prawdopodobnie najstarszej murowanej warowni na ziemiach polskich.

Pierwszy obronny drewniano-ziemny gród na Górze Zamkowej we Wleniu powstał w X wieku i strzegł granicy z Czechami. Są dwie teorie dotyczące wzniesienia tutaj kamiennej twierdzy. Według części historyków murowanie zamku rozpoczęło po 1163 roku za panowania księcia śląskiego Bolesława Wysokiego. Twierdza we Wleniu byłaby wtedy najstarszą murowaną warownią na obecnych ziemiach polskich. Według niektórych badaczy kamienny zamek we Wleniu wybudował książę Henryk Brodaty po 1201 roku.

Na szczycie wzniesienia powstały wtedy sześcioboczny stołp, kaplica, czworokątna mieszkalna wieża i mur obwodowy z łupanego kamienia. Budowę kontynuował Henryk Pobożny, a kiedy poległ w bitwie pod Legnicą, jego syn Bolesław II Rogatka. Rozebrano wtedy sześciokątną wieżę obronną. Zastąpił ją stojący do dziś donżon o cylindrycznej podstawie, wysokości 12 metrów i grubości murów dochodzących do 3 metrów. Rogatka zasłynął z awanturczego życia, a w zamkowych lochach więził swoich przeciwników: biskupa wrocław-

skiego Tomasza i swego bratanka księcia wrocławskiego Henryka IV Probusa.

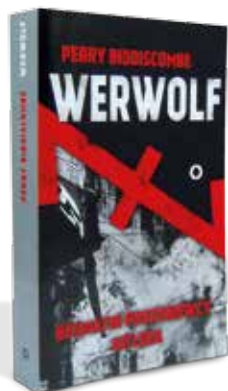
Po podziale dzielnicowym Polski budowlą stała się własnością świdnicko-jaworskiej linii Piastów. Jeden z nich, książę Bolko II, w połowie XIV wieku rozbudował twierdzę o zamek średni i dolny. W 1368 roku warownia przeszła jako lenno w ręce rodów rycerskich. Od tej pory pozostawała własnością prywatną, a jej gospodarzami byli przedstawiciele rodów Zedlitz, Reder, Hochberg oraz Schaffgotsch. Podczas toczących się w pierwszej połowie XV wieku wojen

KSIĄŻKA

Cienie wilkołaków

Niemiecka partyzantka miała być wzorowana na Armii Krajowej.

Pod koniec II wojny światowej nad nazistami zawisło widmo wkroczenia wojsk alianckich na ziemie starej Rzeszy. Najwyżsi rangą członkowie NSDAP, SS i Wehrmachtu, pamiętając, ile problemów sprawiła im partyzantka na zapleczu całego frontu wschodniego i w Polsce, zabrali się za organizowa-



nie dywersji na swoim terytorium po zajęciu tych ziem przez wroga.

Pierwsze grupy Werwolf, złożone z żołnierzy Wehrmachtu specjalnie przeszkolonych w działaniach dywersyjnych, działały na terenie Prus Wschodnich już w 1944 roku. Zanim „wilkołacy” zostali rozbici w pierwszych miesiącach po wojnie, spra-

wili wiele kłopotów i szkód aliantom. Książka Perry'ego Biddiscombe'a to wnikliwa analiza działań tej enigmatycznej organizacji, która miała uratować III Rzeszę od ostatecznej klęski. Autor przybliży charakter działań oraz cele, którymi kierowali się najbardziej fanatyczni nazisci. Najczęściej „wilkołakami” były dzieci z Hitlerjugend i osamotnione oddziały wojska, które okrążone starały się nękać wroga w każdy możliwy sposób, lub esesmani, działacze partyjni i gestapowcy, niemający już nic do stracenia. ■

JAKUB NAWROCKI

Perry Biddiscombe, „Werwolf. Brunatni pogrobownicy Hitlera”, Czerwone i Czarne, 2013

➔ Vademecum

Zamek we Wleniu – leżącym w województwie dolnośląskim pomiędzy Jelenią Górą a Zgorzelcem – niełatwo jest znaleźć. Warownia znajduje się bowiem w sąsiedniej wsi Łupki na wysokim, górującym nad okolicą, wzgórzem porośniętym lasem. Dojechać można tam wyłącznie autem. Z Wlenia trzeba kierować się drogą na Lwówek Śląski i skręcić w lewo do Łupek. Auto można zostawić w pobliżu zabudowań dworskich. W zamku trwa remont, ale można do niego podejść i obejrzeć ruiny za darmo. Zanocujemy we Wleniu, korzystając z agroturystyki albo w zabytkowych budynkach po byłym pałacu, dla oszczędnych są noclegi z własnym śpiwozem w szkolnym schronisku młodzieżowym.

husyckich zamek był kilkakrotnie oblegany, mimo to pozostał jedną z nielicznych fortec, które odparły oblężenie.

W 1465 roku właścicielem twierdzy został Hans von Zedlitz, jeden z najgroźniejszych rycerzy zbójników grasujących w okresie późnego średniowiecza na terenie Śląska. Napadał na kupców, łupił mieszkańców miasta i wieśniaków. Spokojniejszy był kolejny pan na zamku – Sebastian von Zedlitz-Neukirch. Za jego czasów warownię przebudowano w renesansową rezydencję, nie straciła ona jednak obronnego charakteru. Pod-

wyższono mury i wieżę oraz skonstruowano drewniany, ponadwukilometryowy wodociąg, doprowadzający wodę do zamku z pobliskiego wzgórza.

W czasie wojny trzydziestoletniej fortecę kilkakrotnie oblegały i zdobywały wojska szwedzkie i cesarskie. Wreszcie w 1646 roku na polecenie cesarskiego generała Montecuculiego zamek został wysadzony w powietrze. Od tej pory budowla pozostała ruiną. Co prawda po wojnie ruiny nabył Adam von Kaulhaus, pułkownik króla francuskiego Ludwika XIII, ale zamiast odbudować zamek, wznosił u jego podnóża barokowy pałacyk. Ostatnim właścicielem wzgórza zamkowego była rodzina von Haugwitz, w której rękach pozostało ono do końca II wojny.

Zamek, dziś zwany Lenno lub Wleński Gródek, był chętnie odwiedzany przez turystów. Z dobrze zachowanej baszty można było podziwiać pasmo Karkonoszy i Pogórza Izerskiego. Niestety z powodu braku gospodarza i jakichkolwiek modernizacji pogarszał się stan ruin i w 2006 roku runął południowo-zachodni mur zamku, a jego baszta mocno się przechyliła. Latem 2009 roku rozpoczęto odbudowę zawałiska i zabezpieczenie budowli. Dzięki pieniądзом gminy i dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wzniesiono zawałoną ścianę, wzmocniono basztę, uporządkowano zawałisko i zabezpieczono pozostałe mury. Prace potrwać jeszcze rok lub dwa lata. ■

ANNA DĄBROWSKA



KSIĄŻKA

Początek końca

Młośnicy strategii mają materiał do wszechstronnej analizy – książkę o przełomowej kampanii w II wojnie światowej na Pacyfiku. Michał A. Piegzik, autor „Guadalcanal 1942–1943”, uważa bowiem, że to właśnie ta bitwa, a nie bitwa o Midway, stała się punktem zwrotnym w tym konflikcie.

Trwająca ponad sześć miesięcy kampania na Guadalcanal skończyła się klęską Cesarstwa Japonii. Po raz pierwszy w wojnie na Pacyfiku Japończycy

zostali zepchnięci do defensywy. Był to też początek końca japońskich sił powietrznych. Autor z niezwykłą precyzją kreśli plany ofensywne obu stron. Przedstawia też liczebność oraz uzbrojenie sił ekspedycyjnych przeciwników, a także przebieg walk na lądzie i bitew morskich, które często relacjonuje godzina po godzinie. ■

WŁODZIMIERZ KALETA

Michał A. Piegzik, „Guadalcanal 1942–1943”, Bellona, 2013

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



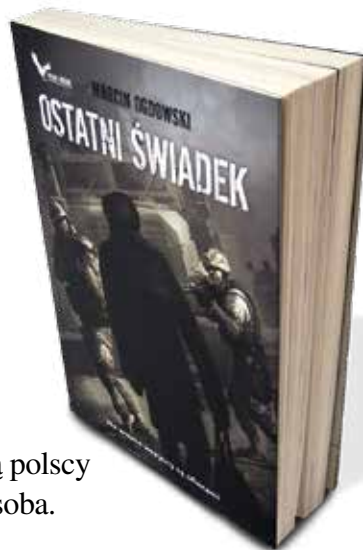
WOJSKOWEJ BIBLIOTEKI CYFROWEJ
ZBROJOWNIA

zaprasza do



KSIĄŻKA

Kto uratuje honor żołnierza?



Winą za śmierć afgańskich kobiet i dzieci obarczeni zostają polscy żołnierze. O ich dobre imię może walczyć tylko jedna osoba.

Akcja powieści „Ostatni świadek” Marcina Ogdowskiego rozpoczyna się informacją o śmierci polskiego żołnierza podczas zbrojnego ataku. Kilka dni później w wiosce Nabud Khel, gdzie doszło do tragedii, w wyniku starcia z talibami giną kobiety i dzieci oraz kilkunastu rebeliantów. Polskie media bardzo szybko wydają wyrok: winą za to, co się wydarzyło, obarczeni zostają polscy żołnierze.

Fabuła książki Ogdowskiego, choć opowiada o wydarzeniach fikcyjnych, nawiązuje do tych rzeczywistych z 2007 roku. Doszło wówczas w afgańskiej wiosce Nangar Khel do podobnej tragedii. Śmierć ponieśli cywile. W mediach za sprawców zostali wówczas uznani polscy żołnierze, mimo iż postępowanie sądowe nie było zakończone.

Szkicując tło tragicznych wydarzeń w Nabud Khel, Ogdowski przedstawia losy kilku żołnierzy: Jelonka, Żulowskiego, Szczypiorskiego i Kowalewskiej. Stara się przy tym oddać klimat służby w Afganistanie, dlatego między

innymi posługuje się barwnym, wiarygodnym językiem i żołnierskim żargonem. Dzięki temu każda strona powieści niemal pachnie wojskiem. Widać, że Ogdowski bardzo dobrze zna za-

KAŻDA STRONA POWIEŚCI NIEMAL PACHNIE WOJSKIEM

równo środowisko, jak i ludzi, o których pisze.

Losy bohaterów zostały przedstawione bardzo realistycznie, a przy tym intrygująco. Przejmujący jest zwłaszcza los Jelonka, który przeżywa tragedię swojego szwagra (okaleczony w walce), podpada na zdrowiu, a mimo to nie chce porzucić swoich kompanów w walce. Boi się tego, że lekarze mogą u niego zdiagnozować PTSD, co zmusiłoby go do powrotu do Polski. Nie poddaje się jednak swoim słabościom i jedzie na akcję do Nabud Khel.

Dobrze i przekonująco napisana fabuła jest dla Ogdowskiego sposobem na poruszenie kilku ważnych problemów. Do najbardziej jaskrawych kwestii podjętych przez niego należy zaliczyć osobliwy mechanizm, który doprowadza do społecznego i medialnego linczu na oskarżonych żołnierzach.

„Ostatni świadek” to powieść napisana przez dziennikarza, korespondenta wojennego, wielokrotnego uczestnika misji w Iraku i Afganistanie. Marcin Ogdowski jest także autorem jednego z najbardziej poczytnych blogów o tematyce wojskowej (zAfganistanu.pl) i laureatem Buzgdygana, nagrody miesięcznika „Polska Zbrojna”. „Ostatni świadek” to druga książka autora. Dwa lata wcześniej opublikował materiał prezentowany wcześniej na blogu. ■

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

Marcin Ogdowski, „Ostatni świadek”,
Warbook, 2013

OGŁOSZENIE

ZJAZD ABSOLWENTÓW promocji 1973

Wyższej Szkoły Oficerskiej
Wojsk Zmechanizowanych
im. Tadeusza Kościuszki



**Koszt uczestnictwa:
330 złotych**

**Termin wpłat upływa
31.07.2013 roku**

20–22 września 2013 roku z okazji czterdziestolecia promocji na pierwszy stopień oficerski odbędzie się zjazd absolwentów Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki.

Zgłoszenia oraz ewentualne pytania należy kierować do wymienionych osób:

Lech Sierpiński, tel. 604 227 059; **Włodzimierz Naumiuk**, tel. 604 135 322; **Zdzisław Smoliński**, tel. 500 372 812; **Jan Urbański**, tel. 516 049 833

Wpłaty należy dokonać na konto: 74 1020 5226 0000 6502 0330 0381 z dopiskiem „Promocja 1973”.

XVI SELEKCJA

tvn **turbo**

informacje i zapisy : www.combat56.pl

START **28.06.2013**

WARSZAWA-WAT

Organizator:



Partnerzy i Sponsorzy:



GŁOS SZCZECIŃSKI

GŁOS POMORZA

GŁOS KOSZALIŃSKI



Polska Zbrojna

Województwo Zachodniopomorskie



ORLEN Ochrona



ARCTICA

Fabryka wędliny
pryzmat
www.pryzmat.torun.pl

Pot na dyscyplinę

Gdy wojsko się nudzi, to mu głupie myśli do głowy przychodzą.

WŁODZIMIERZ KALETA



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

Jedną z żelaznych zasad sprawnego dowodzenia przekazywanych przez dowódców z pokolenia, rzec można, na pokolenie była maksyma – ostrzeżenie, że gdy wojsko się nudzi, to mu głupie myśli do głowy przychodzą. A wtedy dyscyplina siada i dowódca może mieć duże kłopoty. Dlatego wodzowie każdego szczebla starali się, by ich podwładni nigdy się nie nudzili. W czasie wolnym od szkolenia, w koszarach czy na poligonie, dowódcy organizowali więc konkursy ze znajomości armatniej lufy czy inne równie „ważne” i bezsensowne zajęcia. Pewnie dlatego w żołnierskich opowieściach tak wiele wspomnień o wykonywaniu bezsensownych często zadań i o głupich działaniach.

Jak wiele prawdy jest w stwierdzeniu, że najlepszym sposobem na utrzymanie wysokiej dyscypliny jest danie żołnierzom w kość, przekonali się na własnej skórze między innymi raketowcy z Choszczyna. Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku szkolili się na jednym z letnich poligonów. Byli w polu od tygodnia, przygotowujący się do ważnych zajęć. I już dawno znudziło im się ciągle powtarzanie tych samych czynności.

Tęsknotę za pozostawioną daleko rodziną wojsko zwykle topić w alkoholu. Ale z obozowiska do najbliższych sklepów trzeba by maszerować godzinami. Naprzeciw żołnierskim po-

trzebom wychodzili oficerowie wychowawczy (wówczas polityczni), którzy oprócz ustawiania plansz przed klubem żołnierskim szukali między innymi najlepszych miejsc zaopatrywania żołnierzy w wodę. Zawsze jakoś tak się dziwnie składało, że najlepsza woda była z reguły w gorzelnii. Tak stało się i tym razem. Wdzięczni za odwiedzin żołnierzy jej pracownicy oprócz wody obdarowali raketowców sporym wiadrem gorzałki z któregoś tam tłoczenia przed rektyfikacją spirytusu. Wody ognistej przywiezionej przez politruków było wystarczająco dużo, by poprawić nastroje kadry zawodowej całego pododdziału radiotechnicznego.

Ponieważ jednostka w Choszczynie była tak tajna, że wiedzieli o niej, jak żartowano, tylko mieszkańcy miasteczka, kadra liczyła na to, że w sobotnie popołudnie nikt jej raczej niepokoić nie będzie. Naczynie z samogonem postawiono z tyłu sanitarki zaparkowanej przed klubem żołnierskim i każdy z żołnierzy zawodowych chcący z napitku skorzystać otwierał tylne drzwi pojazdu, by kubkiem czerpać z wiadra do woli. Po pewnym czasie poprawił się wyraźnie nastrój kadry. Także dowództwa pododdziału, które w swoim kontenerze spożywało prawdziwą monopolową wódeczkę dostarczaną przez podoficera odbierającego w Drawsku pocztę.

Nagły warkot śmigłowca był dla raketowców niczym grom z jasnego nieba. Przyleciał wysoki rangą oficer. Kto mógł, skrył się natychmiast w lesie. Przełożony przeszedł przez obóz, trafił do namiotu dowództwa, gdzie konsumpcja trwała w najlepsze. Zrobił regulaminowy w tył zwrot, podszedł do oficera dyżurnego, który z trudem starał się utrzymać na nogach. Na pytanie przełożonego, czy ktoś z kadry w obozie jest trzeźwy, przerażony powiedział prawdę – nikt. Wysoki rangą oficer pomaszzerował do śmigłowca i odleciał. W pododdziale wszyscy natychmiast wytrzeźwieli. Zaczęli tworzyć najróżniejsze scenariusze, co też ich czeka dalej.

Alarm ogłoszono im jeszcze sobotniej nocy. Zmieniali stanowiska i rozbijali obozy w coraz to nowych rejonach przez trzy dni, zanim wymęczeni wrócili do tego samego miejsca stacjonowania, z którego wygonił ich rozkaz dowódcy. Jednak podczas ćwiczeń swoje zadania wykonali bardzo dobrze. Do dziś zastanawiają się, jaki wpływ na dyscyplinarne konsekwencje wcześniejszej, zabawowej soboty miała wysoka ocena, którą wówczas otrzymali. W każdym razie przełożeni nigdy do tego wydarzenia nie wrócili. ■

KURIER WETERANA

O uczestnikach misji

SZACUNEK
I WSPARCIE



ARMIA

POLITYKA

POLIGON

SPORT

MISJE

HISTORIA

polska-zbrojna.pl

WIARYGODNE, AKTYWNE PRZESTRZENIE INFORMACJI



www.polska-zbrojna.pl



BLOGI



ŚWIAT



KADRY

Wojskowy Instytut Wydawniczy AI. Jerozolimskie 97 00-909 Warszawa +48 22 6 845 365 sekretariat@zbrojni.pl

